

*Łochoznema Musier Kowr och cior
Alisi no diuier Yego Guicinin*

EDWARD LIGOCKI

2822

SEN O DWERNICKIM

POWIEŚĆ

Już tam niejeden z Zabuzzańskich braci
Uchem przy ziemi każdy tętent ima.

Goszczyński.



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA == LUBLIN == ŁÓDŹ
KRAKÓW == G. GEBETHNER I SPÓŁKA

THE NEW YORK PUBLIC LIBRARY

ASTOR LENOX TILDEN FOUNDATION
500 FIFTH AVENUE, NEW YORK, N. Y.

1911

RECEIVED
JAN 1 1911
NEW YORK



THE NEW YORK PUBLIC LIBRARY
ASTOR LENOX TILDEN FOUNDATION
500 FIFTH AVENUE, NEW YORK, N. Y.

SEN O DWERNICKIM

Polskie Towarzystwo
Księgarń Kolejowych
„RUCH”
Spółka z ogranicz. odpow.

TEGOŻ AUTORA.

Powieści:

PUSTKOWIE.

LAGUNA MORTA, wyd. II.

THALASSA.

SAMBRA I MOZA, wyd. II.

PLONĄCY REIMS, w druku.

NAPOLEONIDZI, w druku.

Wierszem:

POEZYJE, serya II.

TRYUMFATORZY, 1917.

Studia polityczne:

PODŁOŻE WOJNY, FRANCYA I MY.

EDWARD LIGOCKI

SEN O DWERNICKIM

POWIEŚĆ

Już tam niejeden z Zabuzzańskich braci
Uchem przy ziemi każdy tętent ima.

Goszczyński.



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA ——— LUBLIN ——— ŁÓDŹ
KRAKÓW ——— G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK □ THE POLISH BOOK IMPORT. CO., INC.



821.1602.17: 929 Dwernicki

KSIAŻKA NINIEJSZA
JEST PIERWSZĄ W SZEREGU
POWIEŚCI Z EPOKI 1830—1833.

Pisana w Paryżu i w Szwajcaryi
w 1916 i 1917 roku.

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Copyright by Edward S. Liński, Bern, Switzerland,
Grand' Rue 72.

Kraków — Druk W. L. Anzycy i Spółki.

Panom

Dr. Jerzemu Mycielskiemu

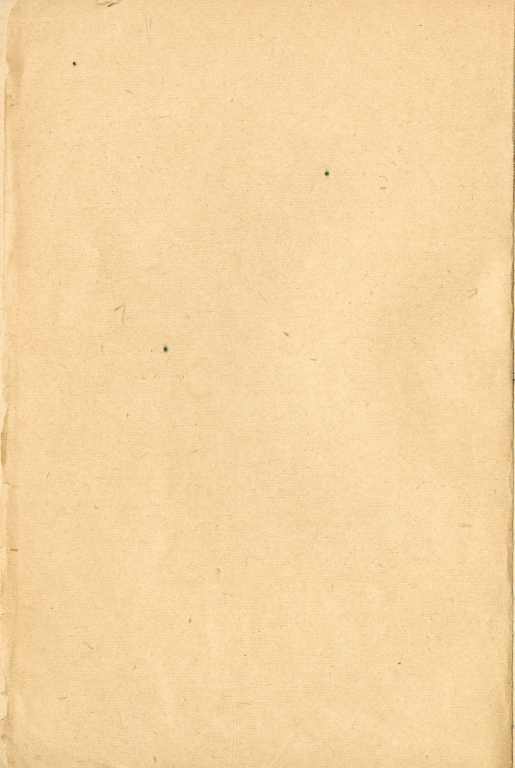
*profesorowi Uniwersytetu Jagiellońskiego,
członkowi Akademii Umiejętności*

i

Michałowi Łymierskiemu

*pulkownikowi Wojsk Polskich,
komendantowi 2 pułku piechoty.*

Kambrowo, 25 marca 1917.

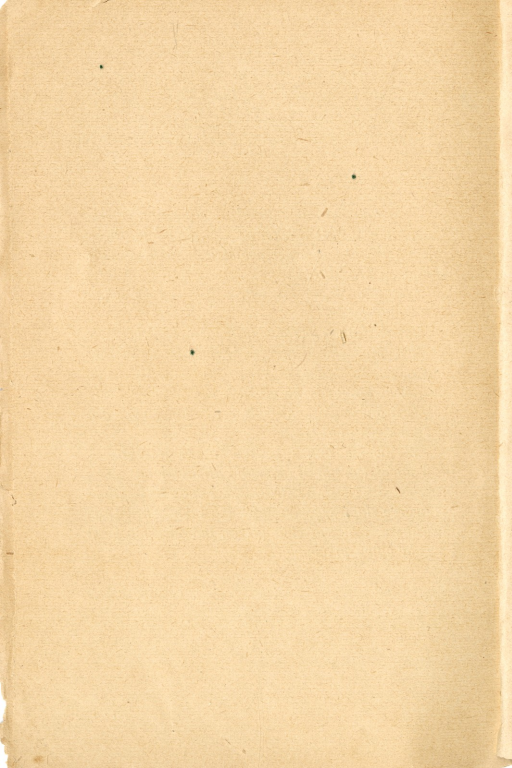


Trzy lata przeszło nawiedza mię jasny, słoneczny, żywy SEN O DWERNICKIM. Trzy lata dźwięczy mi, jak głos srebrnej pobudki, marsz Goszczyńskiego — ZA BUG!

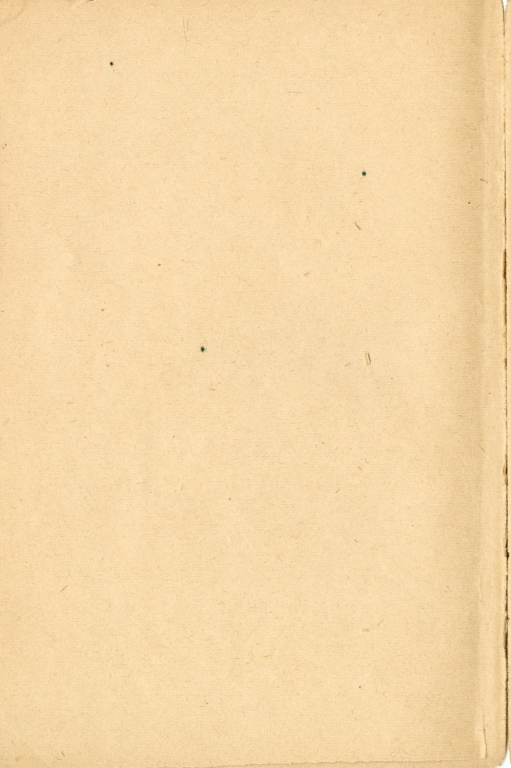
Wszystko to jest jak sen, i jak sen się splata z rzeczywistością.

Jakaż dziwna przedza tych lat ostatnich... Wir obcej wojny — kiedy tam, w kraju, pali się własna nasza, polska sprawa wojenna. Praca dla Ojczyzny, gdzieś, w mrokach, na grobach Emigracyi — kiedy w piersi bije serce żołnierskie — i rozbija swój ogień o zimne żelazo rozkazu.

W gwarze tym i podźwięku obcego oręża — tem silniej, tem żywiej wraca mi sen mój słoneczny — rycerski SEN O DWERNICKIM. Łamie się i rozbija o twarde słupy rzeczywistości — o nikłe sprawy codzienne — i, niczem chór grecki, milknie, gdy posel z pola bitwy przybywa.



MODLITWA



I.

18 grudnia 1830 roku.

Organy grzmiały w katedrze Kamienieckiej, licznie zgromadzeni co najprzedniejsi obywatele pozajmowali swe miejsca, dygnitarze w mundurach z gwiazdami i krzyżami błyszczeli złotem i szychem — szpalery wojenska stały wyciągnięte, kamienne, bez ruchu — kiedy siwy pan Wacław Jełowicki stanął na progu.

Przykleknął, zatrzymał się chwilę, i szedł krokiem powolnym, obojętnym, zdając się niedostrzegać nikogo i zmrużywszy oczy. Cała postać jego dziwnie nie licowała z tym szychem, z tą paradą mundurów, futer, strojów licznych dam, z tą niezliczoną ilością świateł, błyszczących wokoło. W ciemnej bekieszy, krojem staropolskim zrobionej, z wyłogami z czarnego baranka, człowiek ten zdawał się

zabłąkanym w inne jakieś środowisko, nawskróś obce, dalekie, i wyraźnie niechętnie.

Zwracały się ku niemu oczy — i śledziły krok jego, spokojny, trochę wyniosły, stanowczy. Błyszczący orderami generał Kabłukow rzucił mu niechętnie spojrzenie, kilku otaczających gubernatora oficerów moskiewskich trąciło się łokciami.

Wejście tego skromnie, prawie ubogo ubranego człowieka, tak oczywiście nic sobie nie robiącego z imienin cara Mikołaja, uczyniło wrażenie. Widać było, że się z nim liczą — że jest tutaj potęgą ten starzec, idący do wielkiego ołtarza z wyrazem przymusu i pewnego aż nadto wyraźnego niezadowolenia.

Ustąpił mu miejsca syn jego Edward, marszałek powiatu, i cofnął się parę kroków w tył. Pan Wacław Jelowicki oparł głowę na rękę, i zdawał się nie słyszeć, że już się msza kończy, że dźwięczą na Podniesienie dzwonki, że chór już zaczyna *Agnus Dei qui tollis...*

Otaczały go przeważnie siwe, krótko strzyżone głowy, kilkunastu mężczyzn w sile wieku, trochę młodzieży. Niektóre z tych głów, posrebrzonych siwizną, nosiły głębokie blizny, mówiące o niedawnej jeszcze przeszłości, o wojnach Napoleońskich, o insurekcji — a może nawet o sławnej, wiekopomnej pamięci KONFEDERACJI BARSKIEJ. Wszyscy ci lu-

dzie, obywatele szanowani i znaczni, mieli podobny wyraz niechęci, podobne skrzywienie ust, jak i pan Wacław Jelowicki. Widać było, że przyszli tutaj wbrew woli, że piastując krajowe godności, i dbając o resztkę władzy polskiej w tych stronach, stawili się na to obowiązkowe nabożeństwo w dniu św. Mikołaja, który to patron sam zapewne krzywem okiem spogląda, że z jego imieniem związana jest ta posępna parada.

Kobiet nie było prawie zupełnie w ławkach zajętych przez panów polskich. Oficerskie towarzystwo zato, otaczające Kabłukowa, krzykliwością barw, ekscentrycznością sprowadzanej z zagranicy kosztownej tandety mówiło o gustach tych rezydujących razem z wojskiem moskiewskich dam, nieprzyjmowanych nigdzie, uważanych przez domy polskie za coś nieskończenie niższego, godnego li tylko zimnej i obojętnej pogardy.

W bocznych nawach katedry tłoczyła się gawiedź miejska, chłopci okoliczni, grupy prawosławnych popów, zazdrośnem okiem patrzących na tę katolicką uroczystość za prawosławnego cara, żołnierze różnych znaków i broni. Cicho się zrobiło wokoło, bowiem ksiądz kanonik Łomnicki wstępował już na kazalnicę, zaś organista, dumny ze swego kunsztu, po

arcytrudnym pasażu urwał na donośnej wio-
linowej nucie.

— Jeszcze to kazanie — myśleli obecni. —
Jeszcze wysłuchać to wszystko, co biedny ksiądz
kanonik z trudnością wykrztusi, o dobrodziej-
stwach carskich, o szczęśliwym panowaniu,
o losie wiernych poddanych — —

Tymczasem ksiądz Łomnicki wstępował
zwolna na schody, krokiem niepewnym, jakby
lunatycznym prawie, przymykając chwilami
oczy.

Ukląkł przed Ewangelią, ręce nad głowę
załamał, i modlił się długą chwilę.

Powstał, jakby natchniony, i nie otwierając
księgi, głosem silnym, donośnym, skandując
każde słowo, zaczął cytata z Pisma św.

— *I przyjdzie człowiek zwany Jan —
który was z niewoli wybawi —*

Pan Wacław Jelowicki podniósł głowę,
zdumiony. Wszystkie oczy wpiły się w twarz
księdza. Zdawało się, że coś zawisło w powie-
trzu, przyczaiło się, zadrżało —

— Z jakiejże otchłani potępienia głos nasz
laski Twej wzywa, o Panie miłosierny — wo-
łać zaczął z ambony ksiądz. — Do jakiegoż
upadku, do jakiej sromoty dopuściła nas Two-
ja ręka? Jakżeż gorzką jest dola, dziedzictwu
Piastów i Jagiellonów sądzona? Gdzież jest ra-
dość i chwała, i miniona potęga, która wiodła

przed laty Żółkiewskich i Batorych? Która niosła daleko sztandar z wizerunkiem Bogarodzicy, Panny Najświętszej, Królowej Polskiej Korony? O, narodzie, narodzie, któryś upadł, powalon brzemieniem żywota — z jakiejżeż zmrocznej otchłani wydziera się ku niebu twoja gorzka skarga?...

Ciężka, ołowiana cisza zawisła pod nawami katedry.

— Przywołaj wielkie hasła przeszłości — wspomnij czasy minione, kiedy ludy dalekie ze czcią i uwielbieniem wymawiały twe imię! Kiedy drżała przed tobą moc szwedzka, kiedy bladł sierp pogańskiego miesiąca, kiedy łamały się szyki niewiernych na polach Chocimia, pod murami Wiednia!

— Przeszłość ta żyje jeszcze — tętni w krwi waszej, i w sercach waszych. Na to wam życie dał Bóg, byście to życie godnie wypełnili, i by wszechobecną w was była ta wielka pamięć przeszłości, ta miłość niepojęta rzeczy zda się umarłych — a które żyją — żyją — żyć będą — i do których krew wasza i życie należy!

Zerwało się nagle echo rosnącego szmeru, zgrzyt krzeseł o kamienie posadzki, szurganie nogami, dzwonienie ostróg oficerskich. Gubernator stał, szarpiąc nerwowo rękawiczki, nie wiedząc co począć, zmieszany i zaniepokojony. Zwarły się dwie grupy — wojskowi ro-

syjscy niepostrzeżenie zbliżyli się do swoich, stali zwartą gromadką. Szlachta polska skupiła się koło prezbiterium, coraz liczniejsza, coraz bardziej zdecydowana. Z bocznych naw płynęły coraz nowe fale — nieszczęństwo, chłopi, wszystko to garnęło się ku prezbiterium, gdzie zamysłony, jakby ciągle modlący się jeszcze, siedział siwy pan Wacław Jelowicki, w swojej skromnej barankowej bekieszy, otoczony synami, krewnymi i szlachtą.

Działo się coś niezwykłego. Gubernator co chwila spoglądał ku drzwiom — ale wyjść nie śmiał — ksiądz Łomnicki tymczasem kazał głosem potężnym, słowem silnem i żywem. Mówił o wielkich dziejach — i o ciężkich grzechach przeszłości. Mówił o dopełnieniu się kielicha goryczy, o niechybnej łasce Bożej i przebaczeniu. Mówił o wiekopomnem dziele narodu, dopuszczającego inne stany do życia ogólnego, w imię prawa, sumienia, wolności.

— Boże wspomagaj lud, Tobie wierny! — zawołał. — Boże Abrahama, Izaaka i Jakóba, któryś wywiódł naród z ziemi Egipskiej, z domu niewoli — Boże, wspomagaj nas!

Zagrzmiały znowu organy, dymy kadzielnic podniosły się od ołtarzy. Hymn przepotężny — *Te Deum laudamus* — huczeć zaczął, przepyszny, jędrny, głęboki.

Nie, to nie za cara Mikołaja rozbrzmie-

wa ta pieśń radosna. Niczem jest dzisiaj gryząca myśl o carskich imieninach, z którą przyszliliśmy tutaj — powiadają w duchu ziemianie polscy. Czyżby Warszawa? Nie, przecież nic nie wiadomo. A może ksiądz wie? Wiedzieliby przecież inni. Coś niezwykłego się święci. Ciebie Boże chwalimy. Ileż razy ta grzmiąca pieśń rycerska płynęła po ziemiach Podola? Ileż razy grzmiała pod tem samem sklepieniem katedry? Ileż razy śpiewały ją rycerskie skrzydlate chorągwie — lat temu sto kilkadziesiąt zaledwie — kiedy tam, pod baldachimem, zasiadał o karabelę oparty, rycerski król Jan?

— — — — —

Fala tłumna, zwichrzona, niespokojna, zalała wnętrze środkowej nawy, zlamala szpalery wojska, ogarnęła obecnych. Co znaczy to kazanie? Jak się zachowa władza? A więc rzeczywiście już blisko, już trzeba myśleć o broni?

Wychodzili wszyscy, przeciskając się w tłumie, zatrzymując wzajemnie, szepcąc, wypytując o wiadomości.

— Nic nie wiemy — odpowiadają Jelowicy. — Nic nie wiem — mówi Denisko. — O niczem nie słyszałem — powiada Herman Potocki. — Samiśmy radzi wiedzieć — szepce ktoś jeszcze.

Tłum zalał plac przed katedrą — wojska nie widać prawie. Policya z trudnością snuje

się między gawiedzią. Niema mowy o wsiadaniu do sani — idą wszyscy pieszo, bocznemi uliczkami. Gdzieniegdzie widać zaprzęgi, otoczone tłumem, przesuwające się zwolna.

Nikt jeszcze nic nie wie — śmielsi robią przeróżne przypuszczenia, domysły. Ktoś puścił wiadomości o rzezi w Petersburgu, ktoś inny o wojnie, wypowiedzianej Francyi przez cara.

Na Nowym Zjeździe było już znacznie luźniej. Pan Edward Jełowicki siedział w swoich saniach z bratem Aleksandrem, czekając na ojca — kiedy jeździec jakiś, na spienionym koniu, zwrócił jego uwagę. Poznał swoje barwy i stajennego konia — jeździec dojrzał go również, zeskoczył z siodła, rzucił się ku niemu, obejrzał wokoło, ręce do ust przyłożył i, zadyszany, nachylił się do jego ucha:

— Panie marszałku! Powstanie!

— Co ty mówisz?!

— Pan Nagórniczewski. Kazał do pana marszałka. Był i pojechał. W Warszawie powstanie. Jutro trzy tygodnie. Pan generał Chłopicki —

— Skąd wiadomość?

— Na Chrystusa Pana przysięgał się pan Nagórniczewski.

— Ojczy, ojczy! — zerwał się z sani marszałek, widząc siwego pana Wacława, mijającego.

jącego ich w tłumie. — Niechże ojciec słucha! Powstanie już wybuchło w Warszawie!

Jasnym, spokojnym wzrokiem spojrział na synów pan Waław Jełowicki.

— Chodźcie — odpowiedział. — Ksiądz kanonik jeszcze nic nie wie.

— Cóż więc to było, to kazanie? Proroctwo?

— Czyż i to niemożliwe? — odparł ojciec, biorąc obu synów pod ręce, i uśmiechając się do nich.

W oczach jego błyszczały dwie łzy.

Grupa ludzi już się koło nich robiła. W mig uchwyciono, że są jakieś wieści. Jełowiccy szli pośpiesznie, wbrew fali, starając się przebić przez tłum. Ale goniono już za nimi. Docisnęli się jakoś do domu biskupiego, przez ogród, od kanonii. Ksiądz Łomnicki, bez czapki, stał na schodach, otoczony, rozwodząc rękami — jakby Boga na świadka wzywał — że nie wie, nic nie wie... Pan Waław Jełowicki dotarł do niego — powiedział, słów parę do ucha — ksiądz tylko ręce podniósł do góry — a wiedzieli już wszyscy, że Bóg miłościwy doczekać zwolił radosnej nowiny.

II.

Noc była wyiskrzona, mroźna. Jary głębokie, zasypane śniegiem, szeleszczące zeszlými liśćmi. Droga wiła się zboczami dolin, zbiegała po pochyłościach, wznosiła się na płaskowzgórza. Widać było wówczas przestrzeń szeroką, zalaną srebrem księżycowego światła. Krzyże samotne wyciągały wysoko swoje czarne ramiona — gdzieś, nad drogami siedziały rosochate, koszlawe wierzby — ciemne lasy widać było w oddalach. Droga znaczona była wiehciecami słomy na tykach, powbijanych w śnieg. Miejscami stały karczmy przydrożne, ogromne, ciemne, o wysokich dachach, opierających się niemal o przyzby. Zaspę śniegu leżały wokół — nikt nie słyszał psów — słychać było chwilami, gdy milkły dzwonki uprzęży.

Wioski były takie ciche, spokojne, białe od śniegów zwalonych. Gdzieś tam czerniała plama wyrzuconego popiołu — bądź też rude,

kosmate psie cielsko zrywało się skądś z przyzby czy z pod ciepłego chlewu. Długie, przeciągle ujadanie odprowadzało przejezdnych. Inne psy odzywały się dalej — czekały w opłotkach — rzucały się za końmi, skakały im czasem do piersi — pomimo wyciągniętego kłusa i złośliwego chrapania pomęczonych koni.

Odprowadzało to szczekanie sanki biegnące o stajanie, o dwa. Wreszcie, zmęczone psiska opamiętywały się, wracały do swoich chlewów i swoich opłotków. Migaly zabudowania gospodarcze — szerokie stodoly, sterty niewymłóconego zboża, długie, wyciągnięte wołownie i stajnie, ciemne gąszcze ogrodów. Kołatanie stróżów nocnych odzywało się u bram — chwila oczekiwania — i spocona, parą buchająca czwórka lekkiego truchta zakręcała półkolem dziedzińca.

Budził się dwór — światła błyskały za okiennicami — słychać było zgrzyt rygla i senne głosy służby.

— Kogóż to Bóg prowadzi — odzywał się głos gospodarza, w bermycy i kożuszkę stającego na progu.

— Edward Jelowicki —

— Sąsiada dobrodzieja! Gość w dom —

— Sąsiad pozwoli, że na osobności —

— Ależ prosimy! Zaraz każe jeść podać.

Zona już nie śpi —

— Sąsiad daruje —

— Cóż to mości dobrodzieju? W szlacheckim domu —

— Ależ sąsiedzie! Powstanie!

Gospodarz przeciera oczy, jakby ponad nim wisiał jeszcze sen.

— Powstanie?... Skądże tak raptem?

Zapominając o gościu, szlachcic biegnie w głąb domu, przewraca stolki po drodze — i krzyczy —

— Maryniu! Zosiu! Antolko! Powstanie! Dalibóg powstanie!

Zbiegają się chłopaki w koszulinach — córeczki w czepeczkach nocnych i narzuconych naprędce salopkach — bose nóżki cicho stąpają po zimnej podłodze.

Pani Marya wpół senna, przerażona i uśmiechnięta nieziemską jakąś radością uchyla drzwi, patrzy na sąsiada, oczom nie wierzy...

— Więc sąsiad powiada? Był goniec od Rządu Narodowego? Więc wielki książe uciekł? Pan Piotr Wysocki, powiada sąsiad? A generałowie? Chłopski dyktatorem? Gdzież jest Kniaziewicz? A cóż robi nasz kochany pan generał Dwernicki?

Konie parskają na dziedzińcu, zimny wiatr dmucha przez otwarte na przestrzzał drzwi, które wszyscy zamknąć zapomnieli. Służba

w drzwiach wpółotwartych kredensu, słucha baczenie, co też państwo mówią...

— Ja pójdę do ułanów! — woła czterna-stoletni Józio.

— Widzieliście go! Spać, smarkaczu jeden — gromi ojciec, rad z żyłki żołnierskiej synaczka. — Ale sąsiedzie kochany — może co zjeść — rozgrzać się — na kominku zapalić? Iwan, złodzieju jeden, podsłuchujesz tutaj? Marsz drzewa dorzucić. Wódeczki — Maryniu, półgaska i wódeczki.

— Czas w drogę — odpowiada Jelowicki. — Tam do Uszycy jedzie Nagórniczewski. Ja objeżdżam Kamienieckie. Dajże nam Boże —

— Choć kieliszeczek, sąsiedzie dobrodzieju! A cóż — jakie rozkazy?

— Czekać, rychło już pewno wejdą w nasze ziemie polskie chorągwie —

— Matko Przenajświętsza!

— Ułani, oficerowie — szepcą dziewczęta, skulone za fotelem...

— Niech Bóg prowadził!

— — — — —
I znowu dźwięczą dzwoneczki przy upręży, suną się lekkie sanki po ubitych drogach. Mijają tyki wysokie z wiechciami słomy, mijają rzadkie drogowskazy i czarne krzyże, wysoko wyciągające ramiona. Szczekanie psów

się ożywa — noc taka jasna, wyiskrzona gwiazdami, świecąca iskrami tęczy i lodu po śniegach.

Coraz dalej, coraz ciszej... Nie słysząc już dzwonków, ani tętentu złotych kasztanów pana marszałka Jelowickiego. W ciemnym dworze drewnianym, pod gontowym dachem, obciążonym zwałami śniegu, w sypialni pani domu, klęczy cała rodzina przed ołtarzykiem, eschłymi nieśmiertelnikami ubranym. Drżącymi głosami odmawia litanie do Matki Boskiej. Już dawno skończona litania, i Pod Twoją Obronę. Zdrowaś — a jeszcze klęczy matka i dwoje dziewcząt przytulonych do siebie...

Gospodarz idzie do kancelaryi, świecę nożycami objaśnia, zdejmując ojcowską szablę ze ściany.

Konfederacka szabla. Pamięta Częstochowę. Wyjmuje z pochwy, ostrze ogląda, próbuje plamy rdzy, czy głęboko się wżarły.

Wtem hałas jakiś budzi go z zadumy, trzask przewracanych mebli, szcęk walącego się żelazniwa. Ze świecą w ręku staje w progu przed-sionka.

— Józek, łobuzie jeden, a co ty tu robisz?

Józek milczy i patrzy ojcu w oczy nieśmiało. Cała broń myśliwska na ziemi, oberwane rogi jelenie, tynk poobijany, glina —

Józek dostrzega szablę dziadowską w ręku

ojca i jakoś mu się różniej robi na duszy, pomimo że wszystko powywracał, zwałił rogi jelenie, i rozsypał śróty, za co już nieraz brał w skórę.

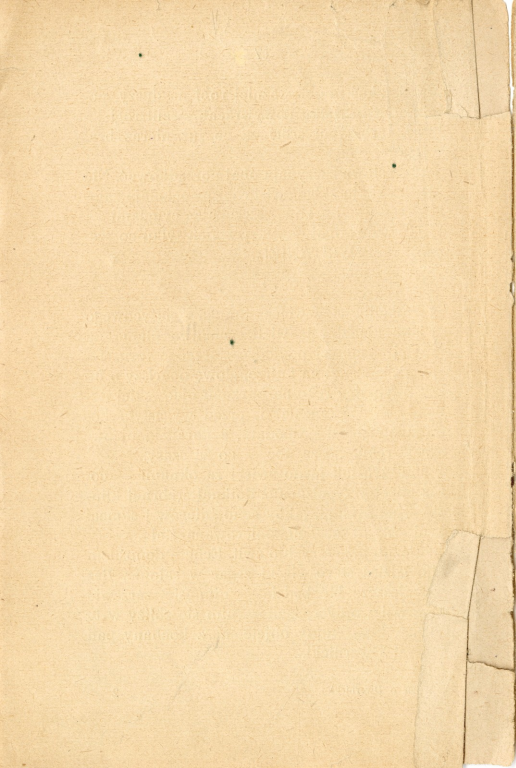
Bez słowa zaczynają obaj porządkować. Nie klei im się to składanie broni — oglądają zamki, próbują kurków, szczękają cynglami — i nie wiedzą obaj — który z nich tylko co szepnął — **POWSTANIE!...**

* * *

Dopaliły się świece. Smuga księżycowego światła kładzie się wielką białawą plamą na prostej sosnowej podłodze starego dworu. Józio gdzieś usnął na kufrze, głowę oparłszy o futro, trzymając rękę na kurkach ojcowskiej dubeltówki. W kancelaryi, przed wygasłym kominkiem siedzi gospodarz, z karabelą ojcowską w ręku. Co za noc — co za czasy...

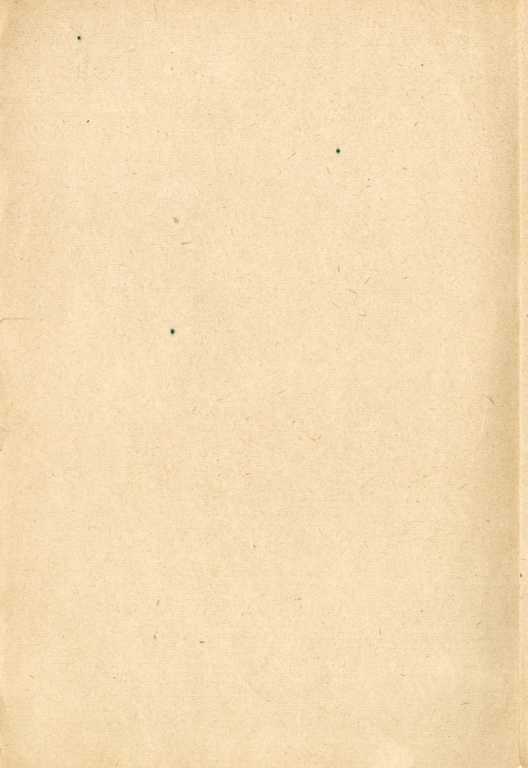
Księżyc tak jasno świeci za oknami — coraz bliżej przypelza. Już dotknął srebrnej klingi — już błysnął, jakby echo śniegów i słońca. Lśni ostrze karabeli, polerowana stal...

Późno już — rychło świt. Echem donośnem bije gdzieś staroświecki zegar w salonie. Ileż razy jeszcze bić będzie — nim się zarzewie krwawej wojny rozpali — nim się zbliży w te strony, luną wojny objęte, nasz kochany pan generał Dwernicki...



JÓZEF DWERNICKI





III.

Podkomorzy Faustyn Dwernicki, starosta jaltuszkowski, był to statysta raczej niż wojak, mimo że za młodu brał udział w pełnej chwały i szczytnej świetności konfederacyi Barskiej.

Szlachciec dosyć zamożny, skoligacony doskonale, był on jednak tym pierwszym swego rodu, który doszedł aż na dwór królewski i stanął w szeregu jaśnie wielmożnych. Podczas gdy szwagier jego, kasztelan Bartek Giżycki wciąż wzrastał w znaczenie i przysparzał fortuny, a wreszcie zasiadł w senacie Rzplitej jako wojewoda bełzki, — pan Faustyn spokojnie w Balinie swoim na Podolu siedział, gospodarował, z przeciwnieństwami dawał sobie radę, jak mógł, biadał nad zmiennością przeznaczeń, i rad podejmował sąsiadów, otoczony starymi Barszczany.

Dobre to były czasy, mimo ciemnej ręki przyszłości, na ścianie mroków *Mane, Tekel, Phares* piszącej. Żył jeszcze fala dreszczu po-

tęgi i siły, zrodzonego w proteście Podola po roku 1772. Wszyscy ci ludzie nie ostygli jeszcze w słusznym swym gniewie i gorącym żalu, pełnym podniet do czynu. Książę Marek, Częstochowa — były to dni, które jeszcze przebrzmieć, ani wygasnąć nie zdołały zupełnie. Podkomorzy Dwernicki do Warszawy jeździł niechętnie, mimo że być musiał przy dworze i że mimo rozbioru przynależność Rusi do polskiej Korony żywa była jak nigdy.

Podczas jednego z tych koniecznych pobytów w Warszawie narodził mu się z żony Franciszki Załęskiej, syn Józef, 19 marca 1779 roku.

Ojcowskimi przeczuciami wiedziony,jął go podkomorzy sposobić od maleńkości do wojennego rzemiosła. Gorzkie lata dalszych rozbiorów widzą Józefa Dwernickiego kadetem artyleryi, w nowej szkole królewskiej. Ale wszystko się mąci. Mijają dni ostatniej nadziei — rozpacz i trwoga ukazują w ciemnościach widmo innej przyszłości. Tymczasowość przeznaczeń, cały charakter życia, ustroju publicznego, przewidywań, zbliżających się czasów krwi i pożogi — wszystko to targa ludźmi jak wiatr w pustem polu. Podkomorzy umiera w r. 1803, zostawiając syna panem znacznej, nie obdłużonej zupełnie fortuny.

Śmierć ojca jest może jedynem donioslejszym zdarzeniem w rodzinie. Dwudziestoczte-

roletni Józef Dwernicki jest już od lat kilku żonaty i ma troje dzieci. Wszystko się uciszyło wokół. Po klęskach wojny przyszły czasy pracy na roli i plonów stokrotnych. Niebywale urodzaje sypią się na spustoszone wsie polskie. Życie samo zdaje się układać inaczej; w sposób lepszy — choć gorzki, dostatni — choć zatruty głodem rzeczy dawnych, niepowrotnie już zda się minionych.

W roku 1806 Dwernicki kupuje Zawale, spory szmat ziemi i dwór pański nad Zbruczem. Nie sądzono mu dłużej w nim mieszkać, jak tylko lat trzy, mimo pół wieku przeszło czekającego nań życia, pełnego dni tak różnorodnych, tak bardzo niespodziewanych, jak tylko w tych czasach bywało.

W roku 1809, kiedy Polska znów z gruzów się wznosi, Dwernicki własnym sumptem ekwipuje znaczny oddział konny, przeprowadza się wpław przez Zbrucz, i pod pułkownikiem Strzyżewskim bierze udział w bitwach pod Winawką i Zaleszczykami. Awansuje na kapitana w 15 pułku ułanów, pod Trzecieskim. Wielkie cnoty wojenne, odwaga, brawura niesłychana, zyskują mu imię rycerskie. Sam książę Józef obdarza rotmistrza Dwernickiego krzyżem *Virtuti Militari*.

Aż do roku 1812 Dwernicki jest w kraju.

Wyrusza potem z pułkiem do Moskwy i dzieli niezliczone trudy i klęski kampanii.

Z prostym żołnierzem śpi na śniegu, potem, pod gołym niebem. Nie korzysta z praw szarzy swojej, ostatni kęs chleba i łyk wódki z manierki oddaje. Pan, na miliony florenów majątek liczący, gdy pułkowych pieniędzy nie stało, żold płaci z własnej szkatuły, zadłuża się u Żydów lichwiarzy, jak kruki się snujących za wojskiem. Z żołnierzem swoim razem znosi głód i zimno, i nędzę, jest jak on, bez grosza przy duszy, i jak żołnierz tej smutnej, acz pełnej chwały wyprawy, już nawet na sprzedaż nic nie ma. A jednak on w najlepszym stanie doprowadza swój pułk od Moskwy, przez topiel Berezynską, do samej Warszawy, zastępując chorego Trzecieskiego. Major 8 pułku ułanów, otrzymuje krzyż kawalerski. Reorganizuje dywizję Dąbrowskiego, rozbitą prawie doszczętnie, i niemal z niczego tworzy ułański *pułk czwarty*.

Odtąd dyaryusz majora Dwernickiego staje się jedną z kart nieśmiertelnych splendoru wojsk polskich. Pod Wittenbergiem Dwernicki pierwszy rzuca się na szançe. Jenerał hr. Pac i marszałek Berthier przedstawiają go Napoleonowi, który mu przypina krzyż Legii.

Nastaje wielka bitwa narodów, walka pod Lipskiem. Dwernicki jest ostatni, który osłaniał

korpus księcia Józefa. Cały korpus już poszedł w rozsypkę, a od strony łąk nad Elsterą Dwernicki stał jeszcze, i zeszedł z placu boju ostatni.

Pułkownik 2 pułku ułanów, mianowany przez Napoleona, walczy pod Paryżem, obok generałów Vincens, Compans i marszałka Moncey. Ostatnie kule, wystrzelone w Suresnes, były ogniem polskiego oręża. Ostatnie kule sprzymierzonych padły w pułk Dwernickiego.

Pod Claye spotyka Dwernickiego propozycja przejścia na stronę rosyjską.

— Zapominasz, mości panie — odpowiada wysłańcowi Aleksandra I — że mówisz do żołnierza, któremu przed wszystkim święty jest honor jego i znaku pod którym służy. Polacy w złej czy dobrej doli dotrwają tym, z którymi tyle przygód podzielili.

Parlamentarz odjechał, poczem wrócił z nowymi propozycjami, jeszcze wspanialszemi, obiecując prócz tego znaczne korzyści i honory osobiste.

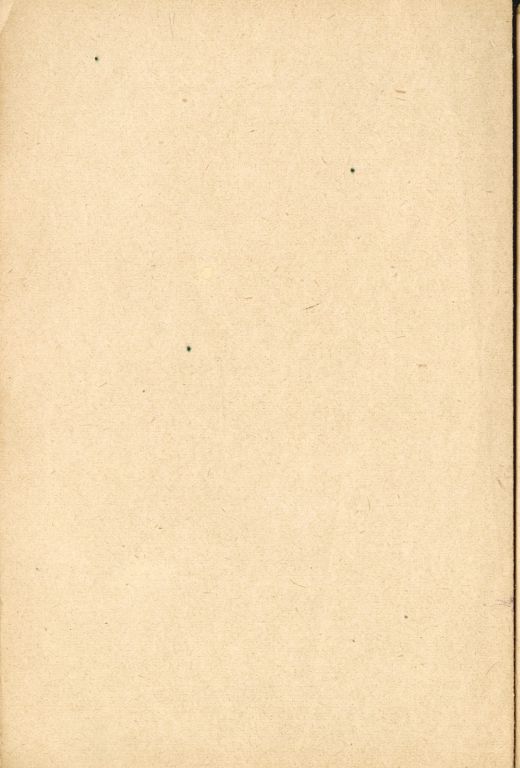
Dwernicki zaklął »cierpko i wyraźnie«, poczem gestem wymownym wskazał drzewo pobliskie i dotknął szyi.

Po ustąpieniu Napoleona, Dwernicki na mocy traktatu pokojowego przeszedł pod rozkazy

Aleksandra I. Był jednym z pierwszych w orszaku polskim przyszłego króla polskiego, gdy ten »król polski« w Fontainebleau odwiedził Kościuszkę.

Dwernicki wcześniej niż inni przestał mieć złudzenia co do polskości Królestwa Kongresowego. Zadziera w ostry sposób z wielkim księciem Konstantym. W czasie sławnego procesu 1826 roku otrzymał rozkaz eskortowania więźniów do sali sądowej pod bronią nabitą. Odpowiedź jego przeszła do historii. Ostre ładunki zostaną w ładownicach, i nie będą użyte przeciw ludowi. Dwernicki musi opuścić Warszawę, a jednak podczas koronacji Mikołaja I, jako najstarszy z pułkowników, liczący 12 lat rangi, zostaje generałem brygady strzelców konnych, z kwaterą w Sieradzu.

LISTOPAD



IV.

Hrabia Jan Koziębrodzki dość już miał tych żołnierskich manier i podolskiego hreczkosiejstwa. Jeżeli nie polowanie, to karty, jeżeli nie karty, to anegdoty wojskowe, a w najlepszym razie rozstrząsanie dawno minionych miłości w Hiszpanii, w Paryżu, czy gdzieś na popasach bawarskich.

Skarżyć się trudno na melancholię, to prawda — ale też niełatwo o chwilę spokoju. I ten dym — tyle dymu — fajki, cygara, papierosy, mokre buty oficerskie po całodziennem polowaniu, zapach potu końskiego — wszystko to czyniło z kwatery jeneralskiej coś w rodzaju kantyny, czy doraźnego popasu w zapadłym dworku ubogiego szlachcica.

Całe wnętrze mówiło o gustach gospodarza. Kanapy w stylu pierwszego cesarstwa, pookrywane skórą niedźwiedzi, proste zydle z piekarni, stoły z białego drzewa — obok których widać było krzesła Louis XVI i stoliki do

kart misternej snycerskiej roboty. Wszystko było odrapane, kosztowne obicia podarte ostrogami, lakier stołów poznaczony krążkami przelanych przez brzegi kieliszków, mokrych flaszek, powypalany żarem cygar, zostawionych byle gdzie i zapomnianych w ferworze.

Obrazów na ścianach było niewiele: kilka portretów, przeważnie z czasów napoleońskich, parę szkiców słabego pędzla, lecz ognistej treści. Widać było w tym dworku podmiejskim w Sieradzu, że niemasz ręki kobiecej, któraby ład i porządek tu wniosła. Przeciwnie — gusta żołnierskie, byle było wesoło, ciasno, wygodnie, jak Bóg da.

To też od pierwszego dnia pobytu w Sieradzu hrabia Jan się zupełnie nie dziwił, że pani Julia Dwernicka woli siedzieć na Podolu, w Zawalu, mieć święty spokój i nie walczyć z upodobaniami mężowskiemi napróżno.

Zrana było jeszcze jako tako. Jenerał w szlafroku, z fajką na olbrzymim cybuchu, wpołu leżąc wysłuchiwał raportów, przerywając co chwila oficerom, wołając dla odmiany kucharzy, dojeżdźaczy, wachmistrzów, mających specjalne baczenie w jeneralskiej stajni.

Gdy mu się to wszystko znudziło, brał raporta do ręki, przeglądał niedbale, i dymił przy tem niemilosierdzie, skubiąc przyszczyżonego wąsa. Parę razy na tydzień wpadał w zły hu-

mor. Wówczas wszystko się zmieniało doszczętnie.

Jenerał wychodził w mundurze, stał najczęściej, czem wszystkich zmuszał do stania, cedził niedbale słowa, przeplatając francuszczyzną, mierzył winnych oczyma od stóp do głów, rzucał rozkazy od niechcenia i odsyłał do kancelaryi.

O ile Koziebrodzki wzdychał do tych kwasyńnych dni jenerała, o tyle podwładni bali się ich, jak ognia. Niejeden dwudziestoparoletni porucznik wołał oberwać szturchańca, najeść się wstydu, nasłuchać drwin i wymyślań przed frontem, niżeli polykać w milczeniu cierpkie uwagi, cedzone lodowatym głosem.

Hrabia Jan był już od tygodnia w Sieradzu, czekając na córkę swoją Joannę, od niedawna Tytusową Dwernicką, synową jenerała, która miała tu z mężem przyjechać z Podola.

Jakżeż inaczej wyobrażał sobie kwaterę Dwernickiego! Dwór jego w Zawalu był zupełnie inny — typowy dostatni dwór polski na Rusi, prowadzony na stopę niemal że wielkopańską. Jan Koziebrodzki nie wyobrażał sobie córki w tem otoczeniu, w tej atmosferze.

— Markietankę mi zrobić zechcą z Joasi, — myślał, przewracając się co nocy na twardem łóżku gościnnem, które okryć kazał pledami, kłula go bowiem słoma, czy siano wylażące

pod prześcieradło. — Nie dam krzywdy zrobić dziecku — mówił sobie w duchu. — Obronną ręką wywiozę, pod karą wydziedziczenia zakażę Tytusowi ją tutaj przywozić. A zaś, *traineurs de sabre*, coście się po całym świecie włóczyli, Bóg wie poco i naco, od jednej karczmy do drugiej, hreczkosieje, jarmarkowicze, moczygęby, karciarze, niedoczekanie wasze...

V.

*29 listopada 1830 roku
w Sieradzu.*

Humor hrabiego Jana był wprost fatalny, od wczesnego rana, kiedy sam Dwernicki go bez ceremonii obudził, stukając fajką o ziemię, wszedłszy bez pukania do jego pokoju.

Jenerał trzymał list w ręku, przywieziony przez kuryera z Warszawy, od Tytusa. Mieli dziś jeszcze stanąć oboje z żoną w Sieradzu.

Dwernicki był rozpromieniony — usiadł na łóżku, opowiadał anegdoty, trząsł się ze śmiechu, i machnąwszy nieostroźnie cybuchem, filiżankę niedopitej kawy hrabiego wyrzucił na poduszkę. Koziębrodzki był wściekły, ledwie mógł złość pohamować ku wielkiej ucieście gospodarza. Lokaj Koziębrodzkiego zmieniał mu koszulę, zasłaniał oblaną kawą poduszkę, podawał ręcznik skropiony wodą lawendową, lu-

sterko, wydobywał z puzdra kosmetyki w srebrnych ampułkach.

— Dalibóg — cieszył się Dwernicki — pachniesz hrabia jak loretka. Aż złe myśli człowiekowi przychodzą. Do dyabła — takie puzdro woził ze sobą Joachim Murat. Jak dziś pamiętam, że się jakaś popówna, pod Smoleńskiem, u której kwaterował, pomady do włosów najadła. Dobrze było? pytam. Hydkie, panie ochficer, powiada, zato pachło jak róża.

Hrabia Jan jeszcze nie był ubrany, kiedy zaczęli się schodzić oficerowie na śniadanie, ku wielkiej jego rozpacz.

— Tak już będzie, jak codzień — myślał. — Znowu jarzębiak, przepalanka, piwo, fajki, cygara — żeby choć do końca poczekali — a to przy pieczeni — Jasiek, ognia! Maciek, ognia, psiawiaro! A skaranie Boże z tym domem i z tą rodziną...

Śniadanie było jوتا w jotę takie same jak codzień. Takie same kieliszki od-reńskiego wina do wódki — takie same kotlety siekane, zwieszające się z obu stron półmiska, tego zaprawione cebulą. Takie same grube, szare obrusy — i powietrze — pożał się Boże — gorsze, niż pod Obrazem, w Krakowie...

Hrabia Jan, małomówny jak zwykle, kwaśny jak prawdziwy hrabia galicyjski, czekał z drżeniem w sercu, czy, przy końcu śniada-

nia, jenerał jak zwykle, poprosi do siebie oficerów na wieczór. Stało się to zwyczajem — że dwudziestu przynajmniej jadło i piło przy stole Dwernickiego, który, by niczyich drażliwości nie wzbudzać, za każdym razem wszystkich na posiłek następny zapraszał.

Koziebrodzki dławił się niedopieczoną szarlotką, i patrzył z niecierpliwością na usta Dwernickiego, który zwykle nie jadał leguminy i zaczynał pierwszą fajkę z seryi popołudniowej.

Dreszcz nim wstrząsnął — dziś także! Jenerał nożem o kieliszek zadzwonił —

— Silence, messieurs — krzyknął któryś z oficerów.

— Mości panowie — przemówił sakramentalną formułką Dwernicki. — Gość w dom, Bóg w dom. Proszę pamiętać o wieczery. Przyjeżdża syn mój z żoną. Będzie trochę lepsze wino. Miła okazyja — nie wątpię o łaskawości waszej, panowie koledzy.

— Będą zapewne zdrożeni — wtrącił nieśmiało Koziebrodzki.

— To ich rozruszamy — odparł obojętnie jenerał. — Nie zapominaj hrabia, że jedziemy dziś popołudniu na whista do proboszcza. Będą pewnie damy. Ja wkładam mundur paradny i wszystkie ordery — dodał, patrząc z uśmiechem na błękitny frak swego gościa.

VI.

Zmrok już zapadał, gdy wrócono do domu. Koziebrodzki, zrezygnowany, wysiadł apatycznie z powozu, ślizgał się po lodzie kolein, ledwie przysypanym śniegiem. Jenerał, świeżo ogolony, rumiały jak zawsze, bez płaszcza, wchodził rażno na schody drewniane ganku swojego dworku pod Sieradzem, opartego o cztery baniaste kolumny, z Matką Boską nad drzwiami.

Przed nim szedł Koziebrodzki, zgarbiony, wysoki, w popielatym płaszczu i czarnym, stożkowatym cylindrze. Schody skrzypiały pod Dwernickim, służba otwierała obie połowy drzwi, by jenerał nie potrzebował iść bokiem i tuszę swoją mógł zmieścić swobodnie.

— Poco to roztwieranie drzwi — ze złośliwą miną zwrócił się do niego Koziebrodzki. Nie idziemy z monstrancją.

— Ale widzisz hrabia, za tobą zdąża Dwernicki, najmniejszy wzrostem, zasługą i znacze-

niem jeden z trzech tłustych generałów polskich. Znasz hrabia dwóch innych?

— Nie mam przyjemności.

— Otóż, Korytowski, herbu Mora, ma czarną głowę murzyńską na tarczy i czarne sprawki na sumieniu. Ja jestem herbu Sas, to też u mnie w domu trwają saskie czasy. A trzeci tłusty, Tomicki, nie wiem jakiego herbu, ale ma dwie pasye: szwarcuje zawsze tytoń i lubi żydom na komorze uszy obcinać. Nie wierzysz — zajrzyj do aktów terespolskich. A teraz chodźmy do jadalni.

Koziebrodzki oczom nie wierzył, tak się wszystko zmieniło. Ogromny stół, zasłany białym, haftowanym obrusem, gwałcił się od kryształów i srebra. W kącie, w skrzyni przybranej jedliną migotały srebrne wazy, pełne lodu, i sterczały szyje flaszek z szampanem. Na bocznych stołach ciasta, likiery — wszędzie bukiety i róże, kwitnące w doniczkach. Ani jednego psa nie widać było w mieszkaniu — za oknem Miś mruczał wściekły, że go na łańcuchu uwiązano przed domem, zamiast puścić wylegiwać się, jak zwykle, przed komin w salce jadalnej. Służba w liberyi — powietrze tylko prawie równie ostre jak dawniej, pośród tych ścian bielonych, przesiąkniętych na wylot niemal dymem fajczanym.

Zaczęli się schodzić oficerowie — w no-

wych, odświętnych mundurach, szytych srebrem i złotem. Krzyże *Virtuti Militari*, krzyże kawalerskie złote, gdzieindziej Legia honorowa, na ciemno-zielonem suknie munduru błyszcząca. Wypustki i rabaty żółte, trzeciego pułku przeważnie, żółte mankiety, srebrne guzy i naramienniki. Paradne spodnie zielone z żółtymi lampasami.

Pułkownik 3 pułku I brygady Dembiński, majorowie Julian Colonna Walewski, Błędowski, Dumarré, Okolski, Żelechowski, Franciszek Suchorzewski, Korwin Piotrowski. Było kilku młodszych oficerów, ex-wojskowy Józef Puzyna, kapitan artylerji konnej, stryjeczny przyszyły zięć Dwernickiego, mąż córki jego Hortensyi. Przybył proboszcz sieradzki, prałat Rzy-szczewski, kilku szlachty z sąsiedztwa — Jan Murzynowski, Aleksander Starzyński, Stanisław Walewski, ze trzech wolentaryuszy z dobrych domów kresowych, którymi jenerał zwykle rad się otaczał.

Koziebrodzki ledwie mógł ukryć swoje zadowolenie. Wymknął się do swego pokoju, zmienił obuwie, przyglądał włosy, naczesał starannie na skronie, i przestał już się martwić o los swojej córki.

VII.

Pani Tytusowa Dwernicka była jedyną kobietą wśród zgromadzonych. Nadskakiwali jej wszyscy, a zwłaszcza jenerał, z galanterią szczerą i niewymuszoną, prawdziwie polską, pomimo pewnego śladu w charakterze ogólnym, mówiącego o salonach pierwszego cesarstwa. Nie umyślnie, jak dawniej za czasów Stanisławowskich — ale nieświadomie zupełnie rozmawiający mieszały zwroty francuskie.

— *Votre mère va bien, j'espère?* — zwrócił się jenerał do syna. — To dobrze. Jest przy niej któraś z sióstr twoich? Olimpia, czy Olesia?

— Jest pewno jeszcze Hortensya.

— Dobrze. Długoście byli w Warszawie?

— Trzy dni.

— Wołyńskim traktem?

— Naturalnie.

— Śnieg był w Zawalu?

— Niewiele, w bruzdach.

— Oziminy przepadną?

— Mogłoby być gorzej, niech ojciec będzie dobrej myśli.

— Zwierzyna jest?

— Przychodzi z lasów, jak zwykle.

— Tak, a de rebus publicis, co słyhać?

— Wie ojciec zapewne, że proces towarzystwa Patryotycznego jeszcze nie przebrzmiał. Co zaś do Petersburga — to coraz więcej się mówi o zgnieceniu liberalnej monarchii we Francyi. Wszystko to razem wzięte układa się w bardzo niepomysłne dla nas konjunktury.

— Więcej przesady niż prawdy — mruknął stary Dwernicki.

— Więcej prawdy, niżby się zdawać mogło, panie jenerale kochany — odezwał się praelat. — Wie jenerał o tem, że ksiądz arcybiskup wyprawił tajną misję do Rzymu?

— O tem nie słyszałem — powiedział Tytus Dwernicki. — Wiem natomiast, że w Warszawie rojno jak w ulu. Zdawaćby się mogło, że stoimy na wulkanie. Nawet żona moja przestała czytać ballady i romanse pana Mickiewicza i zwróciła na to uwagę. Gdybym był Moskałem, tobym się czuł niewyraźnie. Nic dziwnego, że Mikołaj chciałby nam puścić trochę krwi...

— Mało ma wojny tureckiej — wtrącił któryś z oficerów.

— Zapewne, widziałem się z jenerałem Zaluskim, który świeżo wrócił do kraju. Brał on udział w całej wyprawie. Otóż, w tamtej armii trwa ponoć przekonanie, że my mamy iść w pierwszej kolumnie na zachód...

— Nom de nom de nom! — zaperzył się jenerał. — A zasię! Kałmuki jedne, zaprzedańcy! Dość już o tem gadają, byśmy nie wiedzieli, czego się trzymać!

— Umiał pan jenerał odpowiedzieć Konstantemu — odezwał się Walewski.

— Potrafię przemówić i do was, mości panowie! — dźwięcznym, donośnym głosem zawołał Józef Dwernicki. — Nie drgną naboje polskie, gdy lud zechce bronić patriotów, chłopów na schwał, z głową i z sercem. Dość tego wszystkiego! Wiemy dobrze, panowie, gdzie uczciwość i prawda. Dość już mamy tej komedyi Królestwa Polskiego, które królestwem nie jest, i którego polskość niepodoba się królowi. Dość już mamy tej komedyi w Sejmie. Chwała Bogu, trzymamy jeszcze karabin w garści. I te same naboje, mości panowie — palić się nam będą w rękę, gdy iść będzie o honor, o powinność, o kraj. Niech żyje wojsko polskie!

— Niech żyje! — powtórzyli wszyscy, powstając i wznosząc w górę kielichy.

Koziebrodzki wstał również — usiadł ra-

zem z innymi — ale oczom i uszom nie wierzył.

Czyż to ci sami ludzie, którzy, dziś rano jeszcze pili wódkę na umór, i jedli kotlety z cebulą, krzycząc, hałasując, dzwoniąc kieliszkami? Teraz, wznosząc toast za wojsko, z radością w oczach, z entuzjazmem w głosach i w geście — wydawali się gronem ludzi, wychowanych w salonach, żywych, czujących, ale pełnych niewysłowionej godności i powagi.

— I wszystko z powodu mojej Joasi — myślał Koziembrodzki, patrząc na córkę, małą, drobną, trochę egzaltowaną, w białej wyciętej sukni ze sznurem pereł na szyi. Dumny był z niej — z każdego szczegółu toalety, z modnej, wysokiej fryzury, z dystygowanego zachowania się dobrze ułożonej panienki.

Oficerowie prowadzili tymczasem w miarę ożywioną rozmowę, na temat dnia, który ich poruszał do głębi. Stanisław Walewski opowiadał o podchorążych warszawskich, o rozgałęzionej jakoby organizacyi tajnej, o której mówił mu jego kuzyn Poniński, przyjaciel Piotra Wysockiego.

— Czy nie uważacie panowie — perorował na drugim końcu stołu major Suchorzewski — że dość już mamy moskiewskiej opieki! Póki nas nieboszczyk Aleksander próbował gładzić po plecach, póty jakoś to było. Obiecywał pię-

kne rzeczy — i cóż stąd? Dowód dla potomnych, że nawet Aleksander uważał że niewypada już tak bez żenady kłaść łapę na ziemie litewskie i ruskie, należące do Rzeczypospolitej. A teraz — trudno powiedzieć że nas gładzą pod włos. Teraz drapią nas zgrzeblem, aż świeczki w oczach stają. Dość wspomnieć historię z Bonawenturą Niemojowskim, proces Łukasińskiego, albo choćby tę sławetną mowę tronową. Co za nędzna komedia parlamentarna! Radźcie sobie, byleście tak radzili, jak nam się podoba. To i poco proszę ja kogo, gardłować próżno i darmo? Żeby się wygadać? To łatwo, nieprzymierzając było gdzie, mości panowie, w koszarach, w traktyerni, w wiejskiej kawie, czy we własnym alkierzu. Kto łaskaw, może się wygadać i na czystym polu, adresuując perorę do własnej tabakiery, i dalibóg, jak mi życie mile, z równą korzyścią i z równem zadowoleniem...

— Więc wielki książę w Belwederze — mówił jeneral. — Cóż Władysław Zamoyski, zawsze dobrze widziany? Kiwaj głową, nie gadaj, prędzej pójdzie. Więc tak. Stary Krasieński, ten gorszy od Szczęsnego Potockiego, wiemy coś o nim. Chłopicki, powiadasz, Chłopickiego pod niebiosą wynoszą, cóż, kiedy kunktator, i nie masz nikogo, ktoby go za siwy łeb trzymał. Klicki powinienby już ziemię gryźć, a Kicki

Ludwik za młody. Rybiński, Krukowiecki, Skrzynecki — dobrze, bardzo dobrze, ale to nie szefowie. Niema głowy. Książę Adam czcigodny obywatel kraju, cóż, kiedy ani zimny, ani gorący, i ludziom wierzy, jak dziecko. Każdy wisielec go przekona, że ma czyste sumienie, i sto razy oszuka. Pan Sobolewski, pan Lubiecki, ten zwłaszcza... Hm, statysta, ale dobry po wojnie, nie podczas rewolucyi. Pan Lelewel, z tych demokratów, co to kochają lud, tylko chcieliby rozkazywać z pierwszego pietra. Młodzieniaszkowie, bawiący się w Maratów, zabawni, ale trudno ich brać na seryo. Gielgud, Chłapowski, Tyszkiewicz... starzy koledzy...

— Chłopicki, proszę ojca...

— Zawracajcie głowę Chłopickim, a ja, stary żołnierz wam mówię, *et je suis du métier*, że tu na nic Chłopicki. Nie polityka w wojnie coś znaczy, a wiara we własne siły, energia, nie melancholia, do stu dyabłów rogatych! Excusez moi, Jeanne. A nasze strony — Po-dole, Ruś cała — szlachta stanie jak mur, to wiemy wszyscy. Szlachta zagrodowa też pójdzie z nami. Z ludem będzie gorzej — popowska robota, podgryzione korzenie. Chłop sam nie wie na Rusi, czem jest. Wmówić się weń starają, jak w żyda chorobę, różne łgarstwa moskiewskie. To będzie nienajlepiej. Moi chłopci

w Zawalu pójdą w ogień za nami — ale o ile ich kto odpowiednio zażyje. Nie wszędzie są takie stosunki. Enfin, mieczem się odbudowuje trony, a nie ruchawką chłopską. Miecz ten się znajdzie, ale chodzi o głowę, która nim pokieruje. Wy, mości panowie młodzi, potrafcie kaszy nawarzyć, podpalić proch na panewce, palnąć — a co dalej będzie? Od jednego strzału tylko wróble precz lecą ze strzechy... Żle panowie, konjunktury arcyniezabawne. Żebyż to można było Chłopickiemu powiedzieć — mettez vos bottes de 1793! — ale on ma pedogre, reumatyzmy, i na popowską oborę z coraz większą niechęcią spogląda... To kiedyście wy wyjechali z Warszawy?

— Przedwczoraj, proszę ojca, dwudziestego siódmego listopada...

VIII.

Noc już była późna, kiedy goście się rozjechali i kiedy ostatnie skrzypienie podłóg w starym dworku ucichło.

Jenerał siedział przed kominkiem, w rozpiętym mundurze, posepny i chmurny. Tyle razy już w życiu spędzał długie nocne godziny, rozmyślając na przełomie ważnych wydarzeń, w przededniu burzy dziejowej. Szeregi przeżyć wiązały się z echem rzeczy dawnych — uczuciowe momenty ścierały się z budową logicznych przesłanek, opartych na faktach, na znajomości kraju i ludzi.

Żołnierz napoleoński, Dwernicki był może najmniej napoleończykiem z nich wszystkich. Zanadto był dumny, za mało służalczy. Żył w nim szlachcic polski, rycerz kresowy, zwyczajny do samodzielności, liczący na własne siły, na własne doświadczenie. Rozumiał jak nikt, że na nic tu oglądanie się wstecz, roztrząsanie rzeczy przeżytych, błahe przypuszcze-

nia — jakby postąpił Bonaparte? coby rozkazał? gdzieby zwrócił nadzieje? Czuł już zawczasu rytm fali rozpędzonej, idącej nieubłaganie, bijącej oślep. Czuł napięcie dziejowego momentu — i wiedział już zgóry, jak ciężko będzie wytłómaczyć starszyźnie, dyplomatom, politykom, tym wszystkim, którzy tyle rozprawiali o Napoleonie i jeszcze rozprawiać będą — że tenże Napoleon przepędziłby ich na cztery wiatry z ich całem gadulstwem — w ciągu jednej nocy by plan działań wojennych ułożył, i dał rozkaz wymarszu.

Dwernicki był zbyt wytrawnym żołnierzem, z drugiej zaś strony zanadto wierzył w przeczucia, które nie myliły go nigdy — by nie skonstruować sobie pewnego kompleksu dopuszczeń — że nie powiem horoskopów przyszłości. Wiedział, że będzie insurekcya — nie zdawał sobie natomiast sprawy, czy wybuchnie w grudniu, czy w lutym; listopad był już jakby skończony, został ten jeden dzień jutrzejszy — wtorek trzydziesty.

O ile mógł przysiądz na głowę swego syna, że wojna będzie ciężka i krwawa, o tyle nie zdziwilby się zupełnie, gdyby mu kuryer jutrzejszy przyniósł wiadomość, że Królestwo całe bez strzału przeszło w ręce polskie.

Spodziewał się rzeczy nieprawdopodobnych — a jednak, chmurny i posępny patrzył

w gasnące węgle kominka, nie widział bowiem pewności wygranej przed sobą. Czuł, że los wielką stawkę dziś rzuca — czuł możliwość zwycięstwa, ale też czuł i możliwość katastrofy wojennej. Walczyć na śmierć! — mówił sobie w duchu. — Wszystkie siły wyteżyć — dojść do nieprawdopodobieństwa wysiłku!... A jednak ciemność była przed nim wielka, i nic nie zdawało się przeczuć jego, czy zimnej rachuby skierowywać w jasną przestrzeń pewności.

Wiedział, że wojsko polskie jest niezwykłym — że jest dziś najlepszym na świecie. Dumny był z tego wojska, dumny ze swojej szarży wysokiej i z wojennej, żołnierskiej przeszłości. Wiedział, że szereg dni chwały przed nim i przed tem wojskiem (czyż to nie jedno i to samo?) znów się otwiera... A jednak posępny był, chmurny i zamyślony...

Noc była taka ciemna wokoło, noc z dwudziestego dziewiątego na trzydziesty listopada roku pańskiego 1830.

IX.

Minęło kilka dni.

Wszystko szło dawnym trybem w Sieradzu. Dwernicki wstawał przed świtem, wypijał kilka filiżanek kawy i szedł, jak zwykle, do stajni. Tam siadał na skrzyni z obrokiem, przyjmował raport wachmistrza Bajtały, starego wiarusa napoleońskiego z dwoma palcami u prawej ręki, wypytywał o konie, odprawiał wreszcie gadatliwego służbę, i zostawał sam.

Cicho było zawsze w stajni o tej wczesnej godzinie nad ranem. Konie chrupały zawzięcie pierwsze obroki, prychając od czasu do czasu i dzwoniąc w łańcuchy. Kilku ordynansów kręciło się zwykle po kątach, czyszcząc czapraki, polerując mundsztuki i wędzidła. Wiedzieli już oni dobrze, że lepiej sprawować się cicho, kiedy generał medytuje w kącie, na skrzyni.

Dwernicki bębnił od czasu do czasu ostro gą w żelazne okucia, oglądał się wokoło, zsuwał furażerkę na tył głowy. Ciepło, panujące

w stajni, ostry, amoniakalny zapach wyziewów i końskiego potu — wszystko to rozmarzało generała. Wspominał dawne czasy, pierwszą swoją młodość, kiedy jeszcze nie zaznał wojaczki i przy boku ojcowskim spokojnie w Bałinie swym siedział.

Tyle się napłatało różności od tego czasu, z tyłu pieców chleb jadł, tyle świata zwiedził, tyle razy patrzył śmierci w oczy — poto, by u progu starości mówić sobie w duchu, co rano, że jednak święte to życie na Podolu, w poczciwym staniku szlacheckim, w białym dworze, świecącym daleko wkoło weneckimi, szerokimi oknami.

Cóż mu dało to życie? Dreszcz wielkości i sławy, świadomość czynu... To prawda. Trudno było lepiej użyć tych lat męskich dla Sprawy... A jednak — pomimo wszystko był pewien żal.

On był sobą, zawsze, na każdym kroku. Miał już to dziwne szczęście, że wszystko mu samo szło w ręce: i szczęśliwe pomysły wojskowe i odruchy woli, objawiające się w tych sławnych jego rozporządzeniach reorganizacyjnych, i uśmiechy kobiet spotykanych wszędzie, garnących się ku niemu bez żadnego wysiłku, czy jakichś zaczepnych z jego strony poczynąń...

Był w nim ten żal szczerego podolskiego

szlachcica, że jednak nie przeżył życia w swoim kącie rodzinnym, nad Zbruczem. Że poszedł gdzieś na kraj świata, jak bezdomny włóczęga. Za jaką gwiazdą? Budować wielkość ojczyzny? Czyż nie na marne? Czyż po nim nic prócz tej sławy szerokiej i wielkiego imienia już nie zostanie? Czyż tylko piana tej olbrzymiej rzeki, przeciw której on sam groble śmiał stawiać skuteczne, mocne, a jednak znikome i płonne...

Wróble zaczynały się budzić i ćwierkać pod strzechą, tętent konnych dawał się słyszeć z podwórza — przyjeżdżali ordynansi z raportami. Dwernicki rad nierad wracał do kancelaryi, lisiurkę wieszał na kołku, szlafrok narzucał, i paląc fajkę przeglądał niedbale te wszystkie Bóg wie komu potrzebne papiery.

Kończył zwykle tę nudną robotę, kiedy rozjaśniało się na podwórzu zupełnie. Wówczas wkładał mundur, i bez płaszcza konno jechał do koszar, by wrócić gdzieś około południa.

...Czwartego grudnia zły i nachmurzony generał uprzedził oficerów, że być może pomaszerują w tych dniach do Warszawy. Działo się to w kancelaryi 3 pułku.

— Czy to rozkaz dzienny? — zapytał kapitan Umieniecki.

— Jak się podoba.

— Czyjem imieniem pan generał rozkaże?

— Zapisz najmiłościwszego monarchy, czy

innego dyabła, byłeś mi o tym rudym pysku kałmuckim nie wspomniał.

— Żle — mruknął major Wierzchlejski. I głośno:

— A jakże będzie z owsem, panie jenerale?

— Kupiliście te dwa tysiące korcy od Walewskiego?

— Jutro zaczynamy transport. Ale coś Szaja cicho siedzi. Tak się dawniej napraszał — dzisiaj nic z tego zdaje się...

— Żydki nos mają dobry — mruknął Dwernicki. — Pędzić mi Szaję precz, niech się kręcić oduczy. Rozesłać z pięciu poruczników po okolicy, niech szukają obroku. Byle mi byli jutro rano. Wszyscy. Żadnych wymówek.

Przez całe popołudnie Dwernicki słowa do nikogo nie przemówił. Zamknął się w kancelaryi, porządkował papiery, przeglądał kasę pułkową. Deficytu nie było, ani w rachunkach 3 pułku, ani w kasie brygady. Odkąd Tytus przywiózł pieniądze z Zawala, dziury były zapchane. Bóg wie, skąd temu Murzynowskiemu tak wściekle karta idzie? Było, nie było, dość że i żołdy w porządku i furaże zapłacone, i jeszcze kilkanaście tysięcy złotych w gotówce, nie licząc tego, co Tytus złożył w Banku w Warszawie.

Nazajutrz, piątego grudnia, jenerał wrócił trochę wcześniej niż zwykle do domu, rozpro-

mieniony, młodszy o dziesięć lat. Kilkunastu oficerów jechało za nim. Zsiadali wszyscy z koni, gwarnie, wesoło, brząkając radośnie szablami.

— Chodźcie panowie, chodźcie, zobaczymy co nasz hrabia powie — mówił generał, skubiąc strzyżonego wąsa i podczesując do góry. — Gdzież hrabia jesteś? — wołał wielkim głosem, zaglądając do bocznego pokoiku, w którym kazał dla synowej urządzić coś w rodzaju buduaru. — Już się skończyli nasze paśjansy, panie hrabio dobrodzieju. Karcięta do pudełka — ho, ho — czegoż to hrabia się dziwisz?

— Obiad tak wcześnie...

— Co tam obiad! Pocztę już czwarrty dzień nie otrzymałem!

Koziebrodzki jeszcze sztywniejszy był niż zwykle.

— Cóż to ma do moich pasyansów? Niema pocztę? U nas w Galicyi czasem dwa tygodnie —

— A u nas w Sieradzu inaczej się dzieje. Prawda, mości panowie? Nie otrzymałem pocztę, a więc ogłosiłem wojsku POWSTANIE — i dałem rozkaz wymarszu na jutro rano!

— Jezus Marya!

— Niech żyje Niepodległość! Niech żyje! — wołać zaczęli oficerowie.

Koziembrodzki zerwał się blady i niedowierzający.

— Ależ panowie! Wolne żarty!

Dwernicki chwycił go wpół, wspiął się na palce i ucałował w oba policzki.

— Niezrównany! To ci gracz! Jak doskonale udaje, że o niczem nie wie! Kochany hrabia Jan! Panowie naturalnie nie wiecie! Hrabia Jan Koziembrodzki jest prezesem tajnego związku we Lwowie. Obejmuje komendę królestwa Galicyi i Lodomeryi, a może i w Warszawie pozostanie para bellum!

— Jenerale! Opamiętaj się pan! Co za posądzenia! Ci panowie gotowi pomyśleć —

Dwernicki śmiał się na umór, oficerowie za nim. Młoda pani Tytusowa Dwernicka nie wiedziała czy też się śmiać, czy brać stronę ojca, który z miną wyniosłą i chłodną spoglądał na obecnych, sztywny, owinięty niczem bandażem, ogromną chustką jedwabną, uwydatniającą jeszcze długą nadmiernie szyję.

— Jenerale —

— Niechże ojciec da spokój — wmieszał się Tytus Dwernicki. — Tak jest — zwrócił się do Koziembrodzkiego. — Kraj w ogniu. Niemasz tu nikogo nad nami. Rewolucya w Warszawie. Wolni z wolnymi. To żadne żarty. Przed godziną ogłosiliśmy wojsku powstanie narodowe!

— Powstanie? Czy mi się śni?

— Nasz kochany hrabia! — krzyczał generał, wpadając w nowy paroksyzm śmiechu.

— Podchorążowie napadli na Belweder! Wielki książę uciekł bez munduru. Wojsko idzie z nami. Moskale opuścili Warszawę — wołali oficerowie jeden przed drugim.

— Podchorążowie? — wycodził Koziębrodzki. — I generał okazujesz protekcję tym ekscesom, tym nierozsądnym zamierzeniom garstki niedowarzonej młodzieży? A cóż powie na to cesarz rosyjski? Co powiedzą we Wiedniu?

— Ja jestem polskim generałem, panie hrabio. I ci panowie są polskimi oficerami...

— Tak, panie hrabio — dobitnie i buńczucznie powtórzyło kilku oficerów.

— Ależ panowie, zgoda, bardzo pięknie, tylko skąd wiadomości? Wy tutaj w gorącej wodzie kąpani. Panowie Niemojowscy pewnie nawarzyli piwa. Cóż na to powiedzą ludzie poważni — książę minister — hrabia Wincenty Krasiński...

— Ten ostatni zwłaszcza! O, toś się hrabia wybrał! A może Hauke! A może Roźniecki! To najlepiej będzie! Prawda panowie? Wysyłamy natychmiast sztafetę do Warszawy — co powie Roźniecki. Jeżeli go nie będzie na kwatery, ani u wielkiego księcia, to szukać baczenie po latarniach!

— Panom tu żarty w głowie — zaperzył się

Koziebrodzki — kiedy ważą się wielkie rzeczy. Przecież to zguba! Dla garstki zapaleńców narażać cały kraj! Kiedy konstytucja była aż nazbyt liberalna! Kiedy korona łaskawa i szczodrobliva! Sto tysięcy złotych na restaurację Wawelu, z własnej szkatuły cesarskiej. Hojny pan!

Dwernicki sposepniał nagle.

— Ale ten hojny pan — przerwał Koziebrodzkiemu — nie wejdzie na Wawelskie komnaty. Niech sobie żebrzą Załuscy, czy inni, na zdrowie im. Dzisiaj, panowie, w sercach naszych może być tylko Polska! Niestety, w Warszawie jeszcze się nie zorientowali...

— No, nie mówiłem — wybuchnął Koziebrodzki.

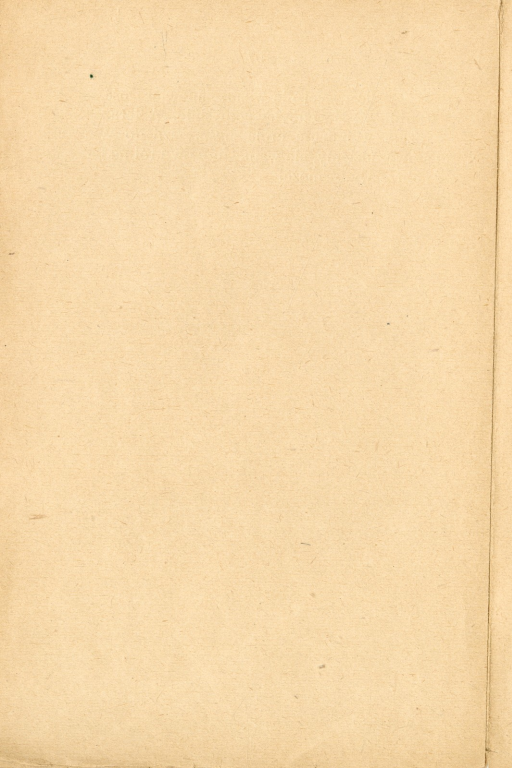
— Otóż, nie komunikowałem jeszcze panom — mówił dalej Dwernicki — że tylko co, razem z wieścią o dokonanej pomyślnie rewolucyi, otrzymałem odpis tak dziwnie oschłej i nieprawdopodobnej odezwy Rządu Narodowego, że nawet jej panom czytać nie będę. Dość, że zalecają rozwałę, i boją się rzeczy dokonanych —

— Bardzo słusznie — znów przerwał Koziebrodzki.

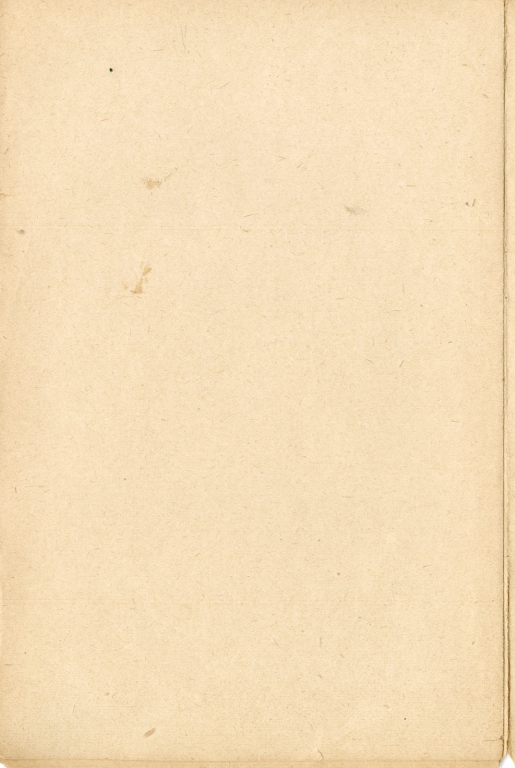
— A generał Chłopicki waha się, czy ma przyjąć dyktaturę.

Oficerowie kółem otoczyli Dwernickiego.

— Nic więcej nie wiem, panowie. Dość, że rewolucya się odbyła pomyślnie. A teraz — rozkaz w imieniu króla, byśmy szli do Warszawy. Idziemy, ale wątpię, czy ów król na tem dobrze wyjść może!



NASTAŁ NAM DZIEŃ KRWI
I CHWAŁY...



X.

Późno już było, i kroki stróżów więziennych na korytarzach dawno pomilkły, kiedy Andrzej Ostroróg Sadowski obudził się i począł nasłuchiwać.

Podniósł głowę, oparł się łokciem o twarde deski tapczanu, i wsłuchiwał się w tę mroczną ciszę więzienną, zimną i martwą, która ogarnęła pokarmelickie mury.

W oczekiwaniu tem było coś niezwyklego. Tyle razy przecież budził się w nocy i słuchał, jak mysz gryzie gdzieś w kącie, jak kapie woda na kamień więziennego podwórza. Słuchał, jak dzwoniły w ciszy nocnej zegary, jak przebrzmiewały w jesiennem, lepkiem powietrzu.

Dziwna była ta noc listopadowa, wietrzna i ciemna. Zdaćby się mogło, że to szumi gdzieś morze. Słyszać było wyraźnie jakby uderzenia fal, szamocących się z wichrem, bijących o mury pobraża. Echa jakichś gwarów nie-

zwykłych wdzierać się zaczęły przez okna, potężniejac i rosnąc, to znów ginąc i zamierając w przestrzeni. Jakieś kroki pospieszne zadudniły głucho na pierwszym piętrze nad głową Sadowskiego. A więc to nie złudzenie? A więc rzeczywiście coś dzieje się na mieście, skoro inni już usłyszeli?

Zerwał się po omacku, podszedł do okienka, wspiał się — było za wysoko. Podskoczył, chwycił za kratę żelazną, podniósł się na rękę. Gwar coraz wyraźniejszy. Niecierpliwym, gwałtownym ruchem uderzył pięścią w szybę — brzęk tłuczonego szkła dzwonieniem swoim napelnił całe podwórze. Przez długą chwilę nic nie było słyhać innego, jak tylko lament szyb rozbijanych wyżej, na piętrze w innych skrzydłach budynku.

Wdarła się zimna fala powietrza — a z nią strzępy jakiejś pieśni ogromnej, lecącej nad miastem, szamocącej się z wichrem, ogarniającej wszystko, wszystko. Czerwone blaski pochodni zamigotały na nagich ścianach celi: ktoś chodził po podwórzu z pochodnią. A pieśń już huczała, potężna, rozpędzona, żywa. Marsz, marsz Dąbrowski! Słowa jej zlały się w jeden chaos z odgłosem głuchych razów, jakby ktoś walił obuchem w odrzwia więzienne. Okrzyki, strzały, blaski czerwone. Sadowski wisiał na rękę, wciskając głowę w zakratowane okienko.

To nie sen, nie złudzenie — nie żadna zwada uliczna — to INSUREKCJA!

Głośnie okrzyki, odgłosy walki wdzierały się w pokarmelickie mury, toczyły się, obijały o kamienne stropy sufitów — nagle coś się z trzaskiem rozdarło — i po chwili ciszy rozgrzmiał okrzyk tryumfu.

Zdobyte, więzienie zdobyte! Sadowski, jak szalony, rzucać się zaczął po celi, do drzwi, to znów do okna. Walić zaczął pięściami. Chwycił zydel, począł nim bić jak taranem. Usłyszał, że ktoś z drugiej strony rąbie siekierą. Jeszcze raz! jeszcze! jeszcze! Zazgrzytało coś w zamku... Jeszcze raz! — już!

— Powstanie! — krzyknął człowiek bez czapki z czerwoną żagwią w ręku. — Powstanie! — i pobiegł wywalać inne drzwi.

Sadowski wybiegł na korytarz — pełno było kurzu, iskier i dymu. Łamano zamki. Jakiś więzień o długich, siwych włosach błagał by go zostawiono w spokoju. Ktoś go chwycił za rękę, ciągnąc ku schodom. Wszyscy się już cislali ku wyjściu.

— Do arsenału! Do arsenału! — krzyczeli wszyscy. Jakiś robotnik chwycił Sadowskiego pod ramię, ściskając mu je żelaznymi palcami, krzycząc i gestykulując zawzięcie. Sadowski był półprzytomny. Szedł automatycznie, czuł, że jest pewno bardzo blady i że się śla-

nia na nogach. Fala mroźnego powietrza oszłomiła go zupełnie.

— Podchorążowie napadli na Belweder — podawano sobie z ust do ust. — Wielki księżę uciekł. Warszawa wolna, wolna!

Sadowski szedł razem z tłumem przez czas jakiś — nie wiedząc dokąd idzie, i co się z nim dzieje. Wszystko to wydawało mu się snem. Biegł razem z innymi. Ciemno było na ulicach — kopciły nikle latarnie. Czerwone blaski pochodni migotały gdzieś tam. Tłum rwał ulicami. Do arsenału! Zdobyć arsenał!

Sadowski biegł, chociaż mu się w oczach mroczyło. Żebyż choć miał siekierę w garści. Widział jak przed nim, za nim chwiała się fala ludzka. Znalazł się nagle w ciżbie. Przedzierać się zaczął naprzód, byle naprzód. Ktoś walił w drzwi siekierą — kilku mieszczan dźwigało ogromną belkę. Rozhuścili ją na ramionach, raz, dwa, wal! Głuchy łoskot uderzeń podniósł się nad okrzykami tłumu. Sadowski chciał pomagać, nachylił się, wyprężył — ale jakoś belka szła nierówno, ukośem. Uderzyło go w skroń. Ból przysłonił mu oczy.

Uczuł, że mu słabo, i że mu się nogi trzęsą jak w febrze. Sam nie wiedział, w jaki sposób znalazł się poza zgietkiem gromady ludzkiej. Biorą Arsenał — przeszło mu przez myśl. Ja z nimi. Cóż, kiedy tak słabo. Skreślił w boczną

uliczkę, przeszedł kilkanaście kroków. Stał przy murze, pod wielkim jakimś drzewem, wychylającym się z czyjegoś ogrodu. O parę domów dalej błyszczała kopczą latarnia.

Patrząc w ten jasny punkt, Sadowski uczuł, że mu jeszcze słabiej, i że bez wysiłku patrzeć nie może, bo mu czoło cięży ołowiem i opada ku ziemi...

— Ranny? — pytał oficer. — Odpowiedzże! Ranny jesteś?

— Z więzienia... Od Karmelitów...

— Ranny, czy nie?

— Sił mi brak. To nic, panie oficerze. To przejdzie... Uderzenie, w zgielku, tam.

— Gdzie pan mieszka?

— Mieszkałem na Świętokrzyskiej, przed procesem.

— Którym?

— Akademickim.

— Chodź pan. Proszę mi podać rękę. Lepiej?

— Dziękuję panu. To, panie, doprawdy?... To tak?

— A, chwalić Boga, tak. Wolność, panie dobrodzieju. Dożyliśmy pięknych dni. Warszawa już tak jak w naszym ręku. Saperzy, panie kochany, saperzy wielkiego księcia — wszyscy, co do jednego, wyszli z koszar z ostrymi ła-

dunkami. Na Saskim placu starszyzna — jest Daszewski, Turno też pewnie. Wszyscy na swoich miejscach.

Przeszli przez Daniłowiczowską, plac Teatralny, Wierzbową. Na Saskim placu stało wojsko. Broń w kozłach, ogniska rozłożone. W czerwonych blaskach widać było buńczuczne twarze żołnierskie, miny gęste, na schwał, radość i rozmach rzetelny.

Oficer, prowadzący Sadowskiego, skręcił przed pałac Brühlowski. Przecisnęli się przez zwarte koło oficerów. Siwy pułkownik, siedzący na zydlu, zwrócił się ku nim.

— A, to ty, Niezabitowski. Cóż nowego?

— Więzień od Karmelitów. Ledwie na nogach się trzyma. Spisek uniwersytecki.

— Ten, zdradzony przez Kruszelnickiego?

— Nie może być, panie pułkowniku! — zawołał przyprowadzony. — Kruszelnicki?

— Ten sam, pasierb lekarza z Modlina. Wiemy tu dobrze. Jak się pan nazywasz.

— Ostroróg Sadowski.

— Imię?

— Andrzej.

— Masz pan rodzinę w mieście?

— Nie wiem. Nikt stale nie mieszkał. Miałem stancyjkę na Świętokrzyskiej.

— To dobrze. Proszę przyjść jutro do mnie, zrana, w biurze sztabu jeneralnego. Jest

kapitan Niezabitowski? Proszę wziąć mój powóz i odwieźć go na Świętokrzyską. Jeżeli mieszkanie jego zajęte, umieścić go u mnie. Z Bogiem. Ale, wiesz, że Hauke zabity? I dowiedz się, czy wielki książę zawsze w Alejach Ujazdowskich czeka.

Przeszli między szeregami wojska do pałacu Saskiego, wsiedli do powozu. Światła było pełno w oknach, na ulicach. Krakowskie Przedmieście rojne, jak w dzień. Jechać trzeba było powoli. Przed pałacem Staszica tyle było ludzi, że musieli zatrzymać konie.

— Ranny? — dopytywali się przechodnie.

— Więzień od Karmelitów — odpowiedział Niezabitowski.

— Niech żyje! — krzyknął ktoś w tłumie.

— Niech żyje! W górę go!

— Panowie! Chory! — krzyczał kapitan. Dajcie przejechać.

— Z drogi — z drogi!

Na Nowym Świecie było prawie pusto. Powóz czyjs zbliżał się od strony Placu Trzech Krzyży, eskortowany przez dwóch żołnierzy z kagańcami płonącymi, konno.

Niezabitowski wychylił się i oddał ukłon wojskowy.

— Książę Adam.

Jechali parę minut w milczeniu, skręcali już na Świętokrzyską.

— Stój, — krzyknął oficer konny, nadbiegający galopem. — Nie spotkaliście powozu księcia Adama, bułane konie?

— Jedź hrabia dalej, dopędzisz przed świętym Krzyżem.

— Dziękuję, — odpowiedział oficer, dając ostrogę koniowi. — Staś Potocki zabity?

— Hauke, Gendre, Lubowidzki.

Tętent konia przepadł już w odgłosach gwarne go tłumu, przewalającego się koło Kopernika.

Z bocznych ulic szło wojsko.

Kompanie za kompaniami, broń na ramieniu, radość w oczach i ruchu, krok pełen życia i siły.

— To Władysław Zamoyski — przemówił kapitan Niezabitowski. — Adjutant Konstantego. Widzisz, ile wojska? Pułk pierwszy, liniowy, z brygady Rybińskiego. Sam Rybiński nieobecny. Szkoda, że Kickiego też jeszcze nie ma. Jakże się pan czujesz?

— Dziękuję. Dobrze. To nic. Jutro będę zdrow. Chciałbym do kawaleryi, do konia przyzwyczajony od dziecka...

Kapitan uśmiechnął się pod wąsem. Szczerze był rad. Żył już od paru tygodni w atmosferze gorącej, żywej, pełnej ognia i pragnienia czynu.

Patrzył wkoło siebie. Widział wszędzie

tych ludzi — wszyscy byli tacy sami, pełni wiary, zapału, gotowości poświęceń. Wychodzili z więzienia — i chwyтали za broń. Szli się modlić w otwartych noc całą kościołach — rozbijali arsenał. — I wojsko szło.

XI.

W domu na Świętokrzyskiej nikt nie spał. Weszli obaj z Niezabitowskim na pierwsze piętro oficyny, gdzie akademik Sadowski odnajmował pokój od pani Wąsowiczowej, wdowy po póruczniku, który zginął gdzieś w Moskwie, czy pod Berezyną.

Sadowski nie spodziewał się zastać swego mieszkania wolnem — nie spodziewał się, że go przyjmą serdecznie, jak gościa, czy kogoś z rodziny.

— To pan Andrzej kochany! — mówiła wdowa. — Jaki mizerny. Myśmy się trochę spodziewali. Taki czas! Niech pan kapitan pozwoli — może kieliszek winka — albo krupniku. Martuniu, pomyśl o panach. To moja córeczka.

Niezabitowski usiadł na kanapce, przed stolikiem, nakrytym koronkową serwetką, na której stały bukiety kwiatów papierowych, suszonej drżączki, i dwa wysokie miedziane lichtarze.

Andrzej Sadowski poszedł do swego pokoju, umyć się trochę, uczesać. Spojrzał w lustro — miał długie, zjeżone włosy, wyglądał smutno — aż mu się niewyraźnie w sercu zrobiło, że taką ma minę, kiedy w kraju Powstanie. Tymczasem pani Wąsowiczowa przyniosła pękata flaszkę i parę kieliszków.

— Taka noc, panie kapitanie. Żebyż to nieboszczyk mój mąż doczekał. Julian Dąbrowski, porucznik 8 pułku ułanów.

Wzięła świecę, podeszła do ściany, i oświetliła niewielki portrecik olejny, roboty jakiegoś domorosłego malarza.

— To z pamięci jeden kuzyn malował. Tutaj, w oczach coś złe, niebardzo podobny. Niech pan kapitan popatrzy na moją małą, ona ma takie oczy jak ojciec.

Niezabitowski spojrzał na panienkę, siedzącą w kącie. Ta spuściła oczy — ale wnet je podniosła, gdyż drzwi skrzypnęły, i wszedł Andrzej Sadowski.

Był już zupełnie inny. Włosy zmoczył, przyglądał — woda go odświeżyła.

— Dziękuję, panie kapitanie. Jutro już będę w wojsku.

— Dajże spokój. Wyśpij się, odpocznij. Chory jesteś, kaszlesz jak nieszczęście.

— Gdzie mam szukać pana kapitana?

— Ja teraz jestem na urlopie. Pułk mój stoi w Sieradzu.

— Trzeci pułk strzelców konnych?

— Tak. Znasz się na mundurach?

— Niebardzo. Ale to pułk z brygady pana generała Dwernickiego. Ojciec mój dobrze zna pana generała. U nas w Konstantynowskiem, na Wołyniu, lepiej wiedzą gdzie stoi Józef Dwernicki, niż co się dzieje w Żytomierzu, czy w Berdyczowie.

— Tak się kochacie w moim jenerale?

— To się wie.

— Chcesz pod nim służyć?

— Jeżeliby to było możliwem...

— Kto wie, — uśmiechnął się Niezabitowski.

— Jak się panu kapitanowi zdaje?

— Skądże ja mogę wiedzieć?

— Ale pan kapitan spotyka się często z panem jenerałem?

— Jestem oficerem ordynansowym pierwszej brygady strzelców konnych...

— Kiedyż to ja będę oficerem...

— Może prędzej niż myślisz. Od ciebie to zależy.

— Ale pod Dwernickim?

— Być może.

— Panie kapitanie!

Niezabitowski uśmiechnął się znowu.

Panienka patrzyła w nich obu, jak w tęczę. Trochę podniecona przerwany od kilku godzin snem, i czuwaniem, pełnem wyczekiwania i rzeczy dziwnych, jak sen; chwytła bacznie każde słowo. Matka zdawała się nic nie słyszeć, nie widzieć. Była między temi dwoma kobietami cała różnica minionych dni — i budzącej się, jasnej terażniejszości. Matka żyła dziś snem — zdawało się jej, że wstaje Księstwo Warszawskie, że cała Warszawa znów dźwięczy echem balów pod Blachą, błyszczy złotem mundurów Napoleońskich. Panna Marta przeżywała tę nową, zrodzoną parę godzin temu zaledwie terażniejszość, jak mała mieszczaneczka wyczekiwane oddawna widowisko na teatrze w stolicy. Żyła tem, co się działo. Oficer ordynansowy pierwszej brygady, u nich w saloniku. Więzień od Karmelitów, ten student, który się do niej uśmiechał dawniej, a któremu ona godnie główką kiwała na dzień dobry, i szła do swojej robótki, czy do swego kanarka. Przyszły ulan, czy strzelec konny, przyszły oficer, już z przeszłością więzienia, tajemniczości, spisku, zasługi narodowej...

Niezabitowski dopił wino, wstał, podziękował, i chciał się pożegnać — kiedy zobaczył, że Sadowski się chwieje na nogach i chwytą za poręcz krzesła. Podtrzymał go, objąwszy w pól i posadził na kanapce.

— Martuniu! wody!

— To nic... To przejdzie...

— Niemasz się czego wstydić. Więzienie każdego złamie!

— Dziękuję, panie kapitanie... Panno Marto... Dziękuję pani bardzo...

— Chodź, połóżę cię do łóżka — powiedział Niezabitowski — podnosząc prawie Andrzeja i prowadząc do jego pokoju. Tędy, proszę pani?

Pomógł mu się rozebrać, rękę uściśnął, pożegnał się z wdową po poruczniku i z jej córeczką.

Konie parskwały przed bramą. Coraz więcej snuło się ludzi, z latarkami i pochodniami w ręku. Warszawa drżała i tętniła życiem i krwią zbudzoną. Coś wielkiego się działo i wisiało w powietrzu.

XII.

Andrzej Sadowski leżał w pół-śnie, pół przytomny, czując niewypowiedzianą rozkosz leżenia na swoim prawdziwym, czystym łóżku, pod koldrą, w ciepłym pokoju. Bał się ruszyć, by nie wyczuć znów tego twardego więziennego tapczanu, od którego bolały go kości. Poduszka wydawała mu się czemś nieznanem zupełnie. Tak mu tonęła w niej głowa — i nie czuł już bólu w karku i w kościach czaszki, z tyłu głowy, opartej zwykle o trochę zgniłej słomy i twardą poprzeczkę.

Zdawało mu się, że jest gdzieś w domu, na Wołyniu, i że lada chwila przyjść może jego matka. Myśl o troskliwej dłoni, dotykającej czoła, i o szeleście sukni matczynej jakąś miękką falą ogarnęła mu oczy.

W pokoju był zmrok. Obok, na korytarzu paliła się lampa oliwna. Gdzieś dalej słychać było kroki pani Wąsowiczowej i odgłosy stłumionej rozmowy.

Sadowski słyszał, że od czasu do czasu ktoś do jego pokoju wchodzi, zbliża się do łóżka, i patrzy, czy śpi. Otworzył nawpół oczy i dojrzał czepek gospodyni. Nie był przyzwyczajony do serdecznego obejścia z jej strony. Wynajmował pokój, płacił regularnie, rozmawiał rzadko. Dziś się wszystko zmieniło. Gdzieś się podzielała ta próżnia, dzieląca lokatora od gospodyni z jednej strony, syna obywatelskiego od ubogiej zwykle, i jeszcze w dodatku podupadłej mieszcзки, z drugiej.

Kontrastowało to wszystko tak bardzo z tą niedawną więzienną przeszłością. Budziło się w nim przeświadczenie jakiejś wielkiej, nieprawdopodobnej przemiany. Wyszedł oto z celi więziennej, poto, żeby zobaczyć jakiś inny zupełnie świat, lepszy, podniesiony o całą skalę uczuć i wyszlachetnienia, pchnięty naprzód wielką falą powstania i imieniem Ojczyzny.

Cicho było, spokojnie w pokoiku Andrzeja, w małej oficynie w podwórzu. Pani Wąsowiczowa poszła już pewnie spać, nie słyhać było ani kroków, ani rozmowy w saloniku. Wtem Sadowskiemu się zdało, że trzeszczy w korytarzyku podłoga, jakby ktoś szedł cichutko. Coraz bliżej...

Uczuł oddech gorący na twarzy. Musnęły go włosy po zamkniętych powiekach i nieśmiało usta przywarły się do skroni... Mimo-

woli się poruszył, i spłoszył sen... Tylko fala ciepłego powietrza wionęła mu w twarz raz jeszcze, i bose nóżki pobiegły po trzeszczącej podłodze, do drzwi.

XIII.

Andrzej Sadowski słusznie przypuszczał, że w odłożeniu jego podania przez komisję werbunkową była ręka Niezabitowskiego. Lekarz wojskowy poradził mu poleżeć tydzień w łóżku, a przynajmniej posiedzieć w domu. A że nie powiedziano mu, do jakiego pułku go przyjmą, do jakiej broni, i czy napewno do kawaleryi, więc też, chcąc nie chcąc, musiał siedzieć w domu, wstydząc się bez munduru w tych czasach chodzić po mieście.

W dziesięć dni dopiero dostał wezwanie do jakiejś innej kancelaryi werbunkowej, nie tej, do której się zgłaszał poprzednio. Stawił się o godzinę zawczasie, czekał przed drzwiami, i musiałby stać jeszcze długo w kolejce, gdyby nie kapitan Niezabitowski, który przechodził obok, idąc na służbę, i zabrał go z sobą do osobnego pokoju.

— Wczoraj — powiedział — pan jeneral Dwernicki otrzymał rozkaz uformowania trzech dywizyonów kawaleryi z rezerw i wolentaryu-

szy. Mianowany jestem majorem pierwszego pułku strzelców konnych. Chcesz służyć pod moimi rozkazami, czy wolisz mundur ułański?

— Wszędzie, panie majorze, byle pod Dwernickim.

— Dobrze. Więc biorę cię do drugiego szwadronu. Masz tu list werbunkowy. Jest tam jeszcze kilka mundurów, bierz tę kartkę i galopa do składów. Marsz. Potem przyjdiesz do mnie.

Marzenie stawało się rzeczywistością.

Dostał zieloną kurtkę szaserską z amaran-
towemi wypustkami i łapkami na kołnierzu,
z mankietami tegoż koloru. Guziki były białe
z cyfrą 1. Naramienniki metalowe białe z pod-
szewką amarantową. Wdział odrazu paradne
spodnie zielone z lampasami barwy pułkowej
i skórzanemi karwaszami do kolan. Pendent
i temblak z czerwonej skóry, pałasz z żółtą rę-
kojeścią. Kaszkiet piechotnej formy na głowę,
z orłem, cyfrą i łuszczykiem na guzach. Resztę
umundurowania, rajtuzy codzienne szaraczkowe,
podszycie skórą, płaszcz, ładownicę, po-
krowce, furażerkę i całą masę drobiazgów
związał tego rzemieniem, i tak objuczony wró-
cił rozpromieniony do majora Niezabitow-
skiego.

— Toś się prędko spisał, — uśmiechnął się
do niego major. — Odniesiesz te graty do ko-

szar, wachmistrz Sołtysiak, ten, siwy, koło bramy powie ci gdzie. Koni jeszcze w Warszawie niema. Otóż, dzisiaj pozwalam ci spać u siebie w domu, zaraz zobaczysz dlaczego. Powiedz mi, skąd zna ciebie pani koniuszyna Kicka?

— Mnie nie zna. Ale mój ojciec...

— No, wykrztuś.

— Zdaje się, że kosza od niej dostał za młodu.

— Tiens, to kolega Kościuszki. Otóż, będziesz dziś o ósmej u pani koniuszyny. Każ sobie jakiemuś krawczykowi przestawić guziki, bo ci się garb robi na piersi. I nie przewracajże się o szablę, żołnierzu jeden, niechże cię gęś kopnie! Marsz! A trzymaj się tego dziś wieczór, bo będzie starszyna, a kto wie, może i pan generał Dwernicki.

Andrzej Sadowski wyszedł z kancelaryi oszołomiony i trochę nieswój. Taka metamorfoza. Spoglądał po sobie, uśmiechał się, roztratywał jakiegoś emeryta, który mu parę gorzkich uwag rzucił przez ramię. Zdawało mu się, że wszyscy widzą te jego niezgrabne pierwsze kroki w mundurze, że kpią z niego przecho-dnie, i te panienki, zerkające z drugiej strony ulicy. Szedł jakiś wojskowy, zasalutował mu zamasyście, z przejściem — na co oficer odpowiedział uśmiechem i obejrzał się za nim.

Na Świętokrzyskiej poznała go tylko stara żebraczka, siedząca niedaleko Nowego Świata. Dał jej złotówkę i poszedł dalej. Znajomi sklepikarze nie poznawali go zupełnie.

Zdawało się Sadowskiemu, że jest przynajmniej o głowę wyższy. Dzwoniąc ostrogami, wszedł do siebie na piąterko oficyny.

— Jezus Marya, jaki pan Andrzej śliczny! — wykrzyknęła Martunia, płoniąc się jak ćwikła. — Mamunieczko, proszę przyjść popatrzyć!

Pani Wąsowiczowa mniej bezkrytycznie była usposobiona. Jako wdowa po oficerze, znała się na mundurach, i odrazu zobaczyła niedokładności.

— Niechno pan zdejmie tę kurtkę. Martuniu, marsz po igły i nici. A lejebik, pożal się Boże, co za lejebik tandetny. Proszę siadać i nie nudzić. Zaraz się zrobi.

— Ale poco pani ma się trudzić. Ja chciałem do krawca na Marszałkowską.

— Żeby dwa tygodnie marudził. Pewnie pana gdzie dzisiaj wieczór poniesie, zamiast żeby posiedział z nami.

— Idę do pani koniuszyny Kickiej.

— Do pani koniuszyny! Rany Boskie! Ty słyszysz, Martuniu. Sam król Stanisław tań-

czył na jej weselu. No, no, to pan Andrzej tam pozna oficerów i panów senatorów może...

Martunia woskowała mamusi czarne nici i podawała igielki, myśląc, że to pan Andrzej zobaczy te wszystkie świetności...

XIV.

Salony pani Kickiej były prawie puste, kiedy »pan wolentaryusz« Ostroróg Sadowski, jak go lokaj meldował, wchodził w szeroko rozwarte drzwi. Na kanapce, w rogu wielkiej sali, błękitnym adamaszkiem obitej, leżał pułkownik Ludwik Kicki, tryumfator z Modlina, z obandażowaną nogą. Obok stała młodziutka panna, i poprawiała mu poduszki. Sadowski chciał się już przedstawić pułkownikowi, kiedy weszła siwa, szczupła staruszka, z pogodnym uśmiechem na twarzy. Przywitała go serdecznie, jak dawnego znajomego. Posadziła go obok pułkownika i kazała sobie opowiadać o pobycie w więzieniu.

— Która cela — spytał Ludwik Kicki.

— Dwudziesta piąta.

— Natalko, — zwrócił się pułkownik do panny, siedzącej na stołeczku, u nóg jego matki. — Czy ci ten numer nie mówi?

— Owszem wuju.

— Co mianowicie?

— W roku 1825 otruty w niej był saper Sabiński.

— Nie wiedział pan o tem!

— Sabiński... Było to nazwisko wyskrobane na ścianie. Było kilka innych jeszcze.

— Nic więcej, Natałko?

— Owszem wuju. Ksiądz Karmelita Dębek.

— Samobójstwo? — zapytał Sadowski.

— Nie, mój kochany, — odparła koniuszyna. — Ja znałam księdza Dębka. Był święty człowiek. Zarżnęli go brzytwą. Kto z tobą siedział?

— Aresztowano Polańskiego, Szwejcera, Gaucza, Bartkowskiego. Ksiądz rektor Szwejkowski napróżno bronił nas jak mógł.

— A pan kurator Maksymilian Fredro?

— Milczał przeważnie. Pan Brodziński też siedział jak na mękach...

Sadowski urwał nagle... Weszło bowiem kilka osób, a za nimi pan generał Dwernicki.

Uklonił się zmieszany. Patrzył w generała jak w tęczę, śledził go oczyma. Dwernicki długi jakiś komplement prawil pani koniuszynie pod adresem panny Natalii Bispinżanki. Potem nachylił się nad leżącym Ludwikiem Kickim i ucałował go kilkakrotnie. Sadowski, korzystając z zamieszania, odszedł parę kroków, zaczął przeglądać jakieś sztambuchy. Nie znał nikogo prawie. Gdzieś w otwartych

drzwiach dostrzegł twarz podchorążego Ponińskiego, który z kimś rozmawiał, zdaje się z Gosszczyńskim. Chciał już podejść do nich, kiedy młody oficer, wysoki, o przenikliwych ciemnych oczach podszedł do niego i zapytał:

— Pan wyszedłeś od Karmelitów?

— Tak, panie poruczniku.

— Nazwisko?

— Ostroróg Sadowski.

— Zamoyski. Pani Koniuszyna chce pana przedstawić jenerałowi Dwernickiemu.

Sadowski wczoraj jeszcze marzył o Dwernickim, jak o czemś niedostępnem i dalekiem niezmiernie. Krew mu uderzyła do głowy. Uczuł, że drży.

Dwernicki zobaczył jego pomieszanie, i z francuska podał mu lewą rękę, uśmiechając się i marszcząc z wielkiem okrucieństwem i dobrotliwością ojcowską.

— Syn Jana?

— Syn Honorata. Jan jest moim stryjem panie jenerale.

— To u niego jest to sławne błoto, gdzie mój ojciec dzika nożem dźgał w oczy, siedząc okrakiem na wierzbie?

— Nie, panie jenerale. To u nas w Czepielówce.

— Poczekajno. Czy twoja matka nie Uruśka z domu? He?

- Tak, panie jenerale.
- To ja z nią tańczyłem na balu... hm, gdzie to było.
- U Chobrzyńskich, panie jenerale.
- A ty skąd wiesz?
- Matka opowiadała.
- Dalibóg, wszystko ludzie wiedzą. Z niczem się ukryć nie można. Jakże tam było, w więzieniu, u Karmelitów?
- Zimno i wilgotno. Książkę do nabożeństwa przeczytałem ze dwieście razy.
- Kto jeszcze był?
- Wiem, że był Bartkowski.
- Ten, co kule na Tamce lał?
- Ten sam.
- Znałeś go dobrze?
- Razem topiliśmy stare talerze.
- Cynowe kule! Widzicie łobuzów.
- A strzelasz-że ty dobrze?
- Niezgorzej.
- Niezabitowski cię wypróbuje. Bo wiesz, ja lubię mieć koło siebie kilkunastu urwisów, z tamtych stron. Kresowa młodzież. Tak, panie adjutancie, — zwrócił się do Zamoyskiego — muszę mieć kilkunastu chłopów na schwał, jak pan, żeby mi moją młodość przypominali, i żeby się mnie staremu zdawało, że to moja krew kipi.
- Jeszcze pan jenerał niejednego zaka-

suje, — odezwał się Ludwik Kicki. — I do szabli, i do tańca.

— Zamawiam sobie pierwszego mazura, panno Natalko, — zawołał Dwernicki, szukając oczyma panny Bispinżanki.

— Kiedy ślub będzie cichy, panie jenerale, — odpowiedziała panna, rumieniać się po skronie.

— Ślub? He? A z kim?

Dwernicki zrobił jeszcze straszniejszą minę do Ludwika Kickiego, niż przedtem do Sadowskiego, i nalegał dalej.

— Z kimże panno Natalciu? Ja słyszałem... Czy nie z panem jeneralem Klickim? Osiemdziesiąt sześć lat. W pełni sił. Piękny mężczyzna. Nie? Nie z Klickim? To coś mi się przesyłało. Ale podobne nazwisko?

— Podobne, panie jenerale.

— Moje dziecko kochane, proszę mi powiedzieć.

— Z... wujaszkiem Ludkiem.

— Tiens... A niechżeż was nie znam. Toś ty ładnie wpadł z tym koniem, z tą nogą, i z tą grudą, pułkowniku kochany. Wojna, amory, małżeństwo i złamana noga. A niechże cię. Natalciu, dziecko miłeńkie, rączki tu. Stary Dwernicki pocałuje, raz, i dwa. I wujaszka w policzki. No, dobrze już, dobrze, A niema się

czego rumienić. I jabym wybrał wujaszka, jakbym miał.

Sadowski patrzył na pannę Bispinżankę, która lekko, zgrabnie, przesuwała się między gośćmi i stawiała ciągle za kanapką, na której leżał Ludwik Kicki. Opierała się o staroświecki fotel błękitny, na którym wyszyta była Gozdawa Kickich. Patrzyła od czasu do czasu w oczy pułkownika i uśmiechała się do niego, jak sen. Jasne jej włosy rozbiegały się jak aureola wokoło jej głowy. Jasna, delikatna pleć zdawała się jakąś przeświecającą, przejrzystą pianą, odbłaskiem perłowego dna. Wzrok jej nie był wzrokiem oblubienicy, czy siostry nawet, miał coś ze spojrzeń córki, widzącej nagle oplakanego dawno, i nieodżałowanego ojca. Było w tym wzroku coś ze spojrzenia ptaka odlatującego na zawsze, coś z somnambulicznego spojrzenia w noc księżycową. W miłości tej był jakiś żal, że przyszła dzisiaj dopiero, i że zaraz odejdzie, zniknie, w mgłę się rozwieje... A razem z tem takie słodkie, ciche, intensywne i niepojęte szczęście...

Patrząc na tych ludzi, Sadowski pomyślał, że jedno z nich umrzeć musi, gdzieś bardzo prędko... Że ta głowa pułkownika Kickiego gdzieś w proch się zaryje bezsilna i martwa...

XV.

Władysław Zamoyski siedział obok Dwer-nickiego i opowiadał mu głosem równym, spokojnym, przeżycia nocy listopadowej.

— Musiałem jeździć po mieście. Nie byłem spiskowym. Nie zerwałem kitki białej z kaskietu, więc też strzelano do mnie. Kto wie, panie jenerale, gdyby lepiej strzelali, toby mię wymieniali razem z Haukiem, Blumerem, Lubowidzkim. Ale na moje szczęście mierzyli kiepsko.

Kapitan Bezobrazow przyjechał po mnie. Wyjechaliśmy galopa. Jenerał Potocki stał obok z piechotą.

Gdym dojechał do alei Ujazdowskich, między kościołem św. Aleksandra a Belwederem, zastałem wielkiego księcia, otoczonego licznym sztabem. Na polu, przy alei, stał pułk kirasyerów gwardyi moskiewskiej, za nimi ułani i strzelcy konni.

— Dywizya gwardyi, jednym słowem?

— Tak, panie jenerale. Było jeszcze kilka

kompanii piechoty polskiej. Czoło tej kolumny dotykało wielkiego księcia.

Gdym zsiadł z konia i zbliżył się, wielki książę przywitał mię z zadowoleniem widocznym z mego przybycia i rzekł: wiesz, napadnięto na mnie. Gendre zamordowany. Co się w mieście dzieje?

— Tak, bez słowa nagany za spóźnienie?

— Uderzyło mię to także. Opowiadał potem o tem wystrzale chybionym, i kazał jechać po wiadomości, narzekając, że go oszukują na każdym kroku.

Pojechałem, a powróciwszy wkrótce, oznajmiłem, że Arsenal wzięty, oraz więzienie Karłowickie. Potwierdziłem też to, czemu dotąd wierzyć nie chciałem, a mianowicie, że pułk 4 liniowy i batalion saperów ze wszystkimi oficerami na czele przystąpiły do powstania. Zadziwienie wielkiego księcia zmieniło się w trwogę. Ulubione jego oddziały.

Pojechałem około 11 znowu do miasta. Staś Potocki powiedział mi wtedy, żeby wielki książę nie liczył na piechotę. »Swoi do swoich nie będą strzelali«.

Wracam ku Belwederowi przez Żabią, Królewską, Mazowiecką, pełen sprzeczności. Była taka jasna noc. Lekki przymrozek, księżyc jasny na niebie.

Wielki księżę zawsze na tem samym miejscu.

— Jenerał Potocki myśli, że miasto jeszcze można opanować, używając do tego kawaleryi, i nią zamiatając ulice.

— Kawaleryi! Nie mam kawaleryi!

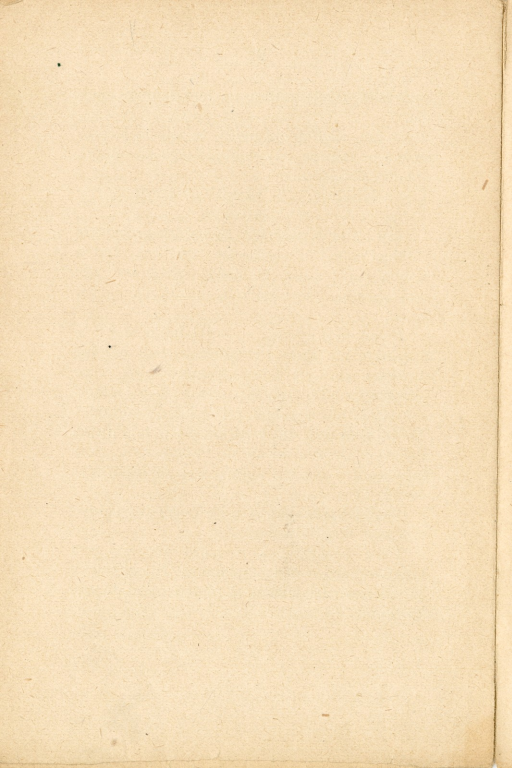
Spojrzałem na kirasyerów.

— Co? te kirasyery? To szczere rosyjskie pulki. Poco im się mieszać do tego. Żaden z nich nie pójdzie, chybaby musiał we własnej obronie. Nie wystrzeli, nie wyciągnie pałasza!

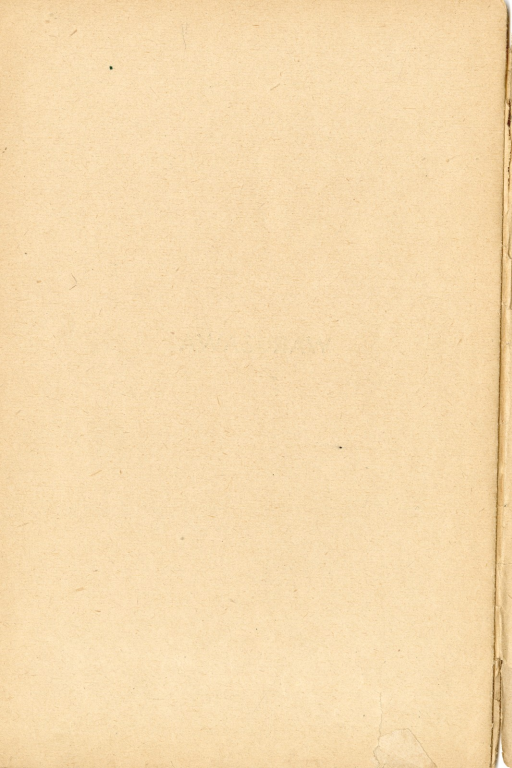
Zbrodnia po waszej stronie! Ja do niej ręki przyłożyć nie chcę. Przyszli mię zamordować w moim własnym domu, zamordowali mego pierwszego adjutanta. Co powie na to cesarz! To wojsko mnie osłoni, jeżeli będzie potrzeba. Żaden Rosyanin nie wmiesza się w tę sprawę. Polacy ją zaczęli, niech się Polacy z nią załatwią sami. Czyż nie mam racyi de les traïter en rebelles?

Posłał wtedy jen. Krasieńskiego, Kurnatowskiego i mnie do miasta.

Ulicą Mazowiecką maszerowała kolumna bombardyerów pod kapitanem Nieszkociem. Ja jeden wiedziałem, że strzelano z niej do mego brata...



WARSZAWA



XVI.

Warszawa wrzała.

Od rana do późnej nocy ruch był nie do opisania. Tłumy ludzi przelewały się ulicami. Tyśiące wojska przechodziły pod bronią. Kto żył, wychodził na miasto. Gubili się wszyscy w tłumie, rozmawiali grupkami, tworzącemi się co krok, na rogach ulic, przed drzwiami winiarni. Pełno było mundurów najrozmaitszej broni, barwnych, szytych złotem i srebrem. Jakieś nieskończenie głębokie i przejmujące radością święto narodowe jaśniało na wszystkich twarzach. Kobiety uśmiechały się do patryotycznej młodzieży, podziwiałały mundury i marsowe postawy. Żołnierze strzelali oczyma, szukając przychylności niewieściej i uprzejmych awansów. Wszystko to się krzyżowało, spotykało, i rozbiegało znowu. Ogień młodzieży, cicha radość siwowłosych staruszków, pogoda i pewność siebie, cechująca wiek męski. Nie było bodaj nic piękniejszego w Warszawie, niżeli

ta właśnie, taka bardzo kapryśna, obojętna zwykle, żyjąca własnem życiem ulica.

Jeżeli kto chciał szukać jedności, entuzjazmu, zgody, wzorów dla siebie i innych, powinien był wżyć się w ten właśnie rytm wszechpotężny, obywatelski nawskrós, warszawskiej ulicy. Była w niej cała skala uczuć najlepszych, najżywszych, kończąc na objawach szczerego sumienia. Była w niej może pewna lekkość beztroski, pewna powierzchowność sądu, ale opierało się to wszystko o żywy kryształ najlepszych uczuć narodu. Dzień dzisiejszy był świętem, radość górowała nad wszystkim, oślepiała oczy, porywała dusze i serca. Niechże będą pochwalone te dni, które przeżywamy tak pięknie i górnie; niechżeż upoją nas wszystkim, co tylko życie dać może — mówili sobie ci wszyscy, prości umysłem, i znający skarb wiedzy, którzy żyli tem życiem ulicy, i w niem wielkie chwile znaleźli. Niechże nam się w serca wrazi na zawsze to szczęście po długich latach mitręgi, wysiłków, i rozpaczy tych wszystkich jasnych upojeń, co gdzieś poszły na marne...

Szły dni za dniami, wojsko przymaszerowywało do stolicy, coraz nowe fale entuzjazmu biły o rozpalony już i tak do białości wielki Sezam nadziei.

Przejeżdżali ludzie czczeni i sławni — Dy-

ktator, w szarej kurtce i płaszczu szerokim, książę Adam, dźwigający wielkie, ciężkie zadania i godności najwyższe, generałowie, sławni echem czasów Napoleońskich, Kościuszkowskich, częstokroć pod Barem jeszcze wślawieni. Szembek, Rybiński, Skrzynecki, tryumfator z Modlina Ludwik Kicki, wówczas jeszcze pułkownik. Ukazywał się czasami smagły, wyniosły, o posepnem wychudłem obliczu bez żadnego zarostu bohater z Belwederu, Wysocki Piotr. Mundur podchorążych witało gwarem i okrzykami radości pospólstwo. W krótkim czasie stali się ulubieńcami Warszawy, ci sami młodzieńcy o głowach gorących i wielkiej w sercach miłości ojczyzny, a których śmiałe poczynanie wojenne niedawno jeszcze za grzech im branem bywało. Przesuwał się chyłkiem, w kapeluszu na bakier, profesor Lach Szyrma. Gdzieś w największym tłumie perorował jakiś klubowiec, czy młodzik zapalony, wołający o rewolucję, o krew, której ląkną te twarde kamienie ulicy. Uśmiechano się pobłażliwie, i wszystkie ziarna, złe czy dobre, ginęły w wielkiej, powszechnej radości.

Nie było już tajemnicą, że pan profesor Lelwel z posiedzenia Rządu Narodowego śpieszy zawsze do Klubu, że ma w salach redutowych licznych przyjaciół, że chętnie na różne głosy ponoć nastawia ucha. Było to pianą wiel-

kiego wiru, omamieniem, mgłą. Nikt o takich głupstwach nie myślał. Były ważniejsze rzeczy. Zebrał się przecież dnia 18 grudnia Sejm niepodległej Polski. Wezwali więc posłowie i deputowani jaśnie wielmożnego Walichnowskiego, posła Szydłowskiego, by jako najstarszy wiekiem, przyzwanie objąć raczył.

Powtarzano sobie to gorące przemówienie siwowłosego prezesa Izby, który wierzył, że »Najwyższa Opatrzność pobłogosławi naszym zamiarom, i ujrzymy Polskę wolną i niepodległą«. Odezwały się wtedy tysiączne głosy na cześć wolnej na zawsze Ojczyzny.

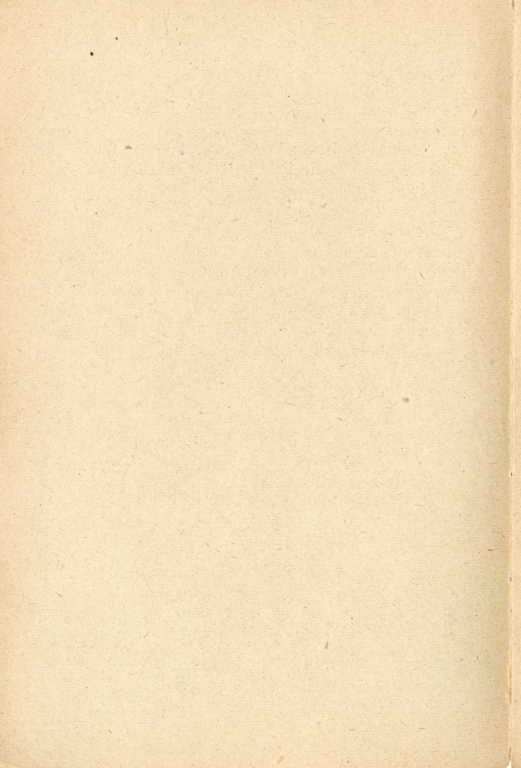
Zgodziła się Izba jednomyślnie, że »nadeszła chwila, w której Reprezentacya Narodowa uznać winna pamiętne dzieło Rewolucyi, dnia 29 listopada r. b. zdziałane za Dzieło Narodowe« — i dlatego oświadcza swoją pełną z niem i bezwzględną solidarność. »Zaś mężom tym, którzy ją przedsięwzięli z tak wielkiem poświęceniem i męstwem, wdzięczność całego Narodu polskiego oświadcza«.

Wówczas, wśród okrzyków i wiwatowań radosnych, Izba uznała się za ukonstytuowaną, i miała już zawiesić obrady, gdy przybyli delegaci senatu, JO. Michał X. Radziwiłł, senator wojewoda, i JW. Leon Dembowski, senator kasztelan, zapraszając do połączenia z Sena-

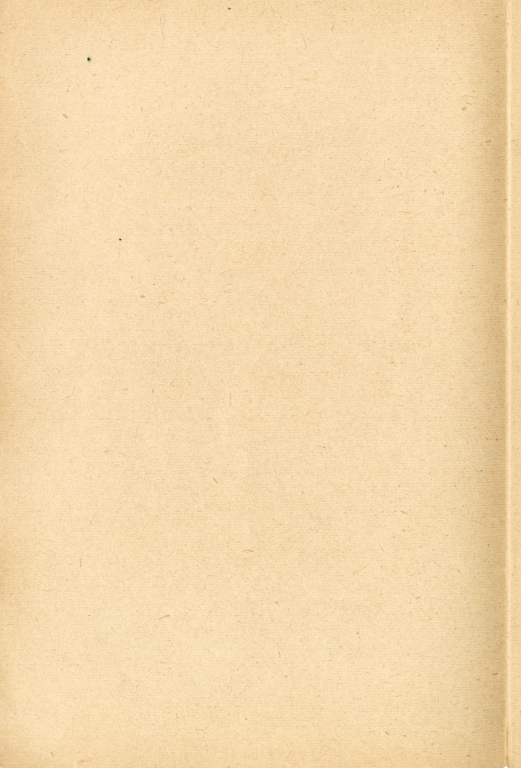
tem, co też nastąpiło ku ogólnemu zadowoleniu obecnych.

Laskę marszałkowską złożono w ręce posła ziemi piotrkowskiej JW. Władysława Ostrowskiego.

Świetne to były i pamiętne godziny. Dawno już nie widziano podobnego splendoru. Dawno już nie oglądano podobnych wspaniałości, to też tem droższą i świętszą się stawała ta powstająca z pod gruzów moskiewskiego panowania i rządów Konstantynowskich Najjaśniejsza Rzeczpospolita Polska, pod znakiem tradycyjnym Orła i Pogoni litewskiej.



KRZYŻ KAWALERSKI



XVII.

Pan Tomasz Glinka, dymisyonowany major wojsk polskich, przed św. Janem kapelusza uchylił, i przystanął na chwilę, w niepewności czy iść do kapitana Tokarzewskiego na pogawędkę, czy do Fukiera na kieliszeczek wytrawnego z myszką? Zimno było, szaro, szron iskrzył na płytach kamiennych chodnika. Pan major podreptał dalej, minął kamienicę pod Okrętem i szedł powoli przez Stare Miasto w stronę Maryackiego kościoła.

Zawcześnie jeszcze było iść do winiarni. A zresztą, pan Tomasz lubił się przejść po wieczery. Światła latarni migotały wśród lekkiej mgły. Spokojnie było w mieście, mało przechodniów. Chwilami tylko buchał gwar i wybiegały echa pieśni wesółych z pobliskich szynkowni. Major Glinka uśmiechał się dziś pobłażliwie: takie dni! Żebyż to i on był młody! Z innem sercem przeżywałby tę radość nie skończoną, tę promienną, świetną rzeczywistość: Warszawa wolna!

— Wolna, wolna! — powiedział głośno, i zasluchał się w melodyę własnych słów. Nie zdawał sobie sprawy, że głos jego drży. Słyszał ten dzwieczny głos męski, z werwą młodzieńczą rzucający słowa komendy. Jakby dziś było. Pamięta, idzie na rekonesans, zbiera w garść cugle. Sam pan Kazimierz Pułaski się do niego uśmiecha:

— A dowiedz się Tomek, — mówi — co się dzieje z Horsztyńskim. Mój Boże, z tym samym Ksawerym Horsztyńskim, co mu później oczy wykapali Moskale...

Zapędzili się wtedy pod Grodno, jadąc na karkach moskiewskich. Pod Grodno...

Król Stanisław... Ten sam król Stanisław, który tak dobrotliwie gwarzył w ów wieczór majowy, pamiętny konstytucją naszą nieśmiertelną. Uśmiechał się król Stanisław.

— Najnieszczęśliwszym był dziś nasz majestat, — powiada — bośmy w tłumie zgubili kapelusz...

Westchnął pan Tomasz Glinka, swój dziwiąty krzyżyk wspomniawszy. Tyle lat, tyle jesieni... Nareszcie. Dożył Nocy Listopadowej, był podczas szturm pod bramą Karmelitów, widział o paręset kroków, jak stał wielki książę w Alejach Ujazdowskich, bojąc się ruszyć, i jak się paliły kagańce. Widział, jak przyprowadził swój pułk do Warszawy pan generał

Szembek, i jak się spotkały z nim wojska stolicy na placu trzech Krzyży. Padaly kitki moskiewskie, jak śnieg, białobyło na placu, broń w kozły. Zdzierano te kitki przeklęte z kaszkie-tów... Precz z Mikołajem! Niech żyje Polska!

Parę dni zaledwie minęło, a już się to wy-daje snem. Codzień nowe zdarzenia. Burzliwe posiedzenie Klubu, gorycz zwątpienia, twarz pana Lelewela ciemna, jak wyrzut sumienia, aż tu nowy wybuch radości, nowe święto na mieście: pierwsza brygada strzelców konnych przychodzi z Sieradza. Idą Krakowskiem Przed-mieściem, świecą ciemnozielone mundury, czerwone wyłogi pierwszego pułku, szyte bo-gato srebrem. Konie na schwał, oficerowie za-maszyści, chłop w chłopa.

Mijają trębacze, mijają szwadrony, jeden za drugim, równiuteńko, aż się serce raduje.

Żółte wyłogi — pułk trzeci. Grupa ofice-rów sztabowych. Odstęp. Dalej na siwym ko-niu, pan jenerał Dwernicki. Ogromny, pyszny, w bok się wsparł, wydyma usta i jeży krótkiego wąsa. Dwa ordery tylko na piersi — *Virtuti Militari*, przypięty ręką księcia Józefa, i krzyż Legii francuskiej, co mu go cesarz przypiął pod Düben.

— Niech żyje Dwernicki! — woła gawieź uliczna. — Niech żyje! — ochryplym dyszkan-tem woła pan Tomasz Glinka, i salutuje. Spie-

szy utykając do hotelu Polskiego, pyta czy tu ma stanąć pan jeneral? Być może. Spiesz się za pulkiem, zaczepia kwatermistrza ostatniego szwadronu.

— Nic nie wiem, — kwaśno odpowiada podoficer. — Kazali maszerować na Pragę, to idziemy do wszystkich dyablów. Pan dobrodzieju na wolontaryusza?

— Majorem jestem, do kroćset batalionów! — krzyczy zaperzony pan Tomasz Glinka. — Ale szwadron już skręca na Zjazd.

Robi się pusto. Niknie wąż wojska, błyszczący stalą i srebrem. Major Glinka chmurny i zmęczony wraca do swego domku na Maryensztacie. Razem z wojskiem i z echem trąbki dalekiem odchodzi radość i słońce.

— Trzeba będzie pójść do pani koniuszyny Kickiej, — powiada półgłosem. — Pan Ludwik Kicki nogę złamał, zwaliwszy się razem z koniem na jesiennej grudzie. Ale Modlin zajął bez wystrzału. Mój Boże, jacyż ci Moskale głupi. Tchórz ich obleciał. Oddają miasto za miastem, fortecę za fortecą. A może to sprawiedliwość Boża?

Trzeba iść do pani koniuszyny. Przyjdzie do nich napewno pan jeneral Dwernicki. I pomyśleć, że on mię za hajdawery ciągnął w Bałlinie, aż go nieboszczyk Kajetan Giżycki, mie-

cznik kijowski, za ucho tarmosił. Co za czasy, co za historye! I to wszystko w kilka dni...

Pan Tomasz Glinka zawraca, nie doszedłszy do Maryackiego kościoła. Zimno, wiatr dmucha od Wisły. Idzie pośpiesznie do winiarni. Chce już uchylić drzwi, kiedy smuga jasnego światła rzuca mu się w oczy. To drzwi od świętego Jana otwarte. Nabożeństwo wieczorne. Trzeba zejść się pomodlić.

Schodzi ostrożnie do katedry, bo schody pewno obmarznęte i ślizkie. Babki przesuwają koronki po ciemnych kątach...

— Mój Boże — myśli pan Tomasz. — Co za czasy. Zdawało się, że już wszystko skończone. Że nie powróci, i tylko ślad ostawi po sobie, jak te ordery na piersi pana generała... Sam ksiązę Józef mu przypiął ten krzyż *Virtuli Militari*... Sam ksiązę Józef...

Siada na brzeżku ławki, modli się... Zakrystyan oprawia świece woskowe, zapala... Coraz więcej tych świec, kościół pusty prawie. Tylko jeden wojskowy, w mundurze jeneralskim zdaje się, modli się w pierwszej ławce... Głowa siwa zupełnie...

Cicho tak, cicho w kościele, świece tylko trzaskają zlekka, i gdzieś wosk na kamienną posadzkę kapie kropla po kropli...

Pan Tomasz Glinka widzi, że ów wojskowy wstaje, przytrzymując szablę, przyklęka po-

środku głównej nawy, przed wielkim ołtarzem... Gdzie on widział tego człowieka?... Siwy zupełnie... Krótkie wąsy, bokobrody strzyżone, mundur jeneralski. Boże, ta twarz.

Wojskowy przystaje raz jeszcze, pochyla się, jakby coś z ziemi podnosił... Trzyma coś błyszczącego w ręku, przygląda się.

Ta twarz... Boże? Czyżby śmierć? Czy Bóg mu zsyła widzenie jakie przedśmiertne? Tyle cudów wokoło — Polska, Polska już wolna. A może i to rzeczywistość?... Siwy zupełnie... Wzrok go przecież nie myli...

KSIĄŻĘ JÓZEF! Panienko przenajświętsza...

— Wasza Książęca... Wasza Książęca Mość — szepce pan Tomasz Glinka — i w oczach mu ciemno się robi, świat cały się zapada i wirować poczyną.

Wyciąga ręce.

Wojskowy podchodzi do niego, i coś mu podaje. Ręce pana Tomasza trzęsą się, jak w febrze. Niewielki jakiś przedmiot z brzękiem pada na kamienie posadzki...

Ów oficer sztabowy pochyla się znowu, podnosi ów drobny przedmiot raz jeszcze i sięga ku piersi pana Tomasza Glinki. Widzi, teraz widzi wyraźnie. W ręku książęcem — przecież to KSIĄŻĘ JÓZEF — błyszczy krzyż ka-

walerski *Virtuti Militari*... Sam Książę mu przypina, rękę podaje, odchodzi...

Na wieżach gdzieś dzwonią kwadranse. Zakrystyan gasi świece w kandelabrach, w bocznych nawach kościoła. Głuchem echem rozbrzmiewają ciężkie jego stąpania. Obchodzi cały kościół świętojański, zbliża się do pana Tomasza.

— E, dobrodziuńciu! zamykamy. Pora do domu.

Pan Tomasz przeciera oczy, i po chwili, ruchem nagłym, sięga ku sercu, szuka ręką orderu.

— Jest krzyżyk, jest, panie pułkowniku dobrodzieju, — powiada zakrystyan. — Piękny order, mało się takich widzi. A kżółto panu pułkownikowi ofiarował? hę?

— Sam książę Józef!

— Piękne to były czasy, powiem ja panu pułkownikowi. Chwała Bogu, doczekaliśmy się piękniejszych jeszcze. Ale teraz pora już spać iść, dobrodzieju mój. Z Bogiem.

Drepce powolutku pan Tomasz, laską się podpiera, i co chwila na swój order spogląda.

Pusto już na ulicach, ciemno. Gdzieniedzie tylko kopczą latarnia. Pan Tomasz przystaje koło jakiejś beczki, niedaleko króla Zygmunta i odpoczywa...

Widzi, że stoi przed nim dwóch wojsko-

wych. Poznaje mundur kawaleryi polskiej. Ten, w czaku ulańskim coś mówi do niego.

— Powiadasz, mości oficerze.

— Pan dobrodziej pozwoli, że go podprowadzimy. Nie mamy zaszczytu znać. Ale ten order mówi sam za siebie...

— Bóg zapłać, mości oficerze. Jak godność?

— Józef Przerwa Tetmajer, porucznik pierwszego pułku ułanów.

— Skąd?

— Z Ludźmierza, pod Nowym Targiem.

— Bardzoś uprzejmy mości poruczniku. Nazywam się Tomasz Glinka, herbu Biała, z tych prawdziwych Glinków łomżyńskich. Major wojsk polskich. Pod Raszynem, uważasz...

— Ten krzyż?

— Ten krzyż uważasz, sam książę Józef. Ale przedstawże mi swego kolegę.

— Wolentaryusz Sadowski, z pierwszego pułku strzelców.

— Bardzo mi tego, przyjemnie. Ale z jakich Sadowskich? Ostroróg, czy nie Ostroróg?

— Ostroróg, panie majorze.

— To ci się chwali. Bo są jeszcze Sadowscy gorsi, ormiańskiej krwi, jak są i Glinkowie. Był w moim pułku jeden Sadowski, ale zginął, nie wiem z których. Pamiętam, podjeżdża

książę Józef, a ten jak długi, bęc, tyleśmy go widzieli. Skądś przysła kula.

— Pan major znał dobrze księcia Józefa?

— Czy ja go znałem! Naturalnie.

— Rozmawiał z nim pan major ostatni raz już po powrocie z Moskwy?

— Pewno, żem rozmawiał. Ale wy może jeszcze nie wiecie, że książę Józef jest dziś w Warszawie.

— Książę Józef?

— On sam. Powiadam ci, siwy zupełnie.

— Gdyby to nie pan major mówił...

— Ależ powiadam ci. Nie zwaryowałem przecież, do stu dyabłów rogatych. Sam dziś widziałem księcia Józefa w katedrze. Modlił się pobożnie, z wielką pokorą...

— Skądże książę Józef, panie majorze?

— Skąd? Nie byłem z nim za pan brat. Dość, że mi rękę uścisnął wychodząc. Łaskawy pan.

— Ale przecież utonął.

— Albo i nie utonął. Nie wiesz niby, że miał na głowie perukę ten ktoś, kogo wyciągnęli z wody? I bakembardy przyprawne?

— Słyszałem.

Pan Tomasz Glinka przystanął, palec podniósł do góry i z namaszczeniem przemówił:

— Chcecie wiedzieć, chłopaki, co ja w tym względzie myślę?

— Słuchamy, panie majorze.

— Otóż, powiadam wam... Książę Józef był w niewoli moskiewskiej, ot co! Wywiezion potajemnie...

— Nadzwyczajne rzeczy pan major opowiada...

— Alboż to i nie dziwne czasy? Ja jestem stary konfederat barski. Nie dał nam wtedy Pan Bóg zwycięstwa, to dziś na was młodych łaskawszy. Teraz zwłaszcza, gdy książę Józef...

— Słuchamy, panie majorze.

— Głupstwa plotę: król Józef.

— Jakto król Józef? Bonaparte?

— W głowie ci źle? a jeszcze porucznik. Król Józef Poniatowski. Przecież to jasne jak dzień. Wrócił po KORONĘ!

— Po koronę?

— Rozumiesz?

— Rozumiem.

— Otóż to.

Szli jakiś czas w milczeniu.

— Ja tu mieszkam, w tym dworku. Przyjdiesz odwiedzić starego.

— Jeżeli pan major pozwoli.

— Toż w ten sens gadam. Będziecie przecież na koronacyi?

— Jak Pan Bóg dopuści.

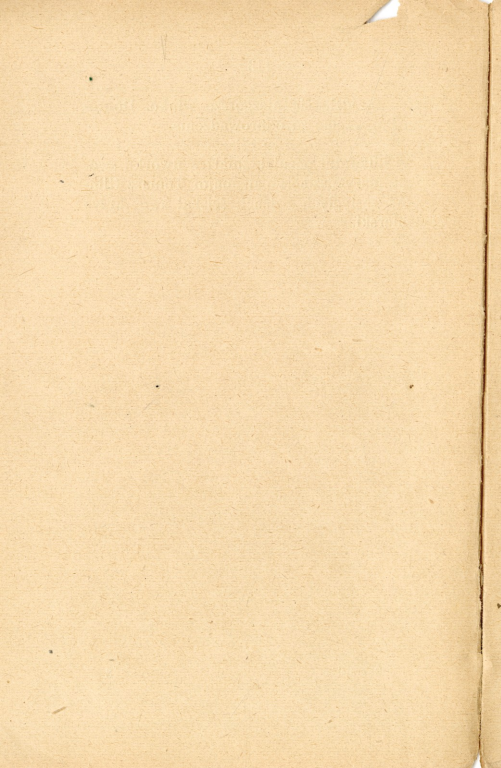
— Dobrze mówisz, młodzieńcze. Znać, że się Boga boisz. Przyjdziecie na koronację do

mnie. Znajdzie się niezgorsze winko. Dobranoc, Bóg zapłać za odprowadzenie.

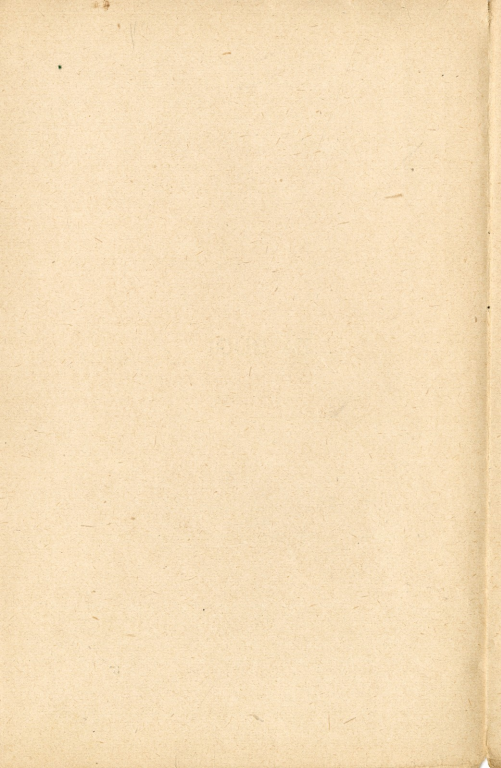
— — — — —

W kilka dni później, zmarł w dworku swoim na Maryensztacie pan major Tomasz Glinka. W zastygłych palcach ścisnął swój krzyż kawalerski.

—————



ZA BUG!



XVIII.

— Tyle broni, tyle amunicyi—biadał Dwer-nicki.—Trzymać to wszystko w garści, i puścić, żebyż to na przepadłe, ale przeciw nam! Trzy-mać tego rudego kundla, mieć taki atut w rę-ku, i przemarnować wszystko. Mój Boże, za-stanawiam się często, poco ta kochana mło-dzież rwie się do broni, kiedy starzy wszystko na nie zniszczyć gotowi...

— Wolalby generał widzieć wielkiego księ-cia w niewoli?

— Naturalnie. Mało najlepszych oficerów w łeb sobie strzelało przez niego? Mało cier-pień i lez? Proszę ja kogo: jest-że tu miejsce na litość? Grzechem jest taka litość, która prze-ciw ojczyźnie się zwraca. Cóż dopiero mówić o niedołęstwie, o niedocenieniu atutów, co się ma w ręku? Kto grać nie umie, niech nie siada do gry. Kto niema należynej energii, niech się nie bierze do dyktatury. Ale tej historii z Kon-stantym to póki życia nie zapomnę. Takie głup-stwo zrobić. Takie skończone głupstwo.

Pani koniuszyna Kicka milcząc kiwała głową. Pułkownik Ludwik Kicki siedział chmurny, przygnębiony. Obok fotelu jego stały kule drewniane, dzwonek na stoliku, fajka, tytoń i cygara pod ręką.

— Uważacie, państwo kochani, — ciągnął generał — nieprzyjacielowi trzeba przede wszystkim pomieszać szyki. Primo, przeciąć wszelkie komunikacye, niedopuszczyć żadnych wiadomości. Strach ma wielkie oczy. Niechby sobie łamali głowy na ślepo. Tem lepiej dla nas.

Potem, wsadzić Konstantego do jakiegoś klasztoru, czy do twierdzy w Modlinie, niech siedzi, i puścić pogłoskę, że to on rękę przyłożył do rewolucyi. Proszę sobie wyobrazić, jakie ta pogłoska zrobiłaby wrażenie w Petersburgu: korona polska? My tutaj wiemy, że to gruszki na wierzbie, ale ta korona pachniała temu wnuczkowi Katarzyny, a jeszcze więcej księżnej Łowickiej. Petersburg dałby się na to złapać, co miałyby przedewszystkiem jeden rezultat pomyślny dla nas: zamieszanie na dworze carskim, odwołanie kroków wojennych, porozumiewanie się z zagranicą, zbieranie wieści. Moskiewskie pułki rozbroić, wziąć do niewoli, internować gdzieś na Kujawach, pilnować dobrze, i kazać szyć buty, czy kule tarzać dla naszego wojska.

Jakieżby to miało dla nas skutki: skłoniłoby przedewszystkiem korpus litewski do połączenia z nami. Gardło za to daję: oficerowie przecież nasi, żołnierze z zabranych prowincyów... Nic z tego. Wypuszczono wilka z matni, by z innymi się zwąchał i dalejże na naszą oborę. Chodziłem, przedstawiałem, prosiłem, na nie wszystko. Koni nawet dla moich chłopców dostać nie mogłem. Napisałem projekt, by z każdych dwudziestu dymów dostarczono jednego konia. Jeneral Rautensztrauch robił mi ironiczne przytyki, że długie miesiące miną, zanim konie dostanę. I cóż? Styczeń jeszcze nie minął, a koni mam więcej, niżeli mi potrzeba.

Ale to głupstwo. Staralem się przekonać radę wojenną, już po obraniu Radziwilla dyktatorem, że powodzenie wojny obecnej zależy od szybkości uderzenia ZA BUG!

Rozbić poszczególne korpusy zanim się połączyć zdołają! Ubiedz Dybicza, nim zacznie grozić Warszawie. Wzniecić pożar na Litwie, na Wołyniu, w województwach kresowych! Całą połąć kraju ogarnąć, pozrywać mosty, ustalić komunikacye, podać rękę tym wszystkim, którzy tam na Litwie i Rusi czekają nas, jak zbawienia! Widziałeś Poznańczyków, panie Ludwiku kochany: co za ofiarność, co za poświęcenie i zapal dla Sprawy! Wszystkie nasze kresy jednakie. Niemasz tam tej różnicy

wieku, która serca w Warszawie pleśnią pokrywa. Zarówno starzy, jak młodzi, chwycą za oręż, stworzą niezliczone oddziały woltaryuszów, z którymi Moskwa nie da rady. Za Bug! przekładałem tym panom na radzie wojennej.

Na to mi nader pięknie wyliczono — na zasadzie nie wiem skąd czerpanych źródeł — że Moskwa ma siłę dostateczną do zalania całej Europy. Wyszczególniano mi po nazwisku pulki o wielkim komplecie i w wielkiej potędze. Wszystko to furda! Będąc właśnie za urlopem na Podolu, widziałem te pulki, wracające z wojny tureckiej, które po 300, 200 a często nawet po kilkadziesiąt ludzi liczyły. Pomimo tego powiedziano, że nadto słabe mamy siły do awanturowania się na wszystkie strony.

Myśląc nad tem wszystkiem nocami, głowę sobie łamię napróżno, co w tych ludziach umarło: wola, rozsądek, czy wiara w lepsze jutro. Bo przecież nie rycerskość: każdy z nich poszedłby do walki na pewną śmierć, wbrew siłom przemożnym. Jest jednak ta jakaś bierność, każąca stać w miejscu, czekać na ostateczność, by wtedy się zdobyć na bohaterstwo. Zapobiegliwość, zimna rachuba — są to rzeczy dostępne li tylko ze strony ujemnej. Widzi się wszędzie złe strony i prześlepia korzyści. Wreszcie, kiedy już nic nie zostaje, jak tylko chwa-

ła i śmierć, wtedy wszystko się rzuca, w imię Boże, na kartę. I Bóg się czasami lituje.

— Oby i teraz tak było, westchnęła koniuszyna.

— Bo nie brak tym wszystkim ludziom, ni rozumu, ni serca, ni miłości ojczyzny, — zapalił się Dwernicki. — Zgasła być może gwiazda Polski Jagiellońskiej przed nimi. Zapadła się w morze dalekie myśl wielkiego państwa polskiego, a zaświtała idea Księstwa Warszawskiego. Droższa jest sercu malutka Polska, ale taka, jaką w nas wmówić chciał Napoleon. Zapomnieliśmy o tem, że Polska sięgała po Wielkie Łuki, Smoleńsk, i stepy czarnomorskie. I gdy się zjawi przed nimi taki stary żołnierz, jak ja, który z niejednego pieca chleb jadł, który zna nasze ziemie polskie, jak własną kieszeń, który gardłem za województwa litewskie i ruskie ręczy, że staną, jak jeden mąż — byle im pomódz trochę, — wówczas patrzą na niego zdziwionemi oczyma, uśmiechają się laskawie, i zbywają byle czem, widząc jeno fantastyczność w tem wszystkiem, co jedynie Polskę uratowaćby mogło.

Polska Jagiellońska — to dobre dla pana Juliana Niemcewicza, iżby składał swoje historyczne poema. A ja wam mówię, że mała Polska psu na budę się nie zda, jak upadło Księstwo Warszawskie. Tylko, że nami rządzi wy-

padek, nie trzeźwość. Czyniliśmy wielkie rzeczy, gdy pęd do bohaterstwa porywał nas w szczęśliwą godzinę. Inaczej — idzie wszystko na marne. I dziś znów powraca to samo. To też modłę się dzisiaj, nie o dar siły dla naszego narodu, nie o specjalne łaski Opatrzności — ale o jedno: iżby to bohaterstwo powszechne w dobrej chwili wybuchło, i sięgnęło odrazu po rzeczy decydujące o całej wojnie dzisiejszej.

XIX.

Legia Wołyńska!

Andrzej Sadowski jechał z rozkazem do kapitana Krasnodembskiego, stojącego z krakusami Kościuszki w Mniszewie. Koń jego był już zmęczony, to też mu cugli popuścił, i jechał miernego truchta, rozpamiętywując wszystko, co mu kapitan Umieniecki powiedział.

Przybyły deputacye z Wołynia. Odbywały się narady. Uchwalono jednogłośnie, w myśl przywiezionych poleceń, formować Legię Wołyńską, i prosić Wodza naczelnego, by objął jej dowództwo Dwernicki.

Kresy upominały się o swego generała. Sadowski wiedział, że pozbywano się go chętnie z Warszawy. Zbyt wiele wnosił inicjatywy, zbyt śmiało prawdę rąbał w oczy. Zresztą, wszystkie stanowiska były już obsadzone. Nie jeden pułkownik otrzymał już dowództwo brygady, ba, nawet dywizyi.

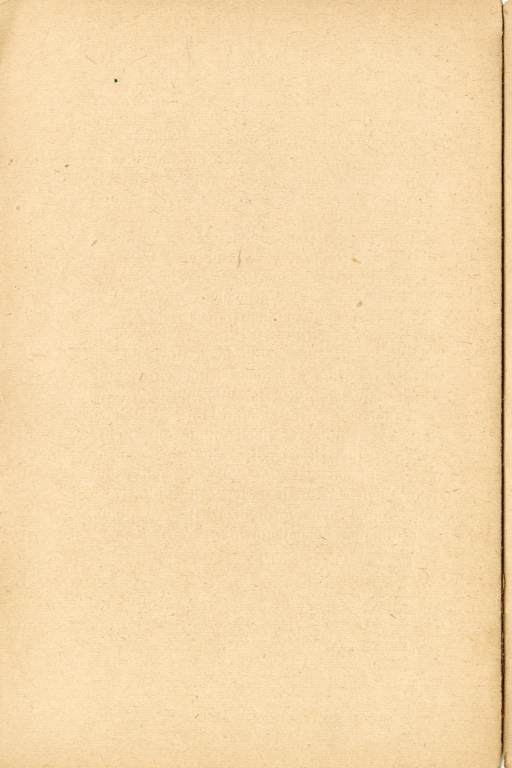
Oddając Dwernickiemu Legię, posyłając go z nią razem na Wołyń, czyniąc żądaniom

Wołyniaków i samego jenerała zadość, uspaka-
jało się tych wszystkich, którzy w ślad za nim
o przeniesienie wojny za Bug wołali. Bądź co
bądź manewr obustronnie korzystny, zwłasz-
cza, że Dwernicki miał swoją Legię przyszlą
tworzyć niemal z niczego. Nie dano mu ani
funduszków, ani oficerów, ani instrukcyi.
Wszystko musiał zdobywać sam, od ludzi
i artyleryi poczynawszy.

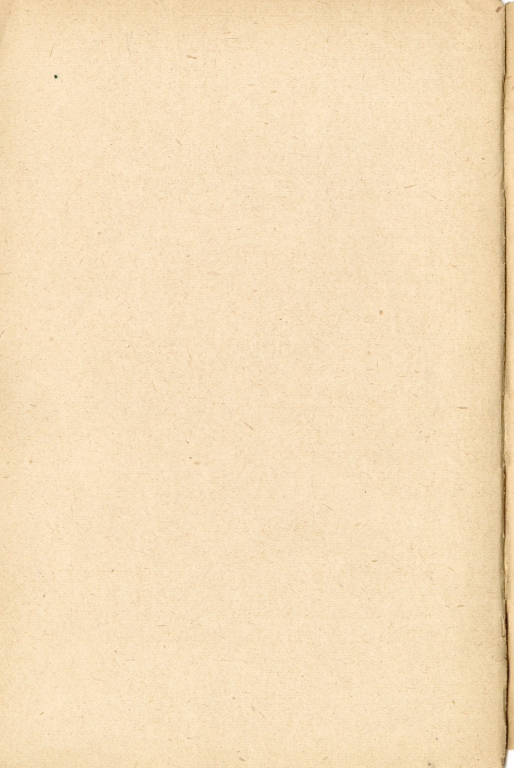
W tem wszystkim jednak sam Dwernicki
i jego żołnierze widzieli rękę losu przychylną.
Pójdą, oto — ZA BUG! Spadną, jak ongiś
skrzydlaci polscy rycerze na Chocimskie pola!
Przebiją się przez błota wołyńskie, ogarniając
coraz to szersze koła, rosnąc w liczbę, w chwa-
łę, w entuzjazm. Wkroczą wreszcie na Po-
dole, na to żyzne, złotodajne, bogate Podole,
które już się pręży do lotu, które broń ostrzy
i zbiera złote czerwone, i bacznie słucha, czy
głos jaki z Królestwa dolata. Przyjdą krwią
święcić odwieczną jedność Ojczyzny. Dzień po
dniu, zbierać będą laury zwycięstwa. Spędzą
dzikie hordy moskiewskie za Dniepr, hen,
w Czernihowskie i Połtawskie stepy. Zatkną
sztandar polski wysoko, na POLSKIM BRZE-
GU, w Kijowie, aż zadrżą dalekie wieże Krem-
lina, czy znów nie idzie ku nim drugi jaki
Żółkiewski, czy echem groźnem nie wraca r o k
tysiąc sześćset dwunasty. Kto wie,

jakiem echem wieść nowa z czarnomorskich stepów doleci? Kto wie, czy skądś z południa nie przyjdą gońce Padyszacha, wieścić rychłą pomoc turecką? Czy nie wyrośnie na chocimskim polu zielony sztandar Proroka, i czy nie staną nad Horyniem spragnione konie janczarów...

Andrzej Sałowski widział już w mrokach przyszłości złotem szyte namioty, półksiężyc blyszczące, i pana generała Dwernickiego, razem z wielkim wezyrem na jedwabnych poduszkach jedzącego bakalie. Duma i radość wstąpiła mu w serce. Oto był jednym z pierwszych, wieść o Legii radosną niosącym towarzyszom broni, Krakusom Kościuszki, stojącym w Mniszewie, strzelcom Kuszla, którym już rozkaz spotkania się z Krasnodembskim posłał generał Weyssenhof, piechocie liniowej... Żebyż tak co rychlej stanął gdzieś nad Słuczą przejrzystą, na piaszczystem wzgórzu, skąd widać dwór ojcowski na tle świerków wyniosłych... Żebyż mógł być co prędzej i tam, w domu, zwiastunem radosnej nowiny.



WISŁA



XX.

W Mniszewie było kilka dywizyonów ułanów, czwarty batalion 6 pułku piechoty, Krakusy Krasnodembskiego, i kilkunastu luzem chodzących oficerów. Sadowski, choć szeregowiec, trafił do kompanii. Przez cały wieczór pito kiepskie piwo i grano w założone karty. Na drugi dzień, równo ze świtem, grać zaczęła przeciągle pobudka. Około południa miał przybyć Dwernicki. Trzeba było wszystko oporządzić, wyczyścić, dopilnować. Sadowski kręcił się z kąta w kąt, prócz niego bowiem ani jednego strzelca konnego nie było w Mniszewie. Za parę dni dopiero miały przyjść i strzeleckie dywizyony nad Wisłę.

Dwernicki przyjechał jak zwykle konno, bez futra, pomimo przejmującego wiatru. Był nachmurzony, gderał i zrzedził, ale nie wpadał w zimny swój i pogardliwy gniew. Patrząc na liche konie Krakusów kiwał głową litośnie, chrząkał, i jechał dalej. Przed kwaterą oficer-

ską spostrzegł Sadowskiego, i dał mu znak, by wszedł za nim do izby.

Po raporcie jenerał rozpiął mundur — co dla starych podkomendnych sieradzkich było znakiem towarzyskiej i swobodnej gawędy. Ośmielony podnieceniem ogólnem, opowiadaniem o Gejsmarze, Dybiczu, polowaniu, kartach i Warszawiankach, Sadowski wysunął się z kąta.

— To ty byłeś u Kickich — zagadnął go jenerał.

— Tak, panie jenerale.

— Skąd cię licho przyniosło?

— Pan major Umieniecki przysłał z rozkazem.

— A proboszcza tutejszego znasz?

— Nie, panie jenerale.

— Za kwadrans go poznasz. Ruszajże do niego, i spytaj, czy ma karty, świece i łóżko dla mnie. Wino przywiozłem swoje, powiedz, że piwnicy księżowskiej nie rozbiję. Sam gdzieś się tam zakwateruj u księżowskiej gospodyni, tylko mi jej nie bałamuć, a od jutra rana łaż za mną jak cień. Tylko pamiętaj, żebyś nie miał zaspanej miny. Podobasz mi się, widać kresowego chłopaka. Marsz.

— Dziękuję, panie jenerale.

— Zaco?

— Pan jeneral łaskaw...

— A co ty myślisz, błaznie jeden, że ja się
czeladnikami warszawskimi, czy ekonomczu-
kami otaczać będę? Marsz.

XXI.

Nazajutrz rano, gdy Dwernicki spał jeszcze po długiej partyjce z dwoma kanonikami i kapitanem Romanem Czarnomskim, przyszedł rozkaz od jenerała Klickiego, komendanta lewego brzegu Wisły.

Dwernicki pieczęć złamał, ziewnął, i zaklął z francuska.

— Sadowski! Pokaż swoje buty. Ruszajżeź się, wyżej nogę, tu, do poduszki. Fircyk. Czytałeś romans o *miłostkach Agnulf'a i Floretty*? Nie? No, to takie buty miał Agnulf. Nie masz innych?

— Mam wysokie, do polowania.

— Idź i włóż, a wysmaruj sadłem, bobyś dostał kataru i kichał mi nad uchem. Każ trzem drabom z folwarku wziąć dragi, topory i czekać na mnie przed plebanią. Ale, nie zapomnij dubeltówki, da ci ją wachmistrz Bajtała, ten, co pilnuje moich koni.

W godzinę później Dwernicki wstawał od stołu, przekomarzając się z księdzem i opowia-

dając mu jakieś historye z odwrotu przez Berzynę.

— Wlazłbyś kanonik do zimnej wody w su-tannie?

— Niechże Bóg broni.

— To cię Bóg strzeżl.

— Co też jenerał mówi?

— Mówię, co mówię. Kanonika szefem jest ksiądz arcybiskup, a nie jenerał Klicki. To też dlatego ksiądz dziś będziesz suchy, a ja mokry.

— Dokąd się pan jenerał wybiera?

— Do Rembkowa.

— Ależ łódkę wywróci. Woda idzie po lodzie, na lokieć wysoka.

— To też ja pójdę pieszo.

— Wszelki duch Pana Boga chwali.

— I ja go chwale. To też przeżegnawszy się pójdę.

— Niechżeż jenerał się zastanowi.

— Rozkaz. Mój arcybiskup każe. Ma osiemdziesiąt sześć lat i Napoleon go zrobił baronem Cesarstwa. To ci dopiero dygnitarz.

— Pan jenerał Klicki? Ależ to niedołęga.

— Jestem na razie pod jego rozkazami. Służba. To trudno. Zresztą, Klicki ma rację. Gejsmar idzie od Kocka.

Poszli nad Wisłę.

Mgła jeszcze stała w powietrzu, i śniegi szare leżały po polach. Droga szła wzniesie-

niem, wśród gęstej, szarej wikliny. Gdzeniegdzie szarzały wierzby, grube, spróchniałe pnie, dźwigające korony gęstych młodych gałęzi.

Typowa nadwiślańska płaszczyna.

Wikliny stały w wodzie. Wszystko było zalane — łąki, pola okoliczne, ogrody. Dalej, gdzie się droga kończyła i szarzał wmarznięty w lody wiślane prom, przestrzeń wody wiślanej zdawała się bez końca. Bulkotała ta woda w wiklinach, szumiała przy wierzbowych, dziurawych pniach. Widać było przy brzegach lód pod powierzchnią, biały śnieg obmarznięty, czarne plamy śladów drogi zimowej.

Dwernicki zeszedł do wody, która mu sięgnęła wyżej kostek, i zaczął brnąć prosto przed siebie. Sadowski szedł za nim. Zimno przejmujące wświdrowało mu się do kości. Woda chlupotała wokoło, widać było niewielkie wiry i kawałki śniegu, niesione przez prąd.

Fornale idący z drągami tręcali się łokciami, postukiwali drągami o lód, i szli w pewnem oddaleniu za jenerałem.

Woda była coraz płytsza. Nigdzie jednak ani wysepki, ani znaku żadnego, że ledwie pokrywa powierzchnię lodu.

Dwernicki stanął, doczekał się fornali i zaczął rąbać.

Chłopaki stajenne patrzyły na niego z podziwem.

— Rąbcie do licha!

Prysnęła woda od uderzeń. Więcej było piany i bryzg, niż prawdziwej roboty. Dwernicki sam chwycił siekierę i zaczął bić. Lód był twardy i szklisty. Trzymał mocno jeszcze. Nigdzie szczelin, ani śladu kry, tylko kupy śniegu płynące gdzieniegdzie.

— Pójdźcie precz, — mruknął Dwernicki do chłopów. Drąg i siekierę. Sami pójdziemy.

Szli dalej we dwóch z Sadowskim, niosąc dubeltówkę, drąg i siekiery odebrane od chłopów. Woda szumiała coraz bardziej, i sięgała już po kolana. Byli pośrodku rzeki. Obydwa brzegi szarzały w mgle.

Dwernicki postukiwał ciągle o lód, i starał się iść równo, pomimo że go woda znosiła. Wyjął cygaro, koniec oderwał zębami i skrzesał ognia. Nie zdążył zapalić jeszcze, kiedy cisnął cygaro do wody, i chwycił dubeltówkę z rąk Sadowskiego. Trzy kaczki szły nisko nad wodą. Jenerał przeczekał, aż zakreśliły koło, lecąc w górę rzeki. Strzał. Kaczka padła, i zaczęła płynąć, unoszona przez prąd. Dwernicki biegł przez wodę, by stanąć na jej drodze. Dosięgnął zdobyczy, a że trzepotała się jeszcze, więc uderzył główką o kolbę dubeltówki, i przytroczył do torby.

— Podgorzałka, — zwrócił się do Sadow-

skiego. Są pewnie gdzieś blisko oparzeliska, to z tych co zimują w tych stronach.

Brnęli coraz dalej, w stronę tamtego brzegu. Woda była znów płytsza, i prąd słabszy znacznie. Łód się powyginał trochę, i znać było kilka szczelin poprzecznych.

— Najgorsze miejsce, — mruknął Dwernicki. — Trzeba szukać innego przejścia.

Wyszli na brzeg.

Zimno było przejmujące, i Sadowski zaczął szczękać zębami. Wstyd mu było tej słabości, ale Dwernicki nie mówiąc ani słowa, wyjął z torby myśliwskiej manierkę, odkorkował, i przytknął mu ją do ust.

— Pijże jeszcze, kiedy ci w gardło leję.

O kilkadziesiąt kroków niżej weszli znów w wodę, i brnąc po kolana, do Mniszewa wracać zaczęli. Sadowski czuł, że mu się trochę kręci w głowie od tej jeneralskiej wódki, i od wody, szumiącej mu pod nogami, wijącej się koło jego kolan. Starał się jednak iść równo i nie pokazać po sobie, że niezbyt pewnym się czuje na nogach. Jenerał palił ogromne cygaro, i szturchał od czasu do czasu drągiem ciemne miejsca, majaczące pod wodą.

Głos trąbki, grającej na baczność zwrócił ich uwagę. Kilkunastu oficerów stało na brzegu, a między nimi proboszcz Mniszewski, gestykulujący rozpaczliwie rękoma.

Umilkli wszyscy i patrzyli zdumieni, salutując. Dwernicki oddał ukłon wojskowy i szedł milcząc w stronę kwatery oficerskiej, kazał sobie dać mapę, miejsce na rzece czerwonym ołówkiem nakreślił, i zaczął dyktować rozkaz dzienny przejścia przez lód, pieszo, po jednemu, z końmi, natychmiast, choćby przeprawa trwać miała do świtu.

XXII.

Zawrzało na plebanii.

Pełno było starszyny, oficerów ordynansowych, żydków dostawców. Ksiądz proboszcz zamknął się w bocznej stancyjce z brewiarzem, i przez całe popołudnie nie wyrżał. Jenerał fajkę palił, krzyczał i klął na czem świat stoi, ale był w dobrym humorze. Pokój jadalny pełen był map, szpilek, rachunków i planików węgłem na bielonych ścianach. Wojna — powtarzali oficerowie, zacierając ręce. Gejsmar tuż, tuż — mówili inni. Tryskała im z oczu radość i ochota. Miny mieli gęste, krok zamasysty. Chodzili po pokoikach plebanii dzwoniąc szablami i ostrogami. Gięły się stare sosnowe podłogi i skrzypiały pod stopą żołnierską. Wszystkie drzwi na oścież. Stara gospodyni księżowska skulona na zydelku w kuchni, gdzie kucharz pułku 3-go strzelców konnych uwiijał się koło wczesnej wieczerzy i gotował czarną kawę po turecku bez końca.

Zmrok już zapadał, i coraz ciszej zaczęło

się robić w starym dworku proboszcza. Szwadron za szwadronem odchodził za rzekę. Konie oficerskie parskaly przed plebanią, coraz mniej ich było, aż i ostatnie gdzieś poszły, z pulkami, czy do stajni folwarcznych.

Ksiądz proboszcz wyjrzał nieśmiało, zobaczył, że jenerał ślęczy nad mapą po ciemku, koło ledwie jasnego okna, więc pośpiesznie dwie świece zapalił, na stoliku z przyborami do kawy postawił, i wyszedł na palcach. Jenerał nawet nie odwrócił głowy, zatopiony w planach wojennych.

Ksiądz pokręcił się chwilę po pokojach, i zawędrował do obszernego staroświeckiego przedsionka, gdzie przed kominem siedział Anastazy Dunin z Andrzejem Sadowskim. Ksiądz fajkę wytrząsł, tytoniu nałożył, cybuch rozkręcił i przetarł bursztyn papierkiem, i jął zapalać od ognia w kominie papierowym fidiusem.

— Słyszałem, mości adjutancie, — zwrócił się do Dunina — że otrzymałeś piękne wykształcenie. Nie masz, jak liceum krzemienieckie. Jakbym był młody, tobym machnął ręką na Kraków, czy na Warszawę, a jechałbym do Krzemieńca.

— Wyniosłem wielką miłość dla naszego liceum, — odpowiedział Dunin. — Mam nadzieję, że po wojnie jeszcze piękniej zakwitnie.

— Daj Boże, — odparł ksiądz. — A wolno wiedzieć — pan słyszałem literat i uczony: chcesz być profesorem, kiedy wojna, Bóg da, skończy się rychło i pomyślnie, i wrócą polskie czasy?

— Nie myślę o tem, proszę księdza kanonika. Nie śmiem zbyt śmiać okiem spozierać w przyszłość.

— Czyżbyś, Panie odpuść, miał jakie wątpliwości?

— Nie — zasępił się Dunin. — Ale może zbyt silnie, zbyt gorąco wierzę, bym mógł dziś o czem innem myśleć, jak tylko, że jestem żołnierzem. Nie wolno mi myśleć ani o Rządzie Narodowym, ani o panu Mochnackim, ani o księciu Prezydencie, ani o rozkazach Rady Wojennej. Nie wolno — czy ksiądz mię rozumie — nie wolno. Jedna jest wiara przed nami — ufność w błogosławieństwo Boże dla Polski. Jedna jest siła w ręku — szabla. Jestem dziś oficerem, zapominam, że uczyłem się na pamięć Platona i Plutarcha. Zapominam o Arystotelesie i o Marku Aureliusz. Wożę z sobą Cezara i Liwiusza, i to są w nich strony całe, których nie czytam.

— Widzę z tego rzecz zdrożną, — z prostotą wielką powiedział ksiądz. — Powiedziałbym, mości kawalerze, że w ogniubys szukał rad śmierci.

Adjutant Dunin popatrzył na księdza swemi ciemnymi, przenikliwemi oczyma.

— Ksiądz całe życie jest księdzem? — spytał po chwili.

— Nie, — odpowiedział proboszcz. — Ja jestem jednym z tych, co powrócili z wysp San Domingo.

Andrzej Sadowski patrzył na tych dwóch ludzi, mówiących grą pojęć całych, nie poszczególnych słów. Ksiądz przejął to spojrzenie — i ciągnął dalej.

— Ale ja jestem z tych, co byli pod Kozietulskim. I jeżeli wolno mi było tak patrzeć w przyszłość, kiedy dziesiątkowała nas żółta febra, i kiedy cała niewdzięczność, cała obluda, cała zbrodnia Francyi zajrzała nam w oczy, to nie miałem prawa myśleć o tem pod Somo Sierrą, czy później, pod Waterloo nawet. Ale widzisz: zostałem we Francyi, nie poszedłem w roku ośmset dwunastym. Nie wierzyłem. Zresztą, mniejsza dlaczego. Było wiele przyczyn, o których mówić nie będę. Co innego — s t o d n i. Wtedy była sprawa stracona. Wtedy znów stanąłem w szeregu. Ale, zrozumieć chcecie, moi chłopcy kochani: ja byłem z tych, którzy zatruci byli na San Domingo. To wszystko są idee, które poumierają. My starzy wkrótce wymrzemy. Ja miałem czterdzieście dziewięć lat pod Waterloo. A teraz...

— Teraz, — ciągnął ksiądz innym głosem zupełnie, skandując każde słowo — teraz Polska powstaje. Teraz Polska wypowiada wojnę Moskwie na śmierć i na życie. Polska jest celem, ośrodkiem, wiarą — nie jakaś gwiazda Korsykanina, mniej lub więcej szczęśliwa. Tylko imię Polski sprawę naszą natchnie i wzniesie wysoko. O wszystkim zapomnieć — widzieć Polskę jedynie. Szabla — słusznie powiadasz, mości adjutancie — czujesz rękojeść szabli w swej dłoni. Ale w tem wszystkim jest jeszcze jeden brak: mówisz, że ci myśleć o Arystotelesie, czy o Marku Aurelim zwłaszcza, nie wolno. Słuszneż to jest zupełnie? O ile słuszne, mówię ci, o tyle zbędne. Nie myślisz o bezbożnych księgach, idąc do kościoła na odpust. Wszelka wątpliwość staje się w takich chwilach bezbożną...

To też ja, mości adjutancie, wołałbym, żebyś mi tak nie liczył i nie wymieniał tych ksiąg, o których wolno myśleć, a o których nie godzi się zgół. Wiesz, co ci dam? Treny Kochanowskiego. Dołożę jeszcze Georgiki Wergilego. Kiedy ci złe myśli przyjdą, zajrzyj do kuferka, albo i lepiej, trzymaj te książeczki w worku przy kulbace. Zobaczysz, czy stary ksiądz ma słuszność, a potem, Bóg da, po szczęśliwej wojnie, przyjedziecie tu kiedy do mnie sta-

rego, to sobie pogadamy o tem i o owem,
a może nawet o tem wszystkim, co dziś leży
odlogiem, i do końca wojny, Bóg da, nie po-
wróci.

XXIII.

— Dunin! — zawołał z przyległego pokoju Dwernicki. — Wezwać kapitana Krasnodembskiego. A czegoś taki melancholik? Mucha ugryzła, w lutym? A może ci się chce wiersze układać, i konkurencyę panu Brodzińskiemu robić? Poczekaj, wykąpiesz się zaraz w Wiśle, to ci odpadnie ochota od latania na Parnas. Wojna w oczy zagląda, Geismar stoi w Łukowie, a ten o Muzach myśli. Skaranie Boże z tą poetycką egzaltacyą.

Kapitan Krasnodembski — zwrócił się do wchodzącego — obejmie komendę w Mniszewie, i poczeka do jutra. Przed południem nadejdą dywizyony strzelców konnych, dwa bataliony liniowe i bateria naszej artylerii pod komendą Józefa Puzyny. Wyprawić ich po goźdinnym popasie w ślad za nami do Rembkowa, zwinąć tu wszystko i objąć tylną straż. Droga nasza — Rembków Żelechów. Jutro o tej porze czekam na pana kapitana z raportem.

— Wedle rozkazu.

- Ale, pochodnie smolne gotowe?
 - Trzy wozy przygotowane.
 - Proszę kazać zapalać. Co dziesiąty żołnierz z pochodnią. Iść uważnie, raczej w górę rzeki kierować, niż w dół. Niżej są porąbane płonki, i lód pęka od brzegów.
-

XXIV.

Noc była mroźna, ciemna. Chmury kotłowały po niebie, szara plama księżyca majaczyła chwilami w obłokach. Łunę czerwoną widać było od strony Wisły. Im bliżej rzeki, tem wyraźniej migotały krwawe plamy pochodni pośród gęstej wikliny.

Woda szumiała w łozach, jeszcze ostrzej, jeszcze żywiej niż w dzień. Zerwał się wiatr. Suche liście, gdzieś na drzewach ukrytych w ciemności, wtórzyły fali rzecznej swoim twardym szelestem. Zapytany kapral na brzegu meldował, że się woda o parę cali podniosła, ale że łód trzyma, i nigdzie nie pęka. Zresztą, wiadomo, że jak pękać zaczyna, to łomotanie takie idzie po Wiśle, jakby z móżdżerza kto walił na brzegu.

Dwernicki zsiadł z konia i podszedł parę kroków pieszo, między wojskiem zebranem. Zostali już tylko ulani z drugiego pułku. Konie strzygły uszami — żołnierze trzymali je krótko, gotowi zejść w wodę.

Łańcuch płonących żagwi zaczynał się tu, na brzegu i szedł daleko, przez wodę, dwojąc się i trojąc w kłębiącej się fali. Równy, jak strzelil. Posuwały się te pochodnie czerwone, oddalały od brzegu, robiło się pusto, tylko ciemne sylwety końskie i ludzkie wchodziły w wodę szumiącą, i znów żagiew czerwona zapalała się od ogniska, posuwała naprzód, nad wodę, i szła śladem, za tym żywym łańcuchem. Konie parskwały, ulani nawoływali wesoło, pokrzykiwali wchodząc do wody, ciągnąc odporne wierzchowce. Wiatr chybotął ogniem, krzesał iskry z pochodni, kręcił dymem, pluł pianą w oczy. Dziwna to była przeprawa. Zrazu konie ślizgały się po lodzie, chrapały, opierały się. Kilku żołnierzy, mokrych do pasa, brodziło przy brzegu z długimi batami stojącymi. Kilkunastu innych piło wódkę i grzało się przy rozłożonem ognisku na brzegu.

— Zimno, chłopcy? — huknął Dwernicki.

— Lepiej, niż w Berezynie — krzyknął jakiś wiarus wesoło.

— To ci Berezyna na myśli, stary niedołęgo — odburknął Dwernicki. — Teraz idziesz zwyciężać, nie bronić tyłów francuskich.

— Daj Boże zdrowie, panie jenerale — odezwały się głosy. Zwyciężymy.

— Oslówby trzeba, żeby wlażyć w tę wodę, gdybyśmy nie mieli zwyciężyć. To się wie, —

rzucił Dwernicki, i wziął konia krótko za uzdę. Jest wachmistrz Bajtala? Pochodnię bierz, i w wodę. Marsz. A nie ociągać się chłopcy. Ciepłe kwatery czekają na was w Rembkowie.

Jenerał konia poklepał po szyi, i żywym krokiem zbiegł w wodę. Za nim adjutant Dunin, Sadowski, stary kucharz z Sieradza, kilku ordynansów jeneralskich przybocznych. Sadowskiemu woda wydała się mniej zimna, niż rano. Brnął śmiało, prowadząc konia, który się ociągał trochę, strzygł niecierpliwie uszami, i wiał mu w rękę ciepłym, żywym oddechem.

Dziesięć kroków przed nim postępował Dunin. Dalej majaczyła ciemna, krępa sylweta jenerała — i luna światła czerwonego skakała po fali. Wachmistrz Bajtala niósł żagiew bokiem, bacząc więcej, by nie zaproszyć oczu koniowi, niżeli dbając o światło.

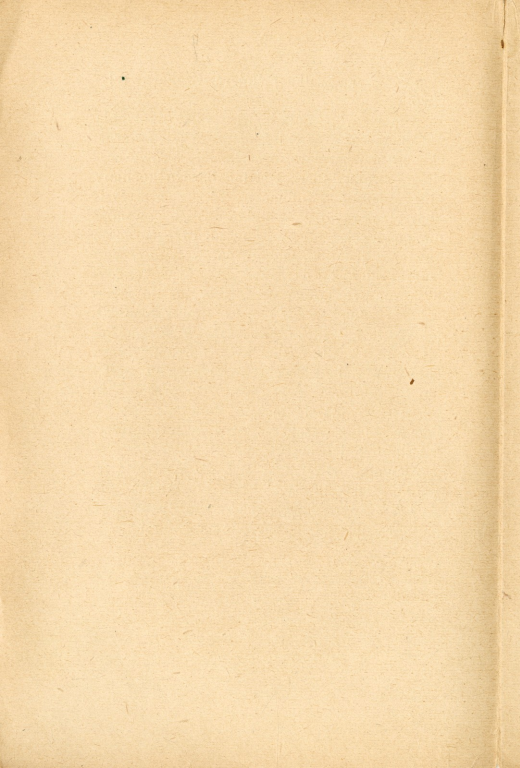
Hen, gdzieś, na brzegu przeciwnym, linia światelek załamywała się, wiązała w jakiś węzeł, skąd dalej szły ognie rozproszone, i nikły w ciemności.

Wojna. Teraz dopiero Sadowski zrozumiał, że tam, wojna przed nimi, na tamtym brzegu. Skończył się sen o szabli rycerskiej, o mundurze polskim, o śmiejących się oczach kobiecych. Tam, za tą wodą szumiącą, za tym lodowym mostem, po którym idą nad wiślaną głę-

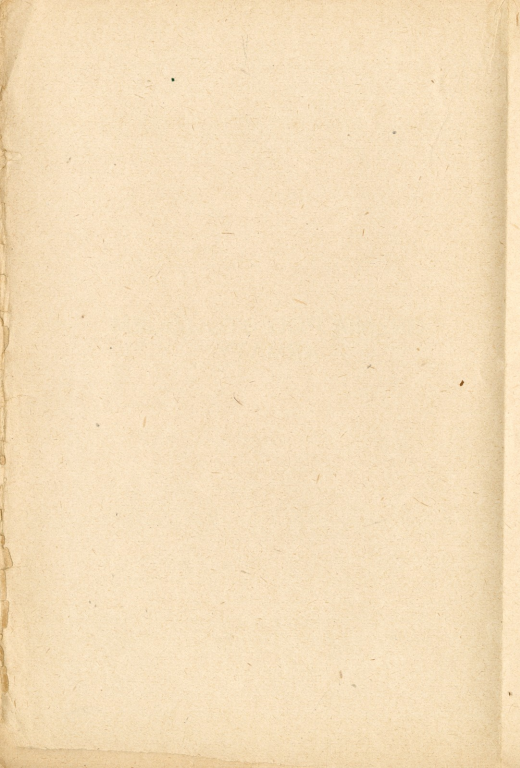
biną — czeka walka i śmierć. Czeką zwycięstwo.

Zwycięstwo... Fala krwi ciepłej napłynęła mu do serca. Zrozumiał, dlaczego ten Dwernicki, zrzęda, karciarz, hreczkosiej, surowy często do braku litości, jest tak bardzo kochany przez wszystkich żołnierzy. Przez nas wszystkich — poprawił się w duchu. Przecież on mógł nie powiedzieć im nic, tam na brzegu. Teraz powtarza jeden drugiemu, że przecieżby pan generał nie kazał im brnąć przez tę wodę, gdyby to nie było koniecznem, gdyby to nie pociągało za sobą — zwycięstwa. Zrozumiał, jak się te kategorie dziś wiążą w mózgu żołnierskim. Sensu by nie było narażać się na chłód, na niebezpieczeństwo przeprawy, gdyby nie ta pewność zwycięstwa. Bo przecież to zwycięstwo już się zaczęło, tam, na tamtym brzegu — już weszło w krew tych żołnierzy, już stało się ich przeżyciem, własnością.

Dawniej, Dwernicki był dla Andrzeja legendą. Dziś stawał się tym kochanym, naszym Dwernickim, naszym generałem, za którego by dał się porąbać na ćwierci.



GRZMIĄ POD STOCZKIEM
ARMATY



XXV.

— Kto wraca?

— Patrol z pod Ruży. Krakusy.

— Co? tylko sześciu? Wachmistrz! sam tu.

Było was ośmiu.

— Tak, panie jenerale.

— Gadaj, do stu piorunów.

— Spotkaliśmy kozaków za Miastkowem.

— Zginęli?

— W niewoli.

— I wyście tu wrócili, nie próbując odbić kolegów?

— Sotnia była, panie jenerale.

— W czystem polu?

— W lesie.

— Czegóżście się wdali w utarczkę?

— Nieostrożność, panie jenerale. Zachciało się moskiewskiej krwi. Trzech leży.

— Osły. Patrol nie szarżuje. Kazałem wyraźnie unikać potyczki. Cóżście najlepszego zrobili? Teraz podejść Geismar się nieda. Wiesz sam, że głupstwo. Dwa dni odwachu, przy pierwszym postoj. Marsz.

Dwernicki był wściekły. Chodził wielkimi krokami po dworku ekonomskim w Filipówce, złożonym z kilku małych stancyjek. Złościł się, że dzieci piszczą w alkierzu, że świny chrząkają w chlewie, i pies ujada przy stajni. Kucharzowi nawymyślał, oficerów porozpędzał po szwadronach. Sam chciał coś zobaczyć, łaził z organistą na dzwonnice kościelną, o mało co nie zwałił się, pogruchotawszy spróchniałe szczeble. Inne patrole zawiadomiły go, że nieprzyjaciół powysyłał szpice w różnych kierunkach, i że z pod Łukowa się rusza.

— Niema co, zmiatać mi patrole kozackie, ani nogi nie puścić. Podpułkownik Chmielowski z przednią strażą obsadzi wieś Prawdę.

Dopiero o dziesiątej wieczorem przybyło dwóch księży z wiadomościami. Twierdzili oni z największą pewnością, że Gejsmar ruszył się nagle z Łukowa i Ruży, że nocuje w Żerocinie, i że chce się przeprawić przez Wisłę pod Górą Kalwaryą, dla połączenia się z Kreutzem.

Cicho się zrobiło we dworku. Jenerał pisał rozkaz dzienny. Głucho warczały bębny, trąbki się odezwały krótko, donośnie. Szeregi stanęły zwarte, wyczekujące, po całym dniu niepewności.

„Żołnierze! — czytali adjutanci. — Znana mi jest wasza niecierpliwość, z jaką oczekujecie mierzenia się z nieprzyjacielem, co niejako

wzbudza we mnie dumę. Ale uspokójdźcie się. Jutro zapewne wprowadzę was do boju. Rozprawa będzie gorąca, bo nieprzyjaciół, którego doścignemy, ma siłę co do liczby nierównie od naszej liczniejszą i wojsko z wojną obeznane. Ale tem lepiej. Chwalebniejsze będzie nasze zwycięstwo i da wam korzystną sposobność okazania, że jesteście Polscy synami. Niech żyje Polska».

Zawrzało w szeregach. «Choćby ich było kilku na jednego — wołali żołnierze — pobijemy, a rachować tylko trupy a niewolniki będziemy».

— Wymarsz za trzy godziny — wołali oficerowie. Wymarsz za trzy godziny, powtarzali wachmistrze i kaprale. Podniósł się gwar. Mało kto myślał o śnie. Posiadali żołnierze naokoło ognisk, rozpalonych na śniegu. Broń w kozły — kotły na ogień. Dzieciaki wiejskie, baby, gospodarze, wszystko to snuło się między wojskiem, bacząc, by gdzie iskry nie poszły na wieś. Dachy były mokre, to prawda, ale kto wiedzieć może, skąd Pan Bóg nieszczęście nam zesła.

— Pierwsza bitwa — powtarzali sobie wszyscy. Ho, ho, jak to bywało — opowiadali starzy żołnierze. Niejeden z nich był w Smoleńsku i w Moskwie — który młodszy, zdarzało się, że pod Załuskim brał udział w tureckiej

wojnie ostatniej. Przeważnie jednak korpus Dwernickiego składał się z wolentaryuszy, mało obytych z musztrą, werbowanych w Warszawie, nie mających pojęcia o koniu i wojnie.

— Jakoś to będzie, — mówili starzy żołnierze. — Ochota grunt. Odkąd świat światem, zawsze jedno wojsko lepsze, a drugie gorsze. Tylko, że po bitwie się pokazuje, które lepsze. Moskale dobrzy do parady, albo do wielkiej, kupy narodu. Byle ich prac, i to tego, to zmykać będą aż miło. Ten pobije, kto pobić chce rzetelnie, i kto się nie boi.

Dwernicki, udobruchany, pewien siebie, chodził od ogniska do ogniska, gwarzył, twarz marszczył, pilnował porządku. Młody ułan jakiś podniósł się z ziemi, lancę wziął i podał ostrze jenerałowi.

— Czegóż ty chcesz? — spytał Dwernicki. — Jeszcze ciebie na świecie nie było, kiedy ja wiedziałem, że to lanca.

— Żle okuta, panie jenerale?

— Żle okuta? No, to pobijemy ich drzewcami.

— Hura, — krzyknęła wiara. — Niech żyje pan jenerał...

A on chodził od ognia do ognia, usta wydymał, i myślał, od której strony rozpocząć każe szarżę pod Stoczkiem.

XXVI.

— Panie jenerale.

— Kto, i czego chce?

— Adjutant podpułkownika Chmielowskiego, Strzemieczny. Melduję, żeśmy zabrali we wsi Prawdzie placówkę nieprzyjacielską. Osiemdziesięciu kozaków i dragonów. Oficer tylko umknął.

— Języka przyprowadziłeś?

— Trzech.

— Dawać ich tu.

Trzech drabów w dragonських mundurach weszło do izby, kłaniając się w pas. Za nimi, odpychając młodych ułanów 2 pułku, wszedł z wielką butą stary wachmistrz Bajtała, rozpromieniony, z dobytą szablą, prostując się z wielką a niezwykłą służbistością.

— Z jakiej gubernii? — spytał pierwszego z brzegu Dwernicki.

— Połtawskiej — wyjąkał miękim ukraińskim akcentem dragon.

— A ty?

— Z pid Bardyczewa — śmielej odpowiedział drugi.

— Traścia waszu mamu mordowała — zaklął wesoło po rusińsku Dwernicki. — Toż my swoi lude ¹⁾).

Dragoni raźniej popatrzyli na siebie.

Dwernicki indagował dalej po rusińsku. Dowiedział się, że Gejsmar ma dwa pułki wyborowe dragonów, dwa strzelców konnych, ogółem 24 szwadrony, oraz dziesięć sotni kozaków i dwie półbaterye konnej artyleryi, każda po sześć dział trzyfuntowych.

Odprawiwszy jeńców, zaczął liczyć siły moskiewskie.

24 szwadrony, 3.600. Dziesięć sotni, 1.000, razem 4.600, plus dwanaście armat. Wszystko to contra 15 szwadronom polskim, co wynosi 2.100, i sześciu armatom. Siły przeszło dwa razy większe. Bitwa kawaleryi z udziałem artyleryjskim. Piechota w rezerwie, liczyć na nią należy.

— I cóż kniaź o tem myślisz — zwrócił się Dwernicki do Puzyny. — Cóż twoje jednorogi? Poczwórna robota. Jenerał Klickiby dał rozkaz odwrotu, zważywszy, że u Gejsmara żołnierz z ogniem obyty, a nasze czeladniki war-

¹⁾ Bodaj febra twoją matkę trzęsła. Toż my swoi ludzie.

szawskie zwyczajniejsze do kopyta i dratwy, niż do konia i lancy. Ale moje uwagi w tym względzie są inne.

— Ja odpowiadam za moją artyleryę — spokojnym i równym głosem odpowiedział Puzyna.

— A ja za mój korpusik, — odparł Dwernicki. — Ale ja bitwy od Gejsmara nie przyjmę. Ja mu ją wydam, do kroćset.

XXVII.

Wielkości polska, drogą mogił idąca, szlakiem pobojowisk odwiecznym... Oto się znów zbudziły two zorze... znów rozpalily obłoki, i zabłysła nad nimi jasna gwiazda poranna.

Mgły były takie szare, lasy takie pępne, kiedy wyszły pierwsze linie ułańskie na wzgórze, i kiedy w przestrzeń ciszy i mgły, nad nikłym śniegiem leżącej wbily się oczy żołnierskie.

— Pierwsza bitwa przed nami...

Twarde były i niezłomne te siwe oczy mazurek, szare jak mgła, i ta ziemia mogilna, i ta woda ywisłana. Gdzieś, z lasu, debuszował pułk Perjasławski. Ledwie było widać sylwetki głów i spis ostrza sterczące. Resztę spowila mgła.

Gdzieś, hen, w obłokach rozdarły się chmury i wyrzwał szmat jasnego błękitu. W czyichże to oczach widzieli taki błękit oni wszyscy, żołnierze? W czyjem spojrzeniu była taka jasność

milcząca, czysta, jak woda górską i błyszcząca, jak stal?

Dzwoniły trąbki. Formuj się — poszło po szeregach. — Czworobok. Bacność.

Pułkownik Rychłowski lustruje front. Za nim siwa klacz jenerała. Idzie luzem, powoli, Dwernicki puścił jej cugle i bacznie przez perspektywę śledzi ruch nieprzyjaciela. Zbiera cugle, wiesza perspektywę na pasku, odwraca oczy. Czyż kto widzi czoło w bruzdy zorane i marsową twarz, czy tylko te jasne, pogodne, dobre oczy błękitne... Moskale debuszują od Żerocina, od Toczysk — patrzy żołnierz polski, poprawia się w strzemionach — i ciągle mu się zdaje, że patrzą nań jeszcze te jasne, błękitne oczy...

— Dywizyony ułańskie — na lewo front ku Żerocinowi. Drugi strzelców, czwarty ułanów, pierwszy strzelców — prawe skrzydło. Bacność, przeciw samemu Gejsmarowi. Piechota w rezerwie, na drodze od Stoczka. Cofnąć się w tył. Trzeci strzelców konnych naprzód przepuścić. Artylerya, gdzie Puzyna? Na dwa fronty kapitan kazaleś rychtować? Dobrze.

— Krakusy Kościuszki zostaną przy jenerale — komenderuje Dunin. — Bacność, ani nogą z miejsca. Strzał działowy zawtórował jego słowom. Granat pękł tuż przy baterji Puzyny. Kilku ludzi padło.

Odwróciły się głowy —było to nowością. Widać było na twarzach ciekawość. Ale ruch się już zaczął. Widać było, pomimo lekkiej mgły, jak się odrywają eszelonami oddziały kozackie i zaczynają zbliżać.

— Marsz! — Komenderuje pułkownik Błędowski. Zjeżdżają się lance. Wszystkie trzy dywizyony ułańskie zrywają się z miejsca. Szable oficerskie błyszczą jak srebrne węże. Obydwie linie zbliżają się co koń wyskoczy. Dywizyon drugiego ułanów zatacza półkole, zwalnia biegu... Zczepiają się dwie lawiny pędzące. Sześć szwadronów kozackich wali na garstkę polskich ułanów. Ogromne konie, chłopy jak dęby. Giną wśród nich cztery szwadrony polskie. Zamieszanie, krzyki, huk artylerii. Rozwija się drugi pułk dragoński, prażyć zaczyna artyleria Paszkowa. Nowa fala kozacka uderza w to mrowie ludzkie — kiedy kapitan Lewiński z boku nagle uderza. Łamie się wszystko, targa. Jakaś pieśń wielka zrywa się od strony polskich pozycji, potężna, wielka. Pieśń ta chwyta za serca, skrzydeł dodaje. Nowy grom siły budzi się w piersiach ułańskich. Dragoni Paszkowa wzięci we dwa ognie. A pieśń leci nad polem — jeszcze nie zginęła...

Patrzy ze swej pozycji stary Dwernicki, skubie krótkiego wąsa. Dobrze, Paszkow się łamie. Zwraca się ku lewemu skrzydłu — front

nieporuszony, i ta pieśń. Przed frontem pułkownik Rychłowski, szabla dobyta, śpiewa z innymi. Od strony Toczysk praży artylerya. Kule działową walą, a oni stoją nieporuszeni, objęci wielkiej pieśni oddechem.

— Dunin! Szasery naprzód! Trzeci dywizyon! Naprzód. Krakusy! zwolna, za mną!

Paszkow już zgruchotany, cofa się ku błotom i grobli. Bacność prawe skrzydło. Strzelcy już mkną z kopyta — ale Gejsmar swoich dragonów wirtemberskich nie rusza. Złe, myśli Dwernicki, młody żołnierz gotów się wahać. I rzeczywiście, szarża mięknie, pęka, słabnie.

— Naprzód Krakusy! — woła Dwernicki, i spina konia ostrogą. Ziemia aż tętni. Ogień artyleryi wzmożony.

Andrzej Sadowski, w pierwszym rzędzie czołowej kolumny idący, widzi, jak pierwszy szaserów wyprzedza linię, okrąża, uderza z lewego flanku. Coś się dzieje na prawym — krzyk i szczęk broni. Szarża klamrą zachodzi. Przed nim, jak piorun, pędzi adjutant Dunin z szablą dobytą. Burka jego powiewa na wietrze, rozpryskuje się, jakby kamień rozbity, rozdziera. Dym, świst kul, huk strzałów. Nic nie wie, nic nie widzi. Spina konia ostrogą, wali osłep. Widzi jak adjutant Dunin się przewadze osłania. Wpada między nich. W tejże chwili wali się pułkownik dragonów, cięty przez Du-

nina na odlew. On sam zaczepia się z jakimś oficerem. Konie zaczynają się gryźć. Oni walczą, zaczepieni niemal że strzemionami. Wtem wślizguje się jakieś ostrze. Znow Dunin. Robi się luźniej. Dunin uśmiechnięty, spokojny. Zawraca konia, śpieszy na lewe skrzydło. Kilku dragonów go dopada. Jeden sztych, koń bez jeźdźca pędzący. Cóż to się dzieje? Tamci gdzieś znikli, dym, powrócili do swoich, czy pomknęli w stronę armat Puzyny?

Coraz nowe oddziały zbliżają się od strony Żerocina. Już się uporano z Paszkowem. Kapitan Feliks Piotrowski z lewą ręką zwieszoną bezwładnie, prowadzi dywizyon ułański. Mundur na nim drugiego pułku strzelców — i tyle krwi na rabatach, żebyś go do pierwszych pułków zaliczył...

— Melduję panu jenerałowi — słyhać głos jego donośny — pięć armat z zaprzęgiem i jaszczykami pan kapitan Dębicki prowadzi. Stu pięćdziesięciu niewolnika.

— Melduję panu jenerałowi, — woła pułkownik Rychłowski — że cały szwadron Wirtemberczyków wykłuty pod lasem do nogi.

— Melduję — woła jeszcze głos jakiś — żeśmy wzięli na Gejsmarze sześć dział.

— Dwóch pułkowników wzięlim do niewoli — krzyczy zadyszany wachmistrz Bajtała.

Ostatnie grupy walczących gdzieś klusują pod lasem. Wiara obstała zdobyczne działa, zaprzęga konie, prowadzi do polskich pozycji, defiluje przed jenerałem.

Adjutant Dunin, uśmiechnięty ciągle, podjeżdża lekkiego truchta do jenerała. W ręku jego naga szabla, spuszczonej ku ziemi, po której spływa krew...

Tworzy się wkoło jenerała grupa oficerów sztabu. Dalej, skupiają się bojowym ordynkiem, podchodzące ciągle oddziały. Dwernicki cugle ściągnął, i drażni klacz siwą ostrogą. Jest w tym tańcu jeneralskiej wierzchówki jakaś radość i pogoda wesela. Parska ona chwilami i chrapie, jakby z ukontentowania. Jenerał ciągle sięga ręką krótkiego wąsa, i milczy. Jest w tej chwili jakieś upojenie zwycięstwem, jakaś nieprawdopodobna świeżość szczęśliwej, radosnej godziny. Przed nim zorane kopytami i granatami pobojuwisko. Pachnie potem końskim, dymem i krwią. Za nim — zbrojne zastępy. To już nie ten młody żołnierz, co szedł po raz pierwszy do boju: to zwycięzca z pod S t o c z k a.

Przejeżdża zdobyta bateria. Żołnierze wiwatują, powiewają czapkami.

— Stój! — woła Dwernicki.

Podjeżdża do jaszczyka, złazi ciężko z konia.

— Nie wiedziałeś ty, jaszczyku moskiewski, — mruczy z ukontentowaniem — do czego służyć będziesz. Wydobywa karnet, ołówek, i pisze rozkaz dzienny. Siada na konia, podjeżdża do swego kochanego pułku trzeciego szaserów, z którym stał przecież w Sieradzu i czyta:

— Żołnierze!

Wczoraj obiecałem wam spotkanie i bój z nieprzyjacielem, a wy przyrzekliście zwyciężyć, i za pomocą Boga święcie dotrzyмалиście obietnic. Niech żyje Polska! Niech żyje waleczny korpus, którym mam szczęście dowodzić!

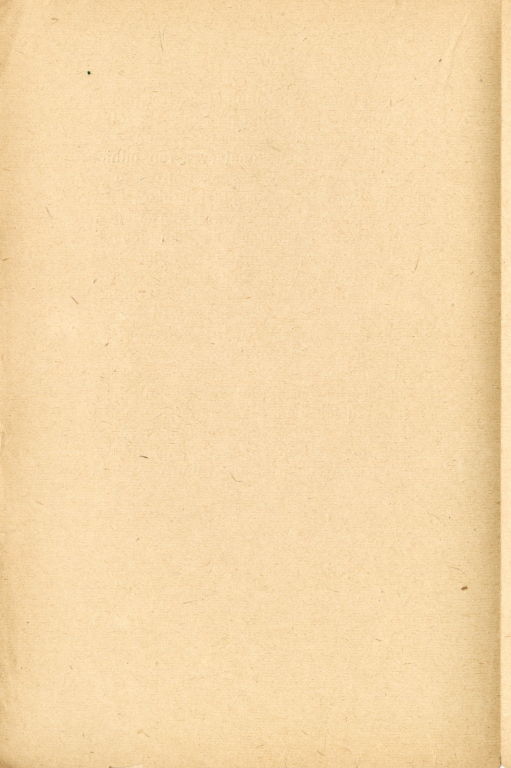
— Niech żyje Polska! Niech żyje pan generał Dwernicki — leci okrzyk, jak salwa tyraliery, coraz dalej, coraz szerzej, aż echo odpowiada od lasów.

— Adjutant Dunin! — woła Dwernicki — Wachmistrz Sadowski! Bombardyer Lipski! Przepisać mi ten rozkaz i przeczytać przed frontem każdego oddziału.

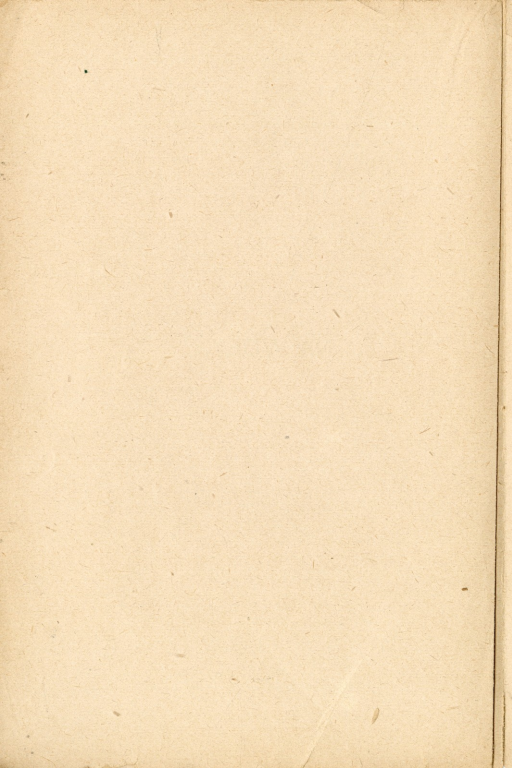
— — — — —

Rozkaz dzienny po pierwszym zwycięstwie. Ileż razy dźwięczeń on wam będzie echem dalekiem, wy wszyscy, którym żyć los przeznaczył, i pośród długiej tułaczki wspominać pierwsze zwycięstwa. Ileż razy pomyślał o nim na dalekiej emigracyi ów adjutant bohater Anastyazy Dunin, któremu życie całe, od czasów

krzemienieckich aż do smutnej śmierci topielca, gdzieś, na obcym brzegu, snuła się nitką szarą, posępną, dziwna poezja żywota. Ów pułkownik Błędowski, konający z ran odniesionych, kilka miesięcy później, w Krzeszowicach, na ziemi Rzeczypospolitej Krakowskiej. Ów kochany, żołnierza za serce chwytający prostotą swoją i rubasznością pan generał Dwernicki, na gryzącą duszę bezczynność skazany przez lat prawie trzydzieście. Ci wszyscy, męże waleczni, wierni znaku polskiego rycerze, zwycięzcy? I wreszcie, najszcześniejszy ze wszystkich, pan kapitan Feliks Korwin Piotrowski, którego czekało coprawda pięćdziesiąt lat Sybiru i Nerczyńskich kopalni, osiemdziesiąt pięć lat ciężkiego żywota — ale i jutrznia niepojętej, nadludzkiej radości. Ów pan kapitan Piotrowski, który miał umrzeć ze szczęścia, dwa dni po proklamowaniu niepodległej Ojczyzny, 7 listopada roku pańskiego 1916.



NA WOŁYŃ



XXVIII.

»Korpus mój słaby co do liczby, tworzący się, można powiedzieć wobec nieprzyjaciela, wśród tej szczególnej marszowej organizacyi ciągle bojował i zwyciężał. Gejsmar zniszczony, Kreutz kilka razy pobity, pędzony, do dwóch tysięcy zabitych lub wziętych w niewolę nieprzyjaciół, dwadzieścia trzy dział z kompletnym zaprzęgiem, jaszczykami i amunicją zdobytych, oswobodzenie od najazdu nieprzyjaciela całego województwa Sandomierskiego i w części Lubelskiego, a przez to zasłonięcie i zabezpieczenie stolicy od lewego brzegu Wisły — oto skutki dwudziestodniowych działań korpusu«. Słowa te pisze w pamiętniku swoim, odnosząc je do pierwszych dni marca 1831 roku, Dwernicki.

Korpus ten stał się postrachem Dybicza. Liczył on Dwernickiego na szesnaście tysięcy, to jest przeceniał siły jego w czwórnasób. Rozumiejąc całe niebezpieczeństwo, którem groziło Rosyi przeniesienie powstania do województw

ruskich, pisze on w raporcie do cara z d. 12 marca 1831 roku co następuje: »Odkomenderowałem szefa sztabu hr. Toll'a z trzecim korpusem jazdy rezerwowej, z częścią trzeciej dywizji grenadyerów i brygadą grenadyerów litewskich, z rozkazem odcięcia Dwernickiego od Wisły i od Bugu, i zadania mu ostatecznego ciosu, aby odjąć buntownikom wszelką sposobność przedsięwzięcia czegokolwiek bądź przeciw Wołyniowi. Dwernicki cofa się z Krasnegostawu na Rachów. Hr. Toll ściga go«.

Jak jednak ścigał Dwernickiego szef sztabu Dybieza, ze swymi osiemnastu tysiącami najlepszego wojska, widać z faktu, że dał się obejść prostym manewrem, który Dwernicki nazywa *prima aprilis* dla Tolla. Rzucił on rekonesanse na zachód od Zamościa, skutkiem czego Toll zajął Turobin, Wysokie, i inne wsie, sądząc, że Dwernicki pójdzie na lewy brzeg Wisły. Tymczasem, jenerał nasz dał rozkaz zbierania korpusu w Nowem Mieście, Tolla z Turobina dla niepoznaki wykurzył, i pomaszerował w przeciwną stronę, na Kozobudy i Zwierzyniec.

5 kwietnia, po odebraniu radosnej wiadomości o zwycięstwie pod Wielkim Dębem, odprawił ksiądz Pułaski uroczyste nabożeństwo dziękczynne, poczem miał stosowną przemowę o chwale polskiego oręża. Jenerał Pac donosił,

że sam w tych dniach miał przejść przez Wisłę i że największa chęć boju i wiara w zwycięstwo przewodniczy szeregom. 10 kwienia Dwernicki dał rozkaz przejścia przez Bug.

Ciężka była droga i trudna. Bagna wszędzie, jeziora. Lada strumień łąkowy pienił się jak rzeka, o pnie zatopionej olszyny gniewnie się rozbijał, zmuszając do ostrożności i poszukiwania brodów na moczarzyskach, oraz miejsc trochę mniej grzązkich na wielkich gościńcach.

Kraj cały był w dymie i w ogniu. Od litewskiej strony szły wojska moskiewskie — wieści przybywały coraz fantastyczniejsze i mniej wiarogodne. Zaraza wybuchła w Lubelskiem, kilkuset ludzi zmagало się z nią w cholerycznych barakach. Mało stosunkowo ubyło, ale powrócili do szeregu wynędzniali, bezsilni, z radością w sercu, ale i z chmurą nieświadomości na czole.

Jenerał do pośpiechu nie naglił i szedł krokiem miarowym, odpoczynku po trudach pochodu nie szczędząc. Korpus szedł zwartą gromadą, nie rozciągając się zbyt na trudniejszych przeprawach. Moskale liczyli Dwernickiego na kilkanaście, częstokroć na dwadzieścia kilka tysięcy. Dlatego cofnęli się od linii Bugu w głąb ziem wołyńskich, nie broniąc przeprawy.

Miał Dwernicki cztery tysiące młodego

przeważnie żołnierza, ale wyćwiczonego już w boju, otrzaskanego z niebezpieczeństwem i trzykroć liczniejszym nieprzyjacielem. Były to pulki, organizowane pośpiesznie, w większej części przez samego generała, te same, które zapisały się chlubnie w dziejach powstania zwycięstwami pod Stoczkiem, Kozienicami, Kurowem i Uhaniami. Wyrażali się o nich z pewnem lekceważeniem niechętni, a jednak wobec czynów świetnych tej wojny i wielkiej sprawności uchylali czoła.

Żołnierz to był śmiały, waleczny, pełen ufności w siebie i w dobrą gwiazdę, Dwernickiemu świecącą. Szedł chętnie naprzód, znoślił trudy wojenne, niewygody i zimno, i rwał się do boju.

Przeprawił się Dwernicki przez Bug pod Kryłowem i skierował na południo-wschód, równolegle prawie do galicyjskiej granicy. Pod Poryckiem sławny pułk kargopolski rozgromił, wziął dwustu kilkunastu w niewolę, czterdziestu trupem położył, moc zdobyczy wszelakiej zagarnął, w czem przeszło dwieście czterdziście kawaleryjskich przepysznych koni. Z wielkiem ukontentowaniem witała wiara tę zdobycz. Można już było zostawić ostatnie warszawskie szkapę, wywłoki fiakerskie, wozowody kalekie, mające jedno oko na czwórkę, jak mawiali wiarusy. Zwycięstwo za zwycię-

stwem. Zapowiadała się świetna, pełna chwały wyprawa.

Pod Poryckiem wytchnąwszy, jenerał z korpusem swoim wyruszył na Mielatyn, Pieczychwosty do Drużkopola. Szedł za nim korpus, bronią zdobyczną i setkami ochotnika wzmocniony. Trzecie dywizyony czterech pułków ułańskich, pięciu szaserskich, cztery bataliony piechoty liniowej, szwadron Krakusów Poniatowskiego i szwadron Kościuszki, batalion strzelców celnych Kuszla, i wreszcie mała bateria artylerji polowej, sześć dział trzyfuntowych licząca.

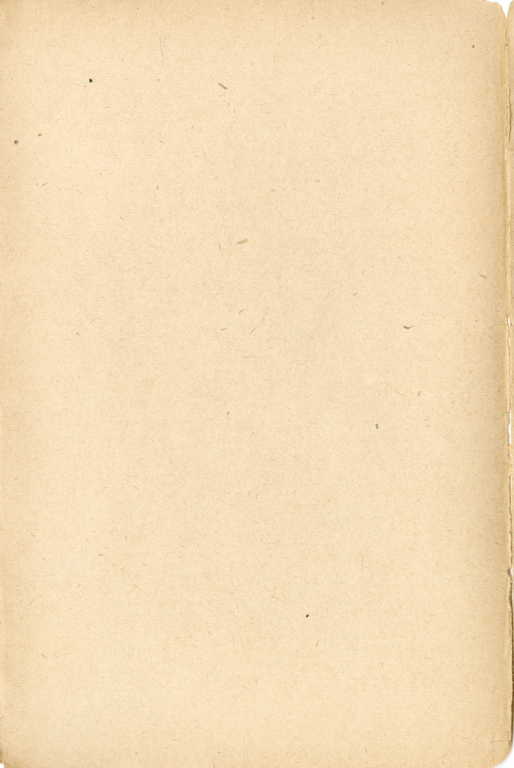
Drogi były szerokie, piaszczyste, błota stonsunkowo mniej grzązkie, niż w poblizkiem Królestwie. Szli przeważnie lasami, rekonesansy konne wysyłając na zwiady. Straż przednia rzadko kiedy wybiegała naprzód, trzymała się w niewielkiem oddaleniu, zachowując ciągłą łączność z korpusem.

Co parę godzin podjeżdżał do jenerała adjutant Sadowski, i meldował z uśmiechem, że tylu a tylu ochotników wychyliło się z lasu, zbrojnych w dubeltówki ojcowskie i w stare napoleońskie pałasze. Jenerał puszczał mimo uszu pozornie słowa swego adjutanta, uśmiechał się jednak z zadowoleniem, i ręki do krótkiego, strzyżonego wąsa podnosił. Na pierwszym popasie ku wolentaryuszom podjeżdżał,

oceniał bystrem spojrzeniem, o nazwiska pytał.

— A trzymać się blisko mnie, póki jeszcze nie wiecie, czy was pułki zaszczyca przyjęciem do towarzystwa. Niechno was kule poznać, jak moją burkę, to zobaczymy, co który wart. Humor przedewszystkiem. Kto chce nos spuszczać na kwintę, niech wraca do domu. Żołnierz do wojska, a baby do piekarni.

KWIECIEŃ



XXIX.

Szambelan Korwin Piotrowski nie mógł dłużej wyleżeć. Od godziny szarpał już taśmę od dzwonka, klął po francusku na czem świat stoi, pięściami walił w ścianę, a nikt nie przychodził. Kogut za przepierzeniem, w komórcę, piał już w niebogłosy, szary świt sączył się przez szczeliny okiennic.

Szambelan zły był, jak nigdy. Od trzech tygodni przeszło, z nastaniem pierwszych dni wiosny podagra mu się dawała we znaki. Pośtekując, usiadł na łóżku, poprawił szlafmocy, sięgnął znowu do taśmy od dzwonka, i dzwonić zaczął ze zdwojoną energią.

Wreszcie skrzypnęły drzwi, jakby je ktoś nieśmiało uchylił.

— Sam tu! — wrzasnął szambelan. — To ty, bałwanie jeden?

— Nie, to ja — pisnął przerażony i zachrypnięty głos jakby niewieści.

— Co za ja? Ja też jestem ja. Kto u licha?

— To ja, Bierzańska.

— Nareszcie! — odsapnął szambelan. — Powymieraliście wszyscy? Czegóż stara tam za drzwiami stoi? Nie widziała kawalera w szlafmocy? Ciemno, nic nie widać, a i cnota zdaje się dawno przywiedła.

— Pan szambelan żartuje — zachichotała klucznica.

— Kawa mi w głowie a nie żarty. Gdzie ten stary cymbał się podział, Antoni?

— W piwnicy, proszę pana.

— Zwaryował? Pijaczysko stare.

— Srebra chowa.

— Czego? Poco? Kto mu kazał?

— Troska o dobro pańskie.

— Co mu strzeliło do głowy?

— Ja myślałam, że pan szambelan pochwali.

— Zaco? Za to, że głupi?

— To pan szambelan nie wie?

— Czego nie wie?

— Że pan jenerał Dwernicki...

— A dajcie wy mnie raz pokój z waszym jenerałem!

— Ależ proszę pana szam...

— Hę?

— Pełna wieś żołnierstwa. Drzwi wywalili u Szmula.

— Dobrze mu tak. Co za żołnierstwo? Kupy Dwernickiego?

— No, a ja nie mówiłam, że pan szambelan nie nie wie?

— Gadajże asani do wszystkich dyablów!

— Poco tak kłąć... Pan jenerał Dwernicki na miazgę pobił Moskali pod Poryckiem.

— Bajki!

— Aha, bajki. Uciekaliby tak, gdyby nie pobił! Chwalić Pana Boga, ostatniego prędko pan jenerał wykurzy!

— Gdzie służba?

— Z paniczem Rudolfem poszli.

— Z Dolciem? Dokąd poszli?

— Do lasu.

— He?

— Albo ja wiem dokąd. Bić Moskali.

— Koniec świata. Powiadasz, Dolcio i lokajczuki?

— Cała kupa, ze trzydziestu.

— W piętkę gonicie wszyscy. Skąd trzydziestu?

— Mało to u nas parobków, i szlachty zagrodowej?

— Coś mi tu asani szklisz!

— To niech pan szambelan sam zajrzy do stajni, jeżeli nie wierzy. Ani jednego cugowego konia. Jest tylko stary Rak woziwoda. Z fuzyami, z szablickami, co kto miał, na konia i hajda.

— Powaryowali! Rozpędzę wszystkich!

— Żeby to pan szambelan wnuczka zobaczył! Pułkownikuje im wszystkim, oczu ode-rwać nie można! Wyjeżdżali przy kagańcach, coś po północy.

— Koniec świata... Antoni! Tuś mi, stary niedołęgo! W piwnicy siedzisz! Palkę zale-wasz?

— Za zdrowie pana jenerała!

— Pana jenerała! Powaryowali z waszym panem jenerałem! Szlachetka! Pan majster od czeladników warszawskich! Pan jeneral! Pra-dziad jego jeszcze był Hryćko i trzema palcami się żegnał. Gadał mi zaraz. Kto panicza na-mawiał?

— Sam poszedł.

— Łiesz!

Nie zważając na gniew szambelana, stary kamerdyner podszedł do kominka, sięgnął do lampy nocnej, knot z oliwy otrząsnął, zapalił stoczek, wziął lichtarz trójramienny.

— Skaranie boskie — pienie się szambe-lan. — Moczygęby, łajdaki! Korzystacie, że młodszego pana poniosło na jakieś konszachty. Wstydu nie macie, bodajby was pokurczyło. A Bierzańska czego tu sterczy? Marsz do gar-deroby. Kawa gotowa? Gdzie moja kawa, bał-wanie, powśinogo, opoju jeden, nom d'un chien!

— A, co mi tam pan zawracać będzie!

Strzelanina wokoło, że aż szyby dzwonią, pan głuchy, to nie słyszy.

— Kto głuchy? Ja? Dziadziśko jedne, on śmie gadać, że ja głuchy. Słyszałem, że coś puka, myślałem, że Kalasanty pieprz tłucze w kuchni.

— Kalasanty poszedł na wojnę.

— Z fartuchem i w białej czapce? Coś wam źle w głowie wszystkim.

— Źle w głowie? To niech pan szambelan zobaczy jak Moskale zmykają, aż się kurzy!

— Co ty pleciesz, stary? Kurzy się? Błoto po kolana.

— Z koni się kurzy! A proszę mnie nie przeszkadzać. Chce pan co wiedzieć, czy nie? Bo ja mogę milczeć.

— Gadaj już, gadaj, byle prędko.

— Byle prędko. A kto pana Andrzeja tak zanudził przedwczoraj, że przy warcabach zasnął?

— Gadalbyś raz!

— Dwernicki pułk Kargopolski rozbił pod Poryckiem!

— Co ty gadasz? Przyśniło ci się?

— Chwała Bogu wiem co gadam, proszę pana. Kargopolski pułk dragonów. Pułkownik ich Głazanow porąbany, może i zabity...

— Głazenapp, nie Głazanow. Ten sławny pułk, powiadasz, co to w wojnie Tureckiej?

— A ten sam!

— Bajki. Dwernicki i te jego młokosy? Dwa szwadrony wiarusów na całą dywizję!

— Bodajbym tak zdrów był! Dalibóg prawda.

— A jednak ja to między bajki włożę.

— Niech pan sobie wkłada. Ale ja panu mówię — jak tu pan generał Dwernicki przyjdzie, do nóg mu padnę, żeby mię zabrał ze sobą!

— Markietanką będziesz? Czepiec na głowę?

— Że też panu nie wstyd takie rzeczy gadać. Tutaj człowiekowi serce się raduje, a panu drwinki w głowie.

— Pomyślałbyś o kawie.

— Zdaje się panu, że jest kto w kredensie? Konie pozabierali ze stajni i z paniczem Dolciem poszli. O, słyszy pan? Strzelanina, jak mi Bóg miły, strzelanina na Łuckim trakcie.

Szambelan zerwał się z łóżka i pobiegł do okna.

— A dajże pan spokój — zaperzył się stary sługa. — Boso, jak jaki młodziak do okienka. Pantofle wziąć proszę. I szlafrok.

— Szedłbyś do dyabła ze szlafrokiem, opędzać się zaczął szambelan. Więc to prawda, że Dolcio z lokajczukami uciekł? Samotrzeć, he?

— Nie mówiła panu szambelanowi Bieżańska, że ze trzydziestu nazbierał?

— Toś ty podsłuchiwał, obwiesiu jeden?

— Czułem ja pismo nosem, — prawil dalej Antoni — przedwczoraj jeszcze: łazili obaj z Jakóbkim po kancelaryi młodszego pana i szczekali cyngłami. Udawałem, że nie słyszę.

— Takiś dobry jak oni. Nieszczęście, insurrekcyja w głowie. Dzieciństwo.

— Chwalić Pana Boga — odburknął kamerdynier. — A pan myśli — czego oni u pana kapitana w Boruchowie siedzieli? Z małym Wicusiem zaprowadzili przyjaźń? Czy Mikołajkowi koszulę w zębach pomagali nosić? Dya-bła tam. Pan Andrzej ich trzydziestu zebrał i musztrował na folwarku w tej okrągłej szopie na wozy, co to ją popodpierał na wszystkie strony.

— Łby przewrócone!

— Ja sam pół dnia siedziałem na strychu, i na przeszpiegi chodziłem po wygonie, ku Poddebcom, jak te Kargopolce laziły po okolicy. Posyłał mnie wtedy młodszy pan z listem do pani Andrzejowej.

— Powaryowaliście z kretešem. A cóż na to pani Andrzejowa?

— Złości się.

— Gadanie.

— Niech pan samego pana kapitana spyta. Stali obaj przy oknie. Szambelan wygolony, chudy, ogromnego wzrostu, barczysty, w czer-

wonej szlafmocy, z pod której wymykały się kosmyki siwych włosów — i Pausza, kamerdyner, ex-wachmistrz kościuszkowski, tęgi, przysadkowaty chłop z czerwoną kresą przez łeb i sumiastymi, szpakowatymi wąsami.

Był szary świt.

Mgły trochę w mokrem powietrzu, miejscami smuga szronu na żółkłej murawie gazonu i zgarniętych liściach jesiennych. Pusto jeszcze było i zimowo w ogrodzie. Róże podołowane, okryte liśćmi i ziemią. Jakieś krzewy starannie owinięte słomą. Nikogo, żywego ducha. Mgła słała się w błękitnawem ciężkiem powietrzu. Grupy drzew, rozrzucone dookoła dworu wychylały się z mgieł czarne i zimne.

Przez poplątane gałęzie różowa luna świtu przezierала pogodna, łaskawa i świeża.

— Świat się kończy — mruczał szambelan. — Dolcio, ten pędziwiatr, ten niuńka, jeszcze mu mleko nie obeschło pod nosem, i już własnym oddziałem chce mu się dowodzić. Lokajczuki i prowentowi pisarze. Ładna kompania. No, niechże się pokaże. W skórę, jak mi Bóg miły, dwadzieścia pięć, na kobiercu. Pan komendant! Pewno dubeltówkę młodszego pana zabrał.

— Ani jednej nie zostało w kancelaryi.

— Co ty gadasz? To i szpady mojej też pe-

wnie niema? Sacré gosse! Też ściągnął urwis jeden.

— A zdaje się, proszę pana.

— Aj, aj — schwycił się za głowę szambelan. — Wrócić, chłopiec wróci, zapłaci się parę setek sprawnikowi i basta, ale szpadę moją dyabli wezmą. I ty dałeś, niedołęgo jeden! Przecież dostałem ją od nieboszczyka króla Stanisława Augusta! Taka szpada, taka szpada... Sam król Ludwik XVI mi jej zazdrościł. Jaka stal — a głównia? Popamięta twój Dolcio!

— Niechno pan szambelan lepiej parę pistoletów pod szlafrok weźmie. Strzelanina coraz bliżej.

— Tyś na dobre chyba zwaryował, Antoni? Ja mam się mieszać do tej ruchawki? Może do tego zbiegowiska należeć? Iść pod rozkazy waszego pana generała? A niedoczekanie.

— Pistolety pistoletami. Niechno pan weźmie.

— Pordzewiałe, niepoczyszczone.

— Prochu podsypałem wczoraj.

— Co się w tym domu dzieje, co się dzieje! Opętało was wszystkich. Wincenty na jakies zjazdy obywatelskie po błocie się wlecze, chwalał Boga, że choć żonę z synkiem do Lwowa wyprowadził. Andrzejowi musztra w głowie, Dolcio udaje Dąbrowskiego, Stecki narwany, kręci się jak mucha w ukropie, Olizar czegoś jeździ,

Staś Uruski tajemniczy, zapomina o starszym krewnym. Kaszy nawarzą i tylko.

Dreptali obaj przez pokój stołowy do wielkiej sali, spojrzeć co się na dziedzińcu dzieje. Szambelan, przechodząc koło swego portretu, pendzla Bacciarellego, westchnął z przyzwyczajenia, okiem ku swojej osobie rzuciwszy, chociaż ciemno jeszcze było we dworze, i nie widać było ani liliowego fraka, szytego złotem, ani białej peruki, ani wstęgi św. Grzegorza na piersiach.

Podeszli do okna. Wojskowy jakiś w burce otwierał bramę wjazdową. Odźwiernego nie było. Przez otwarte wrota wjechało kilkunaśtu konnych.

— Ułani polscy! — krzyknął stary Pausza.

— Istny najazd, — mruknął szambelan. — Ruszaj do drzwi. Jeżeli ktoś ze starszyny, proś do salonu.

Szambelan pistolety schował do gablotki, szlafrokiem się otulił, i czekał. Zdało mu się, że słyszy znajome głosy. Odwrócił się niechętnie do okna, udając, że patrzy na konie, odprowadzane do stajni.

Kilku mężczyzn szło rozmawiając i dzwoniąc ostrogami przez sień, i zatrzymało się przy drzwiach.

— Tędy panie majorze — słysząc było głos Antoniego, — Pan szambelan czeka.

Oficerowie weszli do salonu. Starzec odwrócił się i skrutatorskiem spojrzeniem obrzucał przybyłych. Było kilku nieznajomych. Za nimi szedł Andrzej Korwin Piotrowski w mundurze kapitana 2 pułku ułanów.

— Stryj pozwoli — powiedział kapitan. — Pan major Wierzchlejski. Pan porucznik Ligocki. Pan kapitan Umieniecki.

— Charmé, Messieurs, — kwaśno odezwał się szambelan. — Désolé que jestem, że w takiej toalecie.

— Ależ panie szambelanie — przerwał major Wierzchlejski — taka ranna godzina. Prosimy wybaczyć najście nasze. A la guerre comme à la guerre.

— André, prosz panów siadać. Jesteś tu gospodarzem, skoro Wincenty wojażuje. Przedsiębiorą états généraux ziemi Wołyńskiej. Entreprzyza cudacka i beznadziejnie smutna.

— Nie tak źle, panie szambelanie.

— Stryj pozwoli...

— André, je suis mécontent de votre conduite. Żonaty jesteś, a bawisz się w wojenkę, jakbyś był kadetem w Łazienkach. Młokosom w głowach przewracasz. Dolcio, ce gamin de Dolcio całą zbrojownię do góry nogami przewrócił, ekonomczuków kiwireckich pod komendę wziął, chłopców kredensowych zbun-

tował, konie cugowe uprowadził ze stajni. C'est trop fort.

— Pan szambelan pozwoli — odezwał się major, trochę skrzywiony. — Brataniec jego przyszedł dziś razem z nami. Dzielnie się sprawił. Notuję to w raporcie i sam się do pana generała Dwernickiego wstawię o stopień podoficerski dla niego.

— Trop d'honneur, panowie. Ginwił Korwin Piotrowski podoficerem.

— Stryj słyszał, że Dolcio jest w domu — zwrócił się Andrzej do szambelana.

— Słyszałem, słyszałem. Cóż, czy mam mu udzielić błogosławieństwa? Me faut-il admirować nową gwiazdę rodu, co splendoru nazwisku przysporzy?

— Prosiłbym stryja o niezapominanie, że chłopak ma osiemnaście lat.

— Ne le découragez pas, czy zrozumiałem? A ja wam powtarzam: głupstwo, głupstwo. Księżę Józef nie żyje. Księżę minister wojownik lichy, i do miecza się nie bierze, jak dotąd. Enfin, to nie do mnie należy. C'est votre affaire. Je suis trop vieux.

— Dolciu, — zawołał kapitan. — Dolciu!

— Zaraz, szpadę schowam, — odezwał się głos Rudolfa.

— Oddawaj szpadę, błaznie jeden! — krzyknął szambelan. Sam tu ze szpadą!

Wszedł chłopak szczupły, rosły, w kurtce brązowej, krojem ułańskim szytej. Szpada oddał ukłon wojskowy obecnym. Wziął szpadę za ostrze, i podał szambelanowi.

— C'est dégoutant! — zawołał szambelan. — Krew. Ou est mon mouchoir? Antoni, ciepłej wody do rąk, prędko.

Starzec podniósł się z wygodnej berżerki i zgarbiony, ogromny, dreptał do swego apartamentu.

W bocznych drzwiach stali dwaj młodzi ludzie w kurtkach niemundurowych, bez szabli.

— Pan major pozwoli — zwrócił się Rudolf, przejęty swoją rolą, do Wierzchleyskiego. — Koledzy z mego oddziału. Spotkaliśmy się na luckim trakcie. Pan Napoleon Kamieniecki. Pan Mieczysław Łażyński. Szli obaj ze Starokonstantynowskiego lasami do korpusu pana generała Dwernickiego.

— Przybył do was Chrościkowski? — zapytał major?

— Nie słyszeliśmy o takim.

— Emisaryusz nasz, wyprawiony z Zamościa.

— Wspominał coś o emisaryuszu pan Belina Prażmowski, ale ten tyle opowiada...

— Co takiego?

— Że jeździ, gada, i kręci.

— Hm, to podobne do prawdy. Jest w tamtych stronach, ale nie wiecie czy Chrościkowski?

— Był, nazwiska nam nie powiedziano, ale odtąd jak w wodę wpadł.

— Napewno ten sam. Nazwiska panów — Łażyński i Kamieniecki?

— Tak, panie majorze.

— Krewny generała Kamienieckiego?

— Wnuk generała.

— Uciekliście z domu?

— Ojcowie radzili doczekać się powstania na Podolu. U nas liczą na 15.000 koni.

— Przesada.

— Słyszałem, jak ojciec mówił z panem marszałkiem Jełowickim. Potem przyszedł jakiś chłop, ojciec się z nim zamknął.

Stary nasz ekonom przysięgał, że to pan Wincenty Tyszkiewicz w przebraniu. Zapytałem ojca. Uśmiechnął się, ale nie zaprzeczył. Mówił potem do matki o piętnastu tysiącach. U nas pod lamusem zakopana broń. Wszyscy się gotują, i tylko czekają aż przyjdzie na Podole pan generał Dwernicki. Dwa miesiące...

— Słucham.

— Dwa miesiące temu mieliśmy z kuzynem moim Łażyńskim jechać do Krzemieńca.

Ale jakoś nie szło. Pojechaliśmy wtedy z ojcem do Sawrania, wybierać konie ze stadniny Emira Rzewuskiego.

— Ten pójdzie, czy nie?

— Ojciec mój mówi, że w nim zbyt wiele animuszu i fantazyi, by mógł nie pójść z nami. Dziwny człowiek. Przyjmował nas w takim niepolskim dworze, pełnym kobierców i namiotów w pokojach. Sam chodzi w purpurowej todze, nosi złotą brodę trefioną i jatagan za pasem. Broń ma cudowną, a konie jeszcze piękniejsze.

— Syn smutnej pamięci ojca. Ale, macie wy tu jaką broń jeszcze? Dubeltówki odnieść z powrotem do dworu. Mamy dość karabinów zdobycznych. Znacie rosyjską broń? No, przynieść tu parę, to wam objaśnię.

Stanęli wszyscy trzej przed majorem, w szeregu, w większym salonie Kiwireckiego dworu.

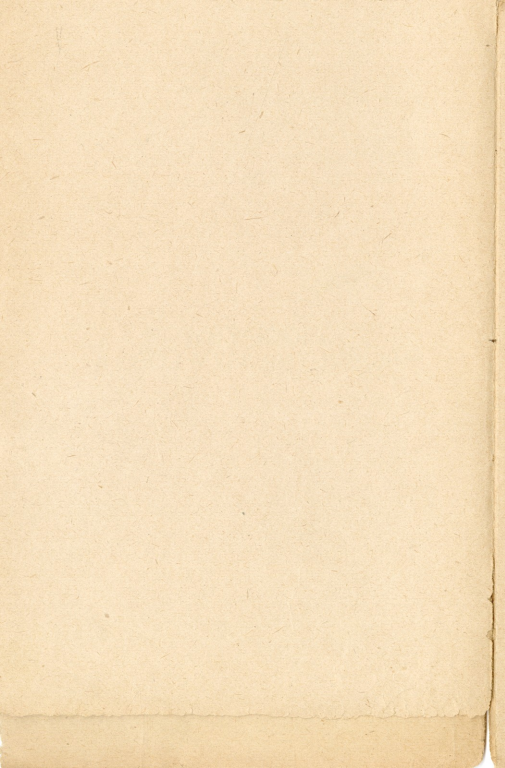
— Opatrzeć skałki, — komenderował major Wierzchleyski. — Lasztokiem raz, dwa, ostro, ale nie za mocno. Zerknąć na podsypkę. Celuj — baczność — pal!

Z obu stron salonu otworzyły się drzwi, jednocześnie prawie. Stary Antoni, wachmistrz kościuszkowski, łyż rękawem ocierał. Z drugiej strony salonu, w berlaczach, szlafmycy

czerwonej i futrzanym szlafroku, stał szambelan z fajką ogromną w ręku.

Kłęb dymu puścił, zawrócił na pięcie, trochę arogancko spojrzął na porucznika Kazimierza Ligockiego, drzwiami trzasnął i poszedł do siebie.

CHOCIAŻBY
NAJSMUTNIEJSZY LOS...



XXX.

Kapitan Andrzej Korwin Piotrowski ze stryjem się dość kwaśno pożegnał, skoczył konno na chwilę do Boruchowa do domu, dzieci pobłogosławił, i dopędził Wierzchleyskiego, z oddziałkiem Rudolfa kroczącego na spotkanie korpusu. Po kilku godzinach marszu, wyjechali boczną drożyną leśną na wielki trakt pocztowy.

Świeciło jasne, wiosenne słońce. Jeziorka wody na drodze błyszczały srebrem. Młoda, zielona trawka przeglądała przez liście zeszłoroczne i mchy.

Gdzieś dalej kończyły się stare lasy sosnowe, i zaczynały się czarnołeśne poręby. Takie niebieskie niebo jaśniało wszędzie, chyląc się aż nad czarne, nagie gałęzie samotnych drzew, sterczących miejscami nad rudo-szarem podszyciem leśnej poręby.

Drogą równą, jak strzelił, szeroką, od strony Porycka szło wojsko. Widać już było sze-

reg przedniej straży, i niezliczone chorągiewki ułańskie.

Trębacze grali pieśń — n a s z S k r z y n e c k i m ęż n y — i echo szło lasami, powracało, spotykało się z nową falą melodyi. Kapitan Piotrowski stał, zapatrzony w to upragnione od tak dawna zjawisko. Łan barwnych chorągiewek zbliżał się wciąż. Kolory te były czemś słonecznem, radosnem, jak pierwsze kwiaty wiosenne.

Wprawne oko kapitana odróżniało już pulki. Naprzód bułane i kasztanowate konie, i żółte chorągiewki — pułk trzeci strzelców konnych — szwadron czwarty, bo konie niedobre. Sieradzka gwardya pewno, wiarusy. Dalej białe szafirowe chorągiewki ułańskie — pułk drugi. Mieszają się kolory — widać już i amarant, i niebieskie plamy. Długi wąż wojska sunie się szerokim traktem pocztowym. Coraz bliżej, bliżej. Podchodzą pierwsze szeregi...

Kapitan dostrzega już sywetkę generała...

— Prezentuj broń — komenderuje oddziałkowi Rudolfa. Spogląda ku nim — chłopcy wyciągnięci jak struny — niektórzy jeszcze siedzą na koniach nie po żołniersku, ale błyszczą im sprawnie w łapach szabli.

— Z podjazdu na Dawidów i Horochów — melduje major Wierzchlejski. — Przyprowa-

dzam oddziałek ochotniczy, formowany przez pana kapitana Piotrowskiego.

— Jak się masz, Jędrek — wita go serdecznie Dwernicki. — Kopę lat. Nie waż mi się zlażyć z konia, podjedź blisko, ot, tak, nachyl się i daj gęby. Witaj się z kolegami — księdza Pułaskiego znasz? No, a teraz w las. Wierzchlejski, proszę objąć komendę. Trąb zsiadanego. Popasamy!

Dwernicki konia dotknął ostrogą, munsztukiem poderwał — od czego żadna siła go oduczyć nie mogła — i lekkiego galopa, wyminął straż przednią. Piotrowski za nim. Skręcili w bok, leśną drożyną, i znikli w leszczynowych zaroślach.

— Najpierw de publicis, panie Andrzeju. Cóż tam wasza szlagonerya? Śpi? He?

— O związku Kosynierów i pracy Narcyza Olizara mówił panu jenerałowi pułkownik Błędowski.

— Owszem. Wiesz, odznaczył się pod Grochowem, a później, w małej potyczce, nogę mu oberwało kulą działową. Żyje, lecz się ponoć.

— Szkoda człowieka. Lepiejby został tu. Głowę ma na karku. Tutaj położenie rozpaczliwe, panie jenerale.

— Czyż tak bardzo źle, powiadasz? A Chrościkowski?

— Chyba nie było większego tchórza i niedołęgi.

— Tchórza? Paskudną gębę po świecie nosi, to prawda, aż patrzeć przykro. Ale na tchórza mi nie wyglądał.

— Chowa się po alkierzach, nic nie zrobił, dosłownie nic, kaszy nawarzył, groźne wieści puszcza, gdybym mógł, kazałbym go rozstrzelać.

— Krewki Litwin!

— Bo czyż to nie zbrodnia, panie jenerale— być emisaryuszem i tamować rozwój powstania, dezorganizować komunikacye i zniechęcać ludzi?

— Gdzież on jest?

— Szukaj wiatra w polu.

— Otóż i porządki warszawskie, — mruknął Dwernicki. — Powierzają ważne funkcyę jakimś Chrościkowskim. A konie pod artylerję? Przygotowane?

— Nie otrzymałem rozkazu. Dopiero wczoraj mówił mi major Wierzchlejski. Co mogłem, wysłałem do Drużkopola. Sam miałem niewiele, brat stryjeczny Wincenty dalby chętnie, ale mu nasz najmłodszy figla urządził.

— Co takiego? Gadajże.

— Widział pan jenerał ten oddziałek, z którym przyszliśmy teraz? Konie Wincentego. Szlachta zagrodowa przeważnie.

— To ten, co przestrzegał Kargopolskich

dragonów koło Dawidowa? Było o nim w raporcie. Tęgo się spisał. Był w jakiej szkole wojskowej?

— Ja ich trochę ćwiczyłem.

— Widać. Ale cóż tam szlagonerya?

— Ksawery Godebski podjął się zorganizować Polesie. W Krzemieńcu pracuje Jakób Malinowski, jeżeli nie wyjechał jeszcze do Tyżkiewiczów na Ukrainę. Dopuścili starego marszałka Bobra do sekretu. Szkoda. Ten na dwóch stołkach siedzi.

— Pocóż go wtajemniczyli?

— Byłby wpadł na ślad i rozgadał.

— Tyszkiewicz który był?

— Wincenty jechał ale go zatrzymali w Humanu. Musiał wrócić na wieś.

— Z Podola są jakie wieści?

— Że się młodzież zorganizowała w Towarzystwo Wolnych Synów Podola, to pan generał wie?

— Słyszałem. Jakie szczegóły?

— Przysięga na imię braci Podchorążych i Akademików warszawskich. Zobowiązują się walczyć bądź tu, bądź w Królestwie. Każdy ma konia i szablę.

— W związku z Radą główną?

— Z Juntą¹⁾, chciał pan generał powiedzieć.

¹⁾ Wym. Chunfu, hiszp.

— Tak. Sulatycki, Tyszkiewicz — wiesz?

— Weszli w związek najściślejszy, a właściwie poddali się pod rozkazy Junty. Jest ich około trzystu, w samym Kamieńcu prawie stu naliczyć można. Myślą o zawładnięciu miastem. Wszystko, zarówno tu, jak i na Podolu, czeka na pana generała.

— Cóż tu? Michał Czacki?

— Tak. Prażmowski bruździł, twierdząc, że pan generał wchodzi z drobną siłą.

— Pytanie, czy nie ma racyi.

— Nie sędzę. Rydygier się przeraził, cofnął się pod Dubno, policya zaczęła myszkować i chwycać podejrzanych. Miesiąc temu byłoby inaczej. Cóż, kiedy Chróścikowski...

— Przekleństwo z tym niedolegą.

— Worcell dobrze przygotował powiat Kowelski. Wszystko szło ostro. Książę Eustachy Sanguszko byłby nasz, cóż, kiedy nie przycisnęliśmy go dostatecznie, a już się zgodził. Przyjął nawet dowództwo.

— Czyż możliwe?

— No, i nic z tego. Hermanowi Potockiemu ze łzami dziękował, że plamę z 1813 roku zmyć może. O zjeździe w Czerniawce, u Krasickiego wie pan generał?

— Na Ukrainie? Nie wiem.

— Otóż, złożono władzę w ręce Wincentego Tyszkiewicza. Pięknie brzmi rota jego przy-

siegi: urządzić i poruszyć powstanie, chociażby najsmutniejszy los spotkał broń narodową w Królestwie. Natomiast obywatele zobowiązali się do posłuszeństwa wybranemu przez się naczelnikowi, bez względu w jakich okolicznościach da rozkaz podniesienia broni. Wzajemnie przysiągł naczelnik, żadnemi nie zrażając się przeszkodami, uorganizować i do boju powołać ziemian Ukrainy. Wolność dla włościan, podatek dobrowolny, 10 złp. od »duszy skazkowej«¹⁾ placą właściciele, których kosztem całe powstanie prowadzone być musi, włącznie z umundurowaniem, bronią i t. d.

— A wiesz, kapitanie, co powiedział Chłopicki?

— Dla Podola i Wołynia ani jednej skałki dać nie myślę — siedzcie cicho?

— Tak.

— Napsuło to nam dosyć krwi. Pociesza liście się robotą Wereszczyńskiego w Galicyi i jego przyszłą Legią Podolską.

— Idzie to, idzie, ale nieświeźnie.

— Reasumując się, panie jenerale — nad

¹⁾ Od głowy pańszczyźnianego robotnika.

granicą, to jest tam, gdzie sięgnął wpływ Chróścikowskiego, robota stanęła.

— Jak formujesz kapitan obwinienie?

— Zaniebdał wszystko, mając władzę, i wiedząc, że na niego są zwrócone oczy. Naznaczał różne terminy, i w ostatniej chwili odwlekał, a nawet odradzał, wskazując fałszywe niebezpieczeństwo.

Co zaś do dalszych powiatów — wszystko dobrze idzie, zwłaszcza na Polesiu, gdzie podobno świetnie sobie radzi major Różycki. No, i Podole z Ukrainą liczy na 12.000 koni.

Wszyscy czekają na wieść o pochodzie korpusu pana jenerała, i wszyscy o niczem nie wiedzą, bo nie zawiadomił nikogo w porę Chróścikowski, u którego koncentrowało się wszystko. Teraz, jak piorun poszła odezwa pana jenerała. Teraz albo nigdy, powtarzamy sobie. Cóż, kiedy niestety trochę zapóźno.

— Pan Michał Czacki powiadasz najenergiczniejszy?

— Tak, on jeden przygotował się dostatecznie. Dziś będzie w Drużkopolu — choć na niego oko mają oddawna Moskale. A reszta — radzą, gardlują, sejmiki odprawują, ale nie mają zrozumienia rzeczy, i nie starają się na własną rękę o łączność z Królestwem.

Dywizya Rydygiera stoi między Krzemieńcem a Boremlem, na prawym brzegu Styru. Po-

zwolę sobie zauważyć, że to najlepszy teren strategiczny dla nas, miasteczko i pałac Czackich.

— Czekaj, mam tu mapę przy sobie.

Jenerał poprawił się na siodle, aż koń pod nim stęknął, i oparł mapę o kulę kulbaki.

— Tak, — mówił Dwernicki. — Rydygier debuszuje tędy, przez błota — tu nasza artylerya, przed pałacem, wali przez Styr, prosto na grobelkę. Zająć miasteczko — dwa bataliony wystarczy. Tyralierów rozrzucić w parku, w zaroślach. Rzeka szeroka na strzał — jeżeliby który moczarami się przedarł, dalej nie pójdzie. Pułki szaserskie od Hrynik, na górach, w lasku, i za wsią. Ułanów ku Beresteczku. Ale, jaka przeprawa na Hryniki?

— Trudna, ale przejść można.

— Obrona?

— Pół korpusu conajmniej.

— Rozbijać niepodobna.

— Ja też tak sądzę.

— To wzgórze, na północ od Boremla, w ręku Rydygiera?

— Cały prawy brzeg Styru zajęty. Mówili ludzie pana Czackiego.

— Na ile liczysz Moskali?

— Dwanaście do dwudziestu czterech tysięcy.

— Bardzo się rozciągnął?

— Sądzę, że nie. Boi się. Kargopolskie dragony strachu im napędziły.

— Powstanie w jakiej sile?

— Mogłoby być parę tysięcy. Trzystu pewnych, i to o ile Stecki z Włodzimierskiego zdąży.

— To źle. Taka u was szlachta?

— Większa własność — ludzie starzy, niechętni, tego typu co stryj szambelan i Konstanty Stryjeński.

— Ten, z Horochowa, brat biskupa.

— Ten sam.

— To źle. Wszyscy tacy?

— Trzy czwarte. Albo niezdecydowani, jak mój stryjeczny Wincenty.

— Co szambelan mówi?

— Wymyśla na Dąbrowskiego, Bonapartych, nas Napoleończyków przeklina, cały Rząd Narodowy ma za nic. Rewolucyjna kanalia, powiada. Żeby księżę Adam koronę wziął wreszcie, toby zamknął usta tym wszystkim mal-kontentom starej daty.

— Ba, gdyby. Księżę Adam rozpacza, a Skrzynecki marudzi. Czartoryski chciał iść na Litwę, zaraz po wybuchu, w grudniu jeszcze — no, i siedzi w Warszawie, podpisuje, co mu te Fabiusze podają. Rozpacz poprostu ogarnia. Posiłków mi nie przysyłają. Taki sam dobry Skrzynecki, jak i Chłopicki. Ani jednej

skąłki dla Legii. Nic nie widzą, nic widzieć nie chcą. Po bitwie pod Stoczkiem, po pierwszym polskim zwycięstwie, trzeba było mój korpus wezwać do Warszawy, wnieść entuzjazm zwycięstwa! No i cóż — traciłem siły, spełniając rozkazy Klickiego, i borykając się z cholera w Zamościu... Gdybym nie wierzył w mego żołnierza, co na trzykroć liczniejsze pułki Gej-smara pod Stoczkiem szedł, jak do tańca, to kruchoby było z samopoczuciem, tego, panie Andrzeju kochany...

— To właśnie nam tutaj oręż z ręki na Wo-
lyniu wytrąca...

— Nieszczęście, stary kolego, nieszczęście. Takie zakute głowy w tej Warszawie. Prądyński jeden coś robi. Kicki za młody także, ale głowę na karku ma. Jak błagał Chłopickiego, wróciwszy z Modlina: na Litwę, za Bug! Nie posłuchały przemądre dyktatory. Biorą się zbawić ojczyznę, nie wierząc w nic i nikogo, i rozmyślając o nieboszczyku Napoleonie. Trudno. A to się mści. Królestwo małe i ciasne. Wielkie źródła narodowej siły biją na Rusi. Żyje idea Jagiellońska, dziś zwłaszcza, gdy Poznańskie i Galicya w ręku niemieckim. Trzeba iść za Bug. Przyszedłem — i niechże nam Bóg błogosławi, choć strasznie słabi jesteśmy, panie Andrzeju...

Dwernicki zasępił się. Siedział ciężko na ko-

niu, otyły, ogromny, przygarbiony. Miał pięćdziesiąt dwa lata, wyglądał na więcej. Mapę złożył, schował. Konia na miejscu skreślił, i jechał stępa z powrotem. Piotrowski za nim, bez słowa, zgnębiony tem spojrzeniem w przyszłość, i słabym blaskiem nadziei...

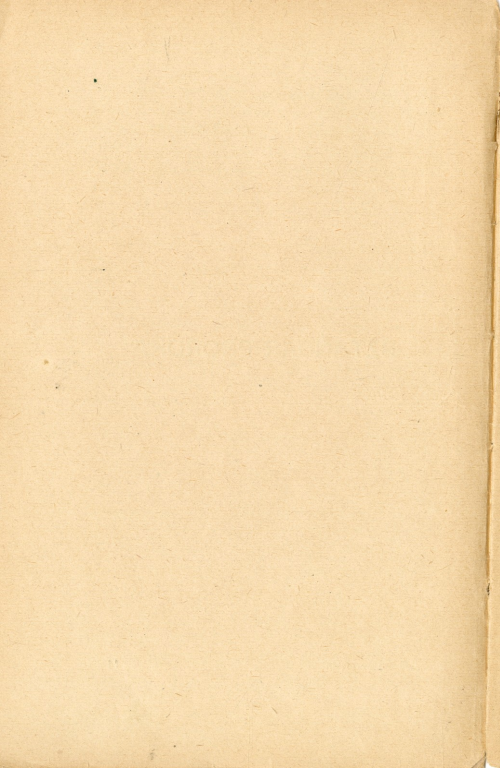
— Wsiadanego — skomenderował Dwer-nicki.

Zagrali trębacze. Chmurzyło się, szaro było i pusto w tym gęstym młodym lesie bezlistnym, gdzie czarne pnie starodrzewiu sterczały samotne, nad powikłaną gęstwiną podszycia.

Echo poszło wzdłuż drogi. Trąbki, słowa komendy...

Korpus ruszył się z miejsca, i szedł ku lasom sosnowym, w stronę Drużkopola, Boremla i Krzemieńca.

SZTANDAR PROROKA



XXXI.

W Zamościu jeszcze, Anastazy Dunin przyszedł do Sadowskiego, kiedy ten leżał w szpitalu, rozmawiał o tem i o tamtem, wreszcie uściskał mu rękę serdecznie i miał odejść, pełen zamyślenia i tajonej wewnętrznej radości.

— Co ci jest? Dobra nowina?

— I dobra, i zła. Być może, wielkie szczęście. Jeżeli tak, żałować nie będę, że was opuściłem. Z drugiej strony, przyzwyczałem się iść i zwyciężać z wami. Zastąpże mnie przy generale. Pilnuj, bo się odsłania i naraża niepotrzebnie. Może mu uratujesz życie, jak mnie uratowałeś.

— Wypadkiem.

— A jednak temu wypadkowi zawdzięczam, że jeszcze patrzę w słońce, i że wyruszam dziś w dalekie a słoneczne strony.

— Wyjeżdżasz, doprawdy?

— Rozkaz. Dyskrecya. Słowo oficerskie.

— Dobrej drogi. Wracaj zdrów. I jak najprędzej.

— Nie życz mi, bym rychło wracał. Życz mi długiej, a pomyślnej podróży. Bądź zdrow. Jaskółki lecą za morze. Nie wracają w pole drogi.

Minęło od tego czasu kilka tygodni. Rozpoczął się pochód zwycięski ZA BUG. Szły pułki polskie, wbijały się coraz głębiej w lasy wołyńskie, przechodziły wezbrane rzeki. Z pod zeschłych liści jesiennych, z pod warstw topniejącego śniegu, gdzieś, w cieniu, u stóp pni rozrósniętych i tęgich, wyzierały pierwsze kwiaty wiosenne. Szły w las patrole. Miejscami, na zeschłych liściach sączyła się żywa krew. Wiosna i wojna, życie wiatrów wiosennych, i ten rozpęd ogromny, trzepot skrzydeł posłannictwa i Sprawy Ojczystej.

Gdzieś koło Drużkopola, w nocy, gdy tylko nawoływanie wart mąciło ciszę powszechną, uchyliły się drzwi chaty chłopskiej, gdzie nocował Sadowski, i wszedł adjutant Dunin.

— Dopędzileś nas?

— Jechałem prosto ze Lwowa w te strony.

— Byłeś w Galicyi? Udało ci się wszystko.

W Galicyi byłem, ale nic zrobić nie mogłem.

— Strapiony jesteś.

— Bo i jest czem.

Dunin się rozebrał powoli, klęknął na chwilę, zmówił krótką modlitwę, i usiadł na tapczanie, obok Sadowskiego.

W chacie było dość jasno. Palily się kłody drzewa w kominie, dogasającym, błękitnawym płomieniem. Dopalał się żar. Lekkie cienie popiołu narastały na czerwonych węglach.

— Widzisz, — mówił Dunin, — w życiu naszym wielką rolę gra sen. Długie lata po Napoleonie śniły się nam te czasy. Odżywała krew pobożowisk. Wszystko to żyło, co się już zdawało umarłem. Krystalizowało, potężniało, rosło. Musiało wejść w życie. Myślisz, że noc Podchorążych nie była także snem? Tylko widzisz, jakby to powiedzieć? Sen się przelał przez brzegi, zamała była czara ducha ludzkiego. To też w czynie podchorążych wielką rolę grał sen, a małą stosunkowo stroną jego była rzeczywistość. Liczono się z nią w pewnej mierze, ale tylko w części, starając się sen urzeczywistnić. Dlatego też wszystko to ma pozory legendy, dlatego obracało się w tej właśnie sferze pół-marzenia, pół widma, a w ostatnim rzędzie dopiero, około osi rzeczywistych wydarzeń. Mały stosunkowo rezultat wielkiego zamierzenia, wypuszczenie wielkiego księcia, takie a nie inne rozwiązanie trudnej sprawy wojska moskiewskiego, oddanie im broni — wszystko to są skutki owego snu, który nas wszystkich objął tej pamiętnej nocy. A czy ty myślisz, że sen ów nie trwa po dziś dzień? Je-

żeś masz wątpliwość, pomów z Piotrem Wysockim i popatrz mu w oczy...

Widzisz, wszystko to cośmy razem przeżyli, wiąże się z nocą listopadową, z tym przedziwnym, szalonym snem. Wojna? Ale wojna się wypowiada na zimno. Dlatego widzisz szalone wprost bohaterstwo żołnierza i nieprawdopodobne, nie do uwierzenia niedołęstwo rządu. Dlatego cały los wojny wisi dzisiaj na włosku: co przeważy: szal bohaterstwa, czy wroga siła niemocy, w rządzie narodowym leżąca, w braku organizacyi, posłuszeństwa, tegiej głowy wreszcie...

Wiesz, zdaje mi się, że to jest jakiś magnetyzm, jakiś czar, rzucony na nas, jakieś złe czy dobre uroki wreszcie. My, żołnierze, poddajemy się temu; w Warszawie, w rządzie, siedzą zimne i bez końca w sobie podufale osoby. Bodaj i na nich kto mógł urok rzucić! Bodaj i oni weszli w ten świat szczęścia i snu, w którym my żyjemy! Możeby wtedy skutecznie, na całej linii przeważył sen. A sen — znaczy dziś czyn wojenny, sen o zwycięstwie...

Rozstaliśmy się parę tygodni temu. Nosiłem wtedy wielką radość w duszy, którą spostrzegłeś. Otwierały się przedemną jeszcze jedne, zamknięte dotąd na sto spustów, tajemne wrota. Pamiętasz, jakeśmy mówili kiedyś o Wschodzie, o Stambule, o krajach Padysza-

cha, o dawnych dziejach... Ja byłem tym posłem polskim, który wioził rozkazy do Lwowa, i listy do jego Sultańskiej Mości. Stanąć miałem przed tronem Padyszacha, pokłonić się sztandarowi Proroka — i przez usta moje przemówić miała Polska: Myśmy już ujeli za oręż. My idziemy na Ruś — spotkać wojska Waszej Mości Sultańskiej. Sprawa nasza wielka i święta. Wierzymy w pomoc waszą i przychyłność.

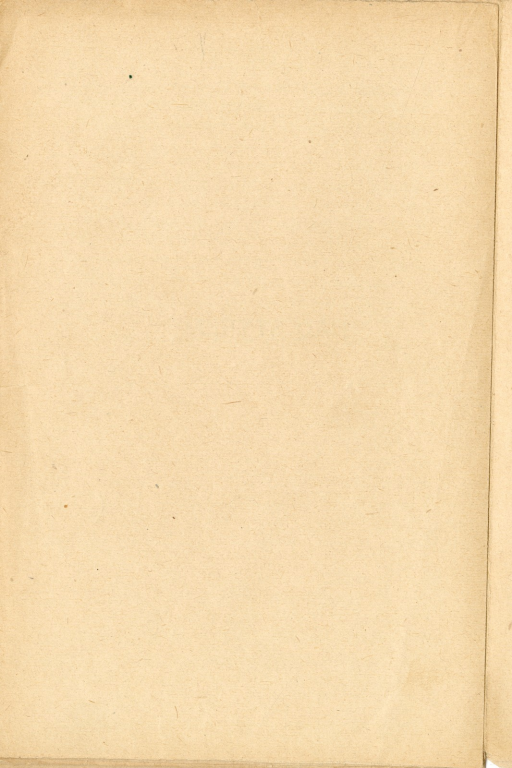
Marzyło mi się to polskie pierwsze po długich latach poselstwo. Wspominałem, jak jeździli do Carogrodu wspaniałości pełni senatorowie, jak przemawiał ongi do potomka Mahometa Jan Gniński. Myślałem, że pokory pełną będzie ta służba moja dzisiejsza — ale że wielka i święta prawda zabłyszczyci mi nad głową, jakby znamię świętości. Znów taki jasny, słoneczny sen. Jeszcze jeden z tych snów, które wyrosły z zasiewu Nocy Listopadowej, na glebie krwią pokoleń zlanej, pełnej poszumów i wspomnień niedawnej świetności.

A że mię widzisz dzisiaj przed sobą, znaczy to, że ów ostatni sen prysnął, i że nie usłyszysz nikt głosu mego gdzieś nad morzem dalekiem, u Złotego Rogu. A dlaczego? Oto we Lwowie nie dano mi potrzebnych pieniędzy. Jechać do Konstantynopola nie mogłem. Wracam więc do was coprędzej. Tyleśmy szczęścia przeżyli, tyle zwycięstw odnieśli. Jeżeli jest gdzie gwia-

zda szczęśliwa — to z wami. To też wracam tu do was, uściskać jenerała, Wysockiego, ciebie, Wierzchleyskiego, i stanąć razem z wami w szeregu.

Chwała Bogu, że choć zabawiłem niedługo. Wiem, żeście tylko drobne potyczki mieli. Przyda się wam moja szabla. Kto wie zresztą. Śnił się nam od czasów Napoleońskich rycerski sen. Wszystkie siły zwracały się w tę stronę. Cała wiara, cała moc oczekiwań pragnęła jednego — wojny. To też niezrażony niepowodzeniem w Galicyi, chwytam znów za wojenne rzemiosło. Zanosi się na bitwę z Rydygierem — tem lepiej. Jedna szabla więcej w szeregu...

NAD STYREM



XXXII.

Podwórze pałacowe pełne było koni oficerskich, ordynansów, okolicznej szlachty. Kto mógł, spieszył na ochotnika i czekał u pana Michała Czackiego, w gościnnym Boremlu. Gdzieniedzie widać było w tłumie powstańców szarżę regularnego wojska. Dwernicki z ukontentowaniem na to rojowisko ludzkie spoglądał, widząc zastęp szlachty niezgorszy i starym krojem napoleońskim szyte mundury. Spostrzegł również, że i tu jego oficerkowie już za pan brat są z tą szlachtą okoliczną, która się szumnie i buńczucznie zbiegła, mimo, że źle poszły wici powstańcze i że miast tej setki z czemś winny tu były stanąć tysiące...

Jenerał z konia zeskoczył, i nie zatrzymując się w tym tłumie witających go, salutujących, wymachujących czapkami, po schodach na ganek pałacowy pośpieszył, dłoń pana Michała Czackiego uściskał, i nie czekając na gospodarza, krokiem żołnierza i wodza wszedł w drzwi szeroko rozwarte, stamtąd wprost do wielkiej

• sali błękitnej, by wyjść na taras. Drzwi szklane, weneckie, były jeszcze zaklejone na zimę. Jenerał targnął za klamkę, szarpnął — aż zadzwoniły szyby i kit posypał się wokół — drzwi rozwarł i wyszedł na ów sławny taras Boremelski, o którym i podróżni obcy pisali, i swoi opowiadali szeroko.

W dolinie wił się wezbrany, ciemny, szumiący Styr. Ciemne ściany lasów stały na horyzoncie. Bliżej, łąki rozległe, napół wodą zalane, błyszczące jeziorkami i świeżą zielenią idącej wiosny. Prosto jak strzelił szła droga pocztowa — a na niej, niedaleko dąbrowy, wedeta kozacka.

Jenerał patrzył w przestrzeń, w tę słońcem zalaną równinę, w dal, za której lasami czają się pułki moskiewskie, murem krwi i żelaza dzielące go od powstania Ziem Ruskich.

Patrzył w tę dal, a przyświecało mu słońce jaskrawe, odbijające się w szumiących wodach Styru, w małych jeziorkach wśród łąk — i w srebrnym szytych mundurach, które go otoczyły półkolem. Bez komendy, kapitan Lipski już zataczał działa przed taras, w klomby tureckich bzów. Żołnierze odprzodkowywali armaty, cicho, bez słowa. Oficerowie stali, nieporuszeni, rozumiejąc, że tu waży się bitwa — a może i wielka, decydująca o losach dalszych potrzeba. Stał świetny sztab — pułkownicy,

szeffowie — i ten pierwszy, z Belwederu, Wysocki. Patrzyły w tę jego ściągłą, bolesną twarz dziesiątki oczu chłopięcych. Patrzyły weń siwe, wierne oczy żołnierskie tych, co gdzieś o włos nad Berezyną kości nie złożyli, a teraz na zew wojska polskiego wybiegli. Kto żyw, przeciskał się do ogrodu, pod taras, ku armatom Lipskiego. Jenerał, z marsem srogim na czole, obcinał cygaro, patrząc w przestrzeń, na łąki. Ktoś mu chciał podać ognia, ale się wstrzymał w półruchu...

I wszystkim się dziwnem wydało, że tam, pod wzrokiem jeneralskim, stoi jeszcze ta kozacka wedeta. Kilku oficerów zbiegło z tarasu. Dwernicki spojrzał za nimi, wciąż zmarszczony okrutnie, ale z jakimś ojcowskim pół-uśmiechem na ustach. Już się sypała piechota zbroczami parku, nad rzekę. Oficerowie dopadli koni, skrzyknęli kilku ludzi — za nimi popędziła młodzież powstańcza — i rzucili się wpław, poniżej czarnych słupów spalonego przez wroga mostu. Rzeka była spieniona, rwąca. Przez chwilę walczyli z głębiną — ale wnet już konie chwyciły dna. Wydostali się na błotnisty brzeg, dotarli, zapadając się po brzuchy końskie, do drogi, i popędzili cwałem...

Ale tam, przed nimi, rwała już z kopyta moskiewska wedeta. Posypały się za nią strzały — walił z konia, kto mógł.

— Stój, — skomenderował Sadowski. —
Formuj się! Na miejscu zwrot!

Las był dość daleko — ale widać miał dobre przeczucia porucznik — bo skoro tylko skręcili konie, z lasu wykwitły smugi błękitnego dymu i odległa salwa wstrząsnęła powietrzem.

— Prochu szkoda, — mruknął któryś z żołnierzy. Zrównali się wszyscy, i wracali czwórkami, nad rzekę, dumni, że na nich patrzy z tarasu pan generał Dwernicki.

XXXIII.

Osiemnasty i dziewiętnasty kwietnia! Żywe słońce wiosenne, zapal nieogarniony, pamiętne, póki bije jedno serce polskie na ziemi, krwawe dni pod Boremlem... Bitwa kawaleryi. Szarża za szarżą, impet skrzydlatej jazdy, pierzchające pułki kozackie, dębinka pod Hrynikami, i to zamieszanie w moskiewskich szeregach, kiedy Rydygier kazał walić z dział do swoich, biorąc pęd ich ucieczki za gwałtowność polskiego ułańskiego ataku.

Noc, księżycowa jasna noc wiosenna, kiedy na zajętych z wieczora jeszcze pozycjach stały naprzeciw siebie dwa wrogie wojska, dwa korpusy gotowe do boju, biwakujące pod gołym niebem, w pół-śnie i pół-świadomości gotujące się krwawej rozprawy...

Gdzieżeś jest, w jakiej mgłę zapomnienia, cicha nocy kwietniowa, nad cichym Styrem, błyszczącym, jak rzeka światła i mgły, w sza-

rych brzegach snem ogarniętych łąk... Gdzież jest dawno zerwana struno wspomnień...

Nocy ostatnia, przed zwyciężką bitwą żelaznego korpusu, kiedy przy gasnących ogniskach snuła się jeszcze nie jakiejś wielkiej Iliady, jakiegoś niesłychanego, ogniem wewnętrznych słońc syconego bohaterstwa...

Było to jak sen... Pan kapitan Piotr Wysocki, o ściągłej, wychudłej twarzy, okolonej ciemnym zarostem. Wysocki, ów z Belwederu... I pan pułkownik Rychłowski... I Anastazy Dunin, bohater z pod Stoczka. I pan porucznik Korzeniowski, ranny od moskiewskiego karacza. I pan pułkownik Szeptycki, rycerz z krwi i kości. Puzyna, Lewiński, Trojanowski, Krasnodębski, Piotrowski, Wierzchlejski... Któż zapomnieć zdoła, do śmierci, te męskie, ogniem rzeczy anielskich owiane twarze...

Dymy ogniste gasnących, nawoływanie straży...

W a a r t a p o d b r o Ń ! — woła gdzieś żołnierz na stanowisku: to sam generał lustruje pozycje. Przechodzi krokiem wolnym, zbliża się do żołnierza, i w bladym świetle księżycy widać te jego jasne, przenikliwe oczy... Panie generale Dwernicki... Któżby się pomyśleć ośmielił, że to już po raz ostatni obchodzisz pole bitwy i chwały... Że cię kielich goryczy czeka, mimo zwycięstwa. Że jeszcze dni kilka—

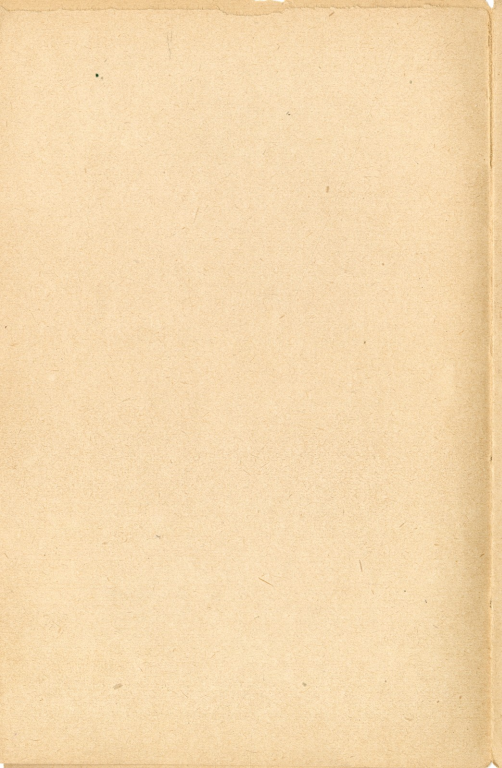
fatalne losów zrzączenie — i nie zostanie ci nic,
jak tylko pustka długich lat na obczyźnie, bez-
czynności i buntu wbrew tej doli tułaczey i nie-
mocnej, po latach męskich — starości...

XXXIV.

Rozbite huzary i dragony... Odsłonięte dwie baterye moskiewskiej artyleryi... Pierwsza szarża zwycięska... Kontratak czerwonych huzarów księcia Oranii... Rwie już naprzód, z kopyta, pan pułkownik Szeptycki... Bateria ośm dział licząca, już w naszym ręku... Pięć dział zdemontowanych celnymi strzałami Puzyny... Koń jenerała pada raniony, obskoczyli go huzarzy... Ale to jedno mgnienie. Jest już szwadron 4 pułku ulanów — błyszczą białe rabaty... Porucznik Baum podaje Dwernickiemu konia... Uśmiecha się jenerał, ale już całą duszą jest w ogniu, w wirze walki... Widzi, że Moskale zbliżają się do mostu. Major Szymanowski! Pół-bateria artyleryi — rozumiesz? Jedno spojrzenie. Znów kilku ordynansów dopada jenerała. Burki mają podziurawione kulami. Tęgie chłopaki. Znów szarża strzelców konnych. Nowe zamieszanie, nowe piekło walczących...

I purpurowe, nad lasy się chylące wieczorne słońce...

EMISARYUSZ



XXXV.

Pan podkomorzy Ostroróg Sadowski głowę oparł na rękę, przymknął oczy i klęczał ciągle w kolatorskiej ławce, pomimo, że się już pusto robiło w kościele i świece gasły przed Grobem Chrystusa.

Był Wielki Czwartek. W lewej nawie ostropolskiego kościoła pełno było zieleni z podkomorzyńskiej oranżeryi, pełno kwiatów papierowych, strzyżonych rękoma okolicznych zaściankowych szlachcianek. Chrystus, w białem drzewie ciosany niewprawnemi dłońmi, odcinał się jasną plamą na tle naiwnej groty, z rudej gliny byle jak zlepionej. Ostatnie świece się dopalały w wieloramiennym świeczniku, czerwone blaski pełzały po zimnych łukach sklepienia, cienie filarów chwiały się po ścianach. Pan podkomorzy westchnął, fularową chustkę na szyi poprawił, książkę do nabożeństwa ucałował i schował do kieszeni i szedł zgarbiony ku wyjściu. Zdawało mu się przez chwilę, że ktoś za nim idzie. Obejrzał się —

nikogo. Starzeję się — pomyślał. I nie dziwota — osiemdziesiąt trzy lata na święty Józef minęło. Sięgnął do wody święconej, znak krzyża św. uczynił i wyszedł z kościoła, starannie nasuwając czapkę futrzaną na głowę.

Furtka była otwarta. Podkomorzy zatrzasnął ją energicznie, nie lubił bowiem, by ktoś do jego parku zaglądał — zwłaszcza, że gospodyni księżowska lubiła gęsi do dziedzicowej posiadłości napuszczać, a czasem nie upilnowała i nierogacizny. — Ten szelmowski rudy podświnek — mrucał podkomorzy. Wczoraj ryl znowu w malinach.

Szelest jakiś odezwał się w zaroślach. Podkomorzy przystanął, słuchając, czy to furtka zgrzytnęła. Ale nie. Wiatr pewno. Podreptał więc dalej, skręcił w kasztanową aleję i szedł zygzakiem, starając się na pamięć mimo ciemności, wymijać wiosenne jeziorka.

— Kiedyż o n i tu będą, myślał podkomorzy. Kiedyż pan generał Dwernicki ujmie żelazną ręką te wszystkie energie, które się tutaj prężą wokoło? Kiedy da rozkaz całej tej młodzieży, kującej pałasze i siodlającej dla wprawy konie? Kiedyż, jak za czasów barskich, płomień rzeczy wielkich ogarnie całą ziemię wołyńską? Co nowego przywiezie Józef Sadowski od pana Wincentego Tyszkiewicza? A Junta? Czy ma potrzebną władzę? Czy się do niej zgło-

si książę Roman Sanguszko? Bo i to możliwe. A generał Kozłowski? Józef jakieś konszachty miał z Emirem Rzewuskim. Bodajby to Emir coś wykonceptował dobrego, by Adamowi Rzewuskiemu, zaprzedanej moskiewskiej duszy, związać te jego długie i potężne ręce. — Targowiczanie, — syknął podkomorzy przez zęby. Rządzić się dobrze w kraju, posłuszeństwo osiągnąć — i wojsko, wojsko. Zawsze było tak samo. I wtedy pod Barem i później za czasów Kościuszkowskich, Napoleońskich, i dziś. Idą z tej Warszawy wieści, a niczemu wierzyć na pewno nie można. Dziś koniec kwietnia starego stylu, liczył podkomorzy, 28. Znaczy, że w Warszawie 10 maj. Od listopada pięć i pół miesięcy. Żeby to książę Józef, czy Dąbrowski...

Ale tym razem podkomorzy się nie mylił. Ktoś gonił za nim szybkimi krokami po błocie kasztanowej alei.

— He? Kto i czego? Od księdza?

Bez słowa, ów ktoś goniący rzucił się podkomorzemu na szyję. — Nie chłop — pomyślał podkomorzy, bo twarz ma gładką. Sukmana na nim szorstka, to prawda. — Pozwolił się całować i sam przybysza uściśnął.

— Dziaduniu.

— Antoś? Igraszki stroisz, łobuzie jeden?

— Nie dziaduniu. Andrzej.

— Jędreku? Zwaryowałeś? Z wojska ucie-

kles? Dosyć no tych karesów. Gadaj mi całą prawdę odrazu. Różnij, prosto z mostu.

— Emisaryusz generała Dwernickiego, porucznik pierwszego pułku strzelców konnych, adjutant generała przyboczny.

— A niechże cię uściskam!

— Bitwa pod Stoczkiem, wachmistrz, krzyż srebrny. Bitwa pod Nową Wsią, podporucznik, krzyż oficerski. Bitwa pod Kurowem, dwie kłute rany, podziękowanie generała przed frontem. Szarża pod Poryckiem, rozgromiony pułk Kargopolski, złoty krzyż zasługi.

— Jędrek. A niechże cię. Nie masz ty chłopczyku gdzie pod ręką fularka?

— Skądże, dziaduniu? W chłopskiem przebraniu...

— Gdzie nasi?

— Wyjechałem w nocy, po skończonej dla nas zaszczytnie bitwie pod Boremlem. Dwa dni biliśmy się z Rydygierem.

— Zwycięstwo?

— Nie daliśmy piędzi ziemi. Ale zabrakło nam jednego batalionu piechoty. Gdyby nie to, byłby już generał tu, albo pod Płoskirowem.

— Wielki czas, Jędrek, wielki czas. Więc powiadasz, pod Boremlem? Był pan Michał Czacki?

— Regimentarz, mianowany kapitanem. Pałac zrujnowany trochę. Waliliśmy z armat

z pałacowego tarasu, wie dziadunio, na tę drogę, za rzeką.

— Czy ja wiem! Na świecie ciebie nie było... Ale ty musisz być zdrożony i głodny. Pie-szo?

— Naturalnie. Ale ja do dworu wejść nie mogę. Niech mi dziadunio da klucz od lamusa. Prześpię się na starej kanapie i ruszam dalej.

— Jeszcze czego. Od tego jest dom rodzinny, by cię ugościć, mój ty gości poruczniku. Kawaler złotego krzyża zasługi. Patrzajcie go. Od tego dom, by cię przyjąć z otwartemi rękoma.

— Ale i od tego żandarmerya moskiewska, by i mnie i dziadunia-zabrać. A ja mam ważne polecenia. Ja muszę dojść do Sobańskich, do Jełowickich, do Tyszkiewiczów.

— Dobrze już, dobrze. Nie drzwiami, to oknem.

Światła migotały we dworze. Psy rzuciły się z ujadaniem, ale poznawszy swoich, umilkły, i lasząc się, płatały się przed Sadowskimi. Podkomorzy zostawił wnuka za domem i wszedł sam. Po chwili skrzypnęło okno.

— Jędre — szepnął staruszek — wyłażże. Raz, dwa, szturmem. A teraz, szlu-suj — zakomenderował półgłosem. — Chodź. Stołków nie wywracaj. Okiennice zaraz zamkniemy. Siedźże tu. Sam ci usługiwać będę. Stryja twego

niema w domu. U nas też pusto. Ojciec twój pojechał ze stryjem do Krasickiego, do Czerniawki. Matka u Uruskich. Tam nie radzę ci zaglądać. Trzęsą okolicę Moskałę, ciągle sprawnik jeździ. Rodzice zdrowi, ojciec nic nie gada, jak zawsze, ale jest komisarzem powiatowym. Ja stary tylko siedzę na piecu i modłę się za was wszystkich. No, zapalimy świece. Mój Boże — Jędre! Jakżeś się zmienił! Zmężniałeś, a ta kresa przez łeb? Co to było?

— Spisa kozacka, złamana pod Nową Wsią.

— Zwycięstwo nasze?

— Czy dziadunio wątpi, że nasze?

— Niechże cię kule biją. On mnie starego teraz uczy rozumu, i słusznie. Mówiłeś dwie klute rany. To jedna. Gdzież druga?

— To nie rana, dziadunio. To głupstwo. Rana w biodrze i tu na piersi.

Rozpiął świtkę, zgrzebną koszulę odchylił i pokazał długą, czerwoną bliznę.

— Chłaśnięcie szablą. Gdyby nie adjutant Dunin, byłoby po mnie. Zwalił dragona z konia uderzeniem przez łeb, na odlew. Zaczny mój Dunin. No, alem się też mu odplacił rzetelnie. I to naprzód. Pod Stoczkiem.

— Pod Stoczkiem, powiadasz. To ty, szczęśliwce jeden, byłeś pod Stoczkiem?

— Miałem zaszczyt, dziaduniu.

— A szkaplerze ty masz?

— Jeden tylko, ten sam, który ojciec mój miał pod Smoleńskiem.

— Ten, od wuja Woronicza.

— Tak, dziaduniu.

— No, to poczekaj. Zaraz, zaraz, tylko zdejmę z szyi. Masz. To wszystko było pod Barem, pod Częstochową, Bóg wie, gdzie. Niechże cię Panna Najświętsza zachowa i prowadzi. Mój ty wnuczku kochany.

— To ja dziaduniowi swój oddam.

— Broń Boże. A może to właśnie ten szkaplerz cię chronił.

— To ja dziaduniowi dam co innego. Mam schowane w podeszwie dwie wstążeczki orderowe. Zaraz. Pewno błoto do nich przesiąkło, bo to wie dziadunio, lasami, przedzierając się często przez gąszcze i trzęsawiska. Proszę. Dam dziaduniowi połowę.

— Mój złoty! Że też nie masz mundur! I tak się oczy cieszą — ale ty rozumiesz mnie.

— Bóg da prędko już. Korpus nasz w drodze. Od początku wojny same zwycięstwa. Świeci nam dobra gwiazda. Kto wie, czy awangardy nie doszły gdzieś blisko. Wuj Andrzej Piotrowski prowadzi. Major Wierzchlejski kieruje lewem skrzydłem. Mój pulk. Pan generał ma przy sobie Krakusów i dywizyony ułańskie. Drugi pulk ułanów. Pojęcia dziadunio niema, jak oni Dwernickiego kochają. Chodzi sobie

nasz jenerał z takim buzdygankiem drewnianym, ze złotą główką, i sroży się okrutnie! Żołnierzo! oczy się śmieją, a stoją na baczność. Ledwie oczy odwróci Dwernicki, a ci znowu trącają się z ukontentowaniem łokciami.

— Fujary, — powiada Dwernicki. — Czego się śmiejecie? Przekupki.

— Nasz kochany pan jenerał! — ryczy gdzieś jakiś wiarus w tylnych szeregach. — Niech żyje pan jenerał — krzyk się podnosi wokoło. A on idzie okrutnie srogi, z marszem nieprawdopodobnym, lustruje front, i w chwili najgorszego krzyku, wymyślenia i srożenia się, ni stąd ni zowąd uszczypnie mnie, albo Dunina. Nie ma dziadunio pojęcia, jak żołnierz za nim przepada. W ogień, w wodę, wszędziebyśmy poszli...

Podkomorzy poszedł gdzieś do dalszych pokoi pomyśleć o wieczery dla wnuka. Andrzej Sadowski pozostał sam. Patrzył na znajome sprzęty, na stare obrazy rodzinne. Wydawało mu się to wszystko snem. Więzienie u Karmelitów i ta noc listopadowa. Wieczór u pani koniuszyny Kickiej i spotkanie z Dwernickim. Marzenie o wojaczce pod jego rozkazami — i to szczęście służby u jenerała przybocznej. Nocne rozmowy z Duninem w Mniszewie, przejście Wisły po lodzie, pomimo wody wiosennej, rwącej po powierzchni lodowej, i te po-

chodnie, błyszczące nad nurtem. Stoczek, upojenie walki i krwi, czar pierwszego zwycięstwa. Puławy, księżna Czartoryska i ten granat Wirtemberczyka »prezent od wnuka«. Zamość, szpitale — wejście na Wołyń wreszcie i ta wiosna po lasach, te potyczki na polach, zieleniących pierwszym tchem oziminy...

— Jakiego znalazłem szczęścia — pomyślał. — Wszystko jest jak sen — i jak sen się spleta z rzeczywistością. Ale ja miałem więcej, niż sen. Ja szedłem w tryumfalnym pochodzie. Zaszczyt mam przynieść tu wieść o TRYUMFATORACH, wieść z pod Boremla, tym, którzy nie zaznali jeszcze wiru wojny i zwycięstw, którzy nie znają nic jeszcze, oprócz snu rycerskiego o jutrze. Rzucić zarzewie wojny w kraj, ogarnięty snem! Wcielić w życie, w rzeczywistość, w krew rwącego się do walki narodu ten sen rycerski, żelazny, zbudzić to wszystko, co dla Polski iść rade na śmierć, byle przyszła ta wieść, którą on niesie, ta skrzydlata, jak Nike, wieść o Dwernickim!

XXXVI.

Andrzej Sadowski jeden dzień tylko w domu dziada podkomorzego zabawił, i w nocy z Wielkiego piątku na sobotę, chyłkiem, w przebraniu chłopskiem zawsze, konno w drogę wyruszył.

Dano mu dobrego ekonomskiego konia i stare siodło kozackie. Podkomorzy Sadowski list do syna o jakowejś wyimaginowanej zarazie u bydła, napisał i wręczył wnukowi. Miał on być parobkiem stajennym, wysłanym do młodszej dziedzica.

Noc była ciemna, wietrzna. I koń, i jeździec dobrze znali okoliczne drogi. Na razie można było unikać wsi — potem chcąc nie chcąc, trzeba ryzykować, by nie zbłądzić w ciemnościach, w mało znanych stronach. Kilka razy zatrzymywali porucznika Sadowskiego chłopci, stojący po wsiach na warcie.

— Kto jide? — odzywały się basowe, ochrypnięte głosy.

— Swój, rzucał Sadowski, i zacinał konia.

Chłopi nie protestowali. Przyjmowali do wiadomości, że swój, i walęsali się dalej, odbywając nakazany przez policję »obchód« każdej wioski.

Emisaryusz wojska polskiego spodziewał się, że stanie nad ranem w Wielkich Żerebkach, majątności Giżyckich, i przez dzień cały u rządcy przesiedzi. Wjechał w lasy, zboczył na gościniec latyczowski, okrążył jakąś wioskę, pośród lasów leżącą, omal nie wpadł na moczarzyska — i jechał dalej, tęgiego kłusa, nie dając wytchnąć koniowi. Okolicy rozeznac nie mógł — ciemno było, i gwiazdy poginęły wśród mgieł. Zsiadł z konia, podszedł do kilku pni drzewnych, szukając mchu. Jechać miał wprost na południe — droga zaś wyraźnie mierzyla na wschód. Trzeba było znów zboczyć na prawo, na pierwszym rozstaju. Dziwnie długie były te drogi, i wily się wciąż. Koń zwalniał biegu, zmęczony i zdezorientowany, idąc niechętnie na oślep.

Szarawy świt majaczył na horyzoncie, pośród prawie że bezlistnych dębowych gałęzi. Robiło się coraz jaśniej. Widać już było, u stóp dębów ogromnych, szarzejące gwiazdy żółtych milków wiosennych. Spotkać kogo na drodze, samotnego żebraka, chłopca idącego pieszo — myślał Sadowski. Unikać wsi, by się nie zdradzić czasem.

Oglądał się bacznie wokoło, i podpędział strudzonego konia. Szczekanie psów i pianie kogutów slychać było gdzieś w dalach. Jeszcze stajanie — i las się skończył, odsłaniając szeroką dolinę, i ogromny, drzemiący w obramieniu trzcin i szuwarów, dymiący oparami, rozlany aż na łąki dalekie staw.

Sadowski bacznie szukał w pamięci, czy nie widział kiedy tych stron. Dojrzał już dwór, dosyć duży, bielony, stojący opodal grobli. Trudno, chcąc jechać na południe, musi gdzieś rzekę przekroczyć. Niema teraz mowy o drogach polnych, ani o mostkach gdzieś na ustroiniu. Trzeba jechać przez groblę, i ryzykować. Lepiej do dworu. Moskali przecież w tych stronach niema. A zresztą — Bóg to wiedzieć raczy. Gdzie jest przedewszystkiem?

Stary chłop w wytartym kożuchu przyglądał mu się z podelbą, kiedy mijał kołowrót, przy wjeździe do wsi. Mruknął jakieś pozdrowienie, i drapał się dalej, spluwając za odjeżdżającym.

Woda szumiała, płynąc miejscami przez wierzch, rwąc groblę i rozrywając nasypy. Stary żyd, w wyłożonym chalacie, w jarmulce aksamitnej, stał koło młyna, frasobliwie zaglądając w szczeliny, koło upustu, tryskające kaskadami mętnej wiosennej wody.

— Za dużo wody trzymasz — zwrócił się

do żyda po rusińsku Sadowski. — I tobie przerwie groblę.

— Jak Bóg da, — odpowiedział z flegmą i spokojem młynarz.

— I cóż na to wasz pan? — zagadnął Sadowski.

— Jaki pan? Nasz pan umarł.

— To nikogo niema we dworze?

— Panicz Ignaś siedzi. Ale *un* książki czyta.

Sadowski wzruszył ramionami, raczej do swoich myśli. Pan umarł, a panicz Ignaś jest. Czyżby to być mogły Rosołowce Jankowskich? Ten ogromny staw zdaje się przemawiać za tem. Jest więc o jakie trzy mile dalej, niż się spodziewał. Bądź co bądź, jechać do dworu można. Jeżeli ten Ignaś i nie Jankowski, to chyba poczciwy chłopak, skoro o nim tak lekko się odzywa jego własny młynarz. A jeżeli Jankowski, Wileńczyk, uczeń pana Lelewela, to mu chyba gościny nie odmówi, choć i dysputą kwaśno radykalną uraczy.

Kiwnął głową żydowi i pojechał dalej. Minął ogromną karczmę, z wielkim dachem słomianym, sięgającym niemal do ziemi, i skręcił do dworu. Pusto było na podwórzu, wrota zamknięte. Wszedł przez furtkę, konia prowadząc za sobą, doszedł do stajni dworskiej. I tu

nikogo, tylko para siwych koni melancholijnie chrupała siano, nie racząc się nawet obejrzieć.

Sadowski mierzyna swego rozkulbaczył, przywiązał u żłobu, i wyszedł w stronę piekarni, by zasięgnąć języka. I tu było pusto. Wylazła wreszcie jakaś zaspana wiedźma.

— Panicz śpi, — odburknęła na zapytanie. Przed dziesiątą kawy nie pije. Poczekaj.

Sadowski wrócił do stajni — nie było żywego ducha. Niewiele myśląc, wylazł po drabinie na strych, i za przykładem panicza Ignasia, ułożył się do snu na sianie.

Trudno mu było żyć się ze swoją rolą — zapominał że ma prostą, chłopską siermięgę na plecach. Mówił do tej baby w piekarni tonem trochę dziwnym, jak na parobka. Trzeba lepiej grać dzisiejszą komedję — Bóg wie, ile od niej zależy.

Przespał się trochę, zeszedł po drabinie do stajni, wciąż żywego ducha. Nie miał żadnej pewności, gdzie jest, dokąd pojedzie. Gdzieś, na południe, ku Płoskirowu. A przedewszystkiem — nie tracić czasu.

Koniowi popręgi ściągnął, wędzidło założył, wskoczył na siodło. Jakoś mu trochę niewyraźnie było wyjeżdżać, nie podziękowawszy za siano gospodarzowi. Trudno — wojna, uśmiechnął się sam do siebie. Nikogo na po-

dwórze nie spotkał. Pies tylko jakiś, pamiętający napoleońskie czasy, otworzył jedno oko, i nie przerwał drzemki, na wielkiej kupie śmiecia, w żywym słońcu wiosennem.

XXXVII.

Mijały dni, pełne niebezpieczeństw, ryzykownych podróży, rozmów bezpłodnych, ścierania zdań, bezużytecznego przekonywania obojętnych. Zdawało się Sadowskiemu, że im głębiej się w ziemie ruskie zapuszcza, im dalej od korpusu Dwernickiego, tem mniej nadziei i tem mniej żywej wiary w sercach ludzkich spotyka. Nie zdawał sobie z jednego sprawy: oto nie rozmawiał prawie z ludźmi, poruszonymi do głębi serc, z ludźmi czującymi, jak on. Komisarze powiatowi odsyłali sobie jego, emisariusza Wojsk Polskich, by żywym słowem i żywym przykładem działać na opornych. Wiedzieli oni doskonale, jak wielki wpływ wywierał na młodzież całą ów oficer Wojsk Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, okryty chwałą świeżego bohaterstwa, mający prawo do polskiego munduru oficerskiego i krzyże waleczności zdobyte.

Andrzej Sadowski był dla wielu symbolem walki o wolność. Opowiadały sobie o nim

dziewczęta polskie po dworach, idealizowały jego postać — roily dziecinne sny. Nieraz, w cieniu kwitnących sadów, bądź po kątach kościołów, przed nabożeństwem, te, które go widziały, opowiadały innym krótkie, nic nie znaczące szczegóły. Snuły się w ślad za Sadowskim strzępy legendy. Wiedziano, jakie ma oczy, jak, mimowolnym ruchem, szuka czasami szabli. Wiedziano, że jest zwykle spokojny, i że się zapala, mówiąc o Jenerale. Wiedziano również, jaką siłę mają te jasno błękitne oczy szefa Korpusu, dowódcy Legii Wołyńskiej. Mówił przecież o tem pan adjutant Ostroróg Sadowski...

Po tych długich godzinach rozmów żmudnych i męczących, jednostajnością argumentów, maską bojaźni źle ukrywanej, nastawały noce bezsenne. Sadowski wytężał całą energię, by się nie poddać idącemu skądś zwątpieniu. Pęd i animusz rycerski, spotykany na każdym kroku, wydawał mu się naturalnym zupełnie, to też nie czerpał w nim pocieszenia i wytrwałości dla swoich dalszych zamierzeń. Natomiast ta coraz częstsza oporność biła wciąż bezwzględnością swoją, niczem tępym taranem, w jego wiarę w Ojczyznę i powstańcze nadzieje. Rozniecić ten głuchy żar, który mu tleje w piersi! Rozpalić wielki strumień lawy ognistej, ogarnąć cały kraj!...

Któregoś dnia, w Hubniku, siwy pan Wacław Jełowicki opowiadał mu o tem dziwnem kazaniu księdza Łomnickiego w Kamieńcu, i o tej wielkiej fali zbożnej miłości ziemi ojczyстей i samej idei Polski, która wstrząsnęła krajem, jak wicher lanem zboża.

— Boję się, że dziś zapóźno — mówił Jełowicki. — Wtedy była chwila wielkiego, nadludzkiego zapалу, godna zaprawdę czynów Wojen Krzyżowych. Wszyscy wierzyli, nikt nie rozumował trzeźwo, czy ślepo, jak dziś. Wiara jest, jak słup ognia na puszczy. Wiara czyni rzeczy wielkie i niepojęte. Gdybyż się to wszystko jeszcze wtedy, koło Bożego Narodzenia ruszyło! Powstałby wówczas między potrzebą walki, a chłodem rozumowań, wał żelaza i krwi. Honor, sam honor polski zwyciężyłby wtedy opornych. I wierz mi, kawalerze, że wówczas nikt nie śmiałby wpleść do przysięgi tych słów pięknych, lecz smętnych, i świadczących o wewnętrznej słabości i pewnem, że tak powiem, zwątpieniu: chociażby zginąć mieli...

— Co też ojciec mówi — przerwał Edward Jełowicki. — Cały kraj w ogniu, dwanaście tysięcy chłopów zerwie się na nasz rozkaz... Byle wyczekać. Byle dotrzeć do chwili odpowiedniej. Łatwo jest wyzyskać słomiany ogień za-

pału. Rozwaga i zastanowienie cechują męskie przedsięwzięcia...

— Dobrą jest rozwaga, ale idzie w ślad za nią pustka i chłód. Otóż mojem zdaniem, nasz moment rozwagi trwał o parę miesięcy za długo. Rozwaga wymaga dni, nie tygodni, a coś dopiero pół roku prawie. Nie zaprzeczysz mi chyba, Edwardzie, że dziś już pewne siły, pewne iskry i natchnienia wygasły, i silniej, niż wtedy, przemawia do bardzo wielu dzwonek pocztowy na drodze i turkot najtyczanki sprawnika... Rozwaga? Dobrze. Ale czy sami nasi nie stanęli na drodze dopuszczeń Bożych, wbrew zamierzeniom?

Gwałtowne dobijanie się do drzwi przerwało rozmowę.

— Panie marszałku!

— Kto i czego?

— Zdaje się, że pan Aleksander Jełowicki.

— Leć prędko po klucz od bramy.

Wtoczyła się na dziedziniec lekka bryczka. Na koźle siedział chłopak z kagańcem. Pan Aleksander powoził sam.

— Bój się Boga, Oleś, po nocy się włóczysz.

— Pędziłem, co sił.

— Są wiadomości z Warszawy?

— Gorzej. Sobańscy zaczęli na własną rękę.

— Co ty opowiadasz. A termin trzydniowy?

— To też pod koniec trzeciego dnia Ale-

ksander Sobański, nie mogąc już dłużej wytrzymać, ruszył zdejmować stacye pocztowe.

— Oszaleli!

— Widziałem się z Izydorem. Powaryowaliście wszyscy, powiadam, a brat twój przedewszystkiem. To trudno — powiada. Stało się. Jeżeliśmy zawinili — kaźcie, a w waszej obecności w leń sobie wypalę. Taki gorączka. Mówię mu, że to również na nic. Proponuję, że schronimy go do dnia wybuchu. Nie, powiada Izydor. — Ludzi moich na ofiarę nie dam. Opuścić ich nie mogę. Wolę zginąć. Chcecie, to w leń sobie strzelę, poto tylko wziąłem pistolety. — Cóż było zrobić z takim narwańcem. Kochany człowiek, jakich mało. Ucałowałem go serdecznie i na wszystko prosiłem, by mi dokładnie opowiedział, co, gdzie i jak? Trudno, powiada. — Sprawnik przyjechał z Olhopola, trzeba go było aresztować. — Gdzież on jest? — Siedzi w spiżarni u bratowej. — Puścić-że go, niech pod dyktando raport napisze, że dla słabości zdrowia musiał się zatrzymać, i niech jedzie na cztery wiatry. Potem ludzi rozpuścić i powiedzieć im, że zwołano ich na skutek pogłosek o rabunkach w okolicy. Izydor obiecał, że zrobi, co można będzie, ale że brata nie opuści.

— Ileż oni mają ludzi?

— Ze dwustu pięćdziesięciu.

— Rzewuski ma pięćdziesięciu?

— Czterdziestu.

— Sabatyn?

— Dziewięćdziesięciu, całe sąsiedztwo zgromadził.

— Jakim duchem ożywieni?

— Jak najlepszym.

— Są jakie wiadomości?

— Bajki. Opowiadają, że pod Latyczowem powstanie w całej pełni. Pan marszałek Galecki też jakoby już w polu, niedaleko Radomyśla. Jedno jest pewne, że Sobańscy już się cofnąć nie mogą i że przeszło czterystu ludzi mają pod Piątkówką. Moskale zbierają swoich, gdzie się da. Poszły sztafety do osad buzkich ułanów, by się gotowali do wyjścia. Weteranów ćwiczą na nowo. A cóż u nas?

— Jak dotąd cicho. Niepokój wszędzie. Przysyłają sąsiedzi co godzina po wiadomości, po rozkazy. Jest gdzieś podobno szwadron żandarmów w okolicy, z rozkazem, by nas wszystkich ogarnął z chwilą, gdy najmniejszy powód się znajdzie. Ostrzegamy cię, Aleksandrze. Żle teraz być Jelowickim.

— Chwała Bogu.

— Patrz, — mówił Edward, wstając i otwierając szafę. — Dwanaście karabinów, gotowych do boju. Pięćdziesiąt w piwnicy. Na folwarku też broni poddostatkiem, w słomie po-

chowana. A co najważniejsze — tego się nie domyślasz — mamy już artylerję.

— Co ty opowiadasz? Skąd, jakim sposobem?

— Są jeszcze uczciwi ludzie na świecie. Znasz zasiedatiela Gajkowskiego? Zdawałoby się, po uszy w policyjnej robocie? Otóż, uważasz, były w Bubnówce trzy szwedzkie działa, wkopane w ziemię. Ten kazał je wydobyć i pod pretekstem, że je konfiskuje, przywiózł nam do Hubnika. Ojciec się ucieszył i swój nowy kocz ofiarował: zdarliśmy wszystko, a na osiach żelaznych umocowaliśmy już jedną szwedzką armatę. Zobaczyłbyś mego kowala, jaki dumny chodzi.

— Prochu też parę beczek mam w kącie, w tej piwnicy murowanej, gdzie najdłużej zawsze jabłka się trzymały na wiosnę. Pamiętasz, Oleś?

— Jeszczeby? A cóż ojciec na to wszystko? Pan Wacław Jełowicki uśmiechnął się.

— Nic. Ojciec czeka na rozkazy.

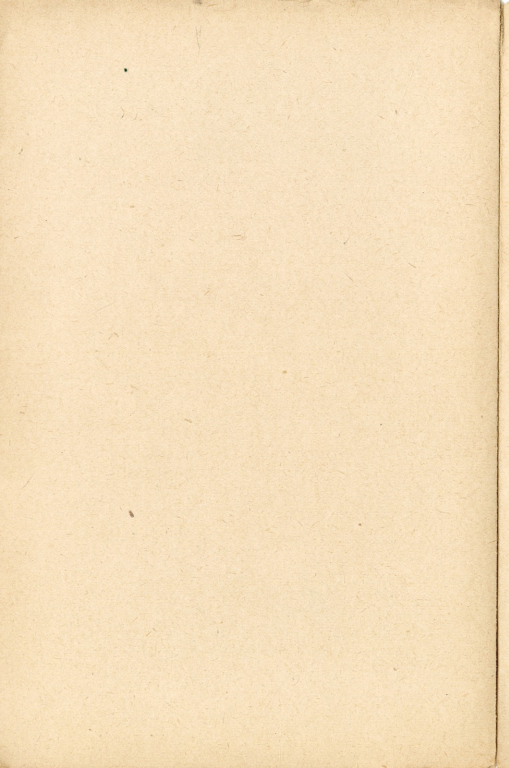
— Czyje?

— Chociażby wasze.

Na niebie był już świt.

Fajka mu zgasła. Spostrzegł to Edward Jełowicki, marszałek powiatu uszyckiego, siarników dobył i, przyklękawszy, zapalił fajkę ojcowską, opartą o wzorzysty pantofel.

DWA POKOLENIA



XXXVIII.

- Opamiętaj się, człowieku!
- Jestem przy zdrowych zmysłach.
- Ale zmiłuj się. Ledwie parę miesięcy minęło, odkąd się ożeniłeś!
- Cóż stąd?
- Zapominasz o żonie!
- Czy ojciec woli, żebym zapomniał o Ojczyźnie?
- Ależ wszystko można pogodzić.
- W jaki sposób!
- Poczekać.
- To trudno. Wszyscy chwycili już w całym powiecie za broń.
- Głupstwo.
- Wie ojciec, co to jest honor?
- No, pewno.
- Mnie się nie zdaje.
- Zbyt wiele sobie pozwalasz, mości zięciu.
- Nie zaczynam pierwszy.
- Ale masz żakowskie zamiary. Młoda żona, i to przy nadziei. Majątek mały, zadłużony.

- To trudno.
- Zostawisz wdowę i sierotę.
- I uczciwe nazwisko.
- Wielu uczciwych ludzi siedzi w domu.
- Czy ojciec nie widzi różnicy?
- Żadnej.
- Tamci nie wierzą.
- Ty wierzysz w głupstwo.
- Ja wierzę w sprawę.
- Sprawa sprawą, a chimeryczne projekty dyabła warte. Bóg da wytargować co w Petersburgu.
- Ojciec wierzy w Petersburg?
- Więcej, niż w wasze dubeltówki.
- To jest ani w jedno, ani w drugie.
- Właściwie, to tak.
- A do obowiązków żadnych ojciec się nie poczuwa?
- Mam żonę i dzieci. Nie możesz się uskarżać. Procent wam płacę regularnie.
- Głupstwo procent.
- Głupstwo? mogę przestać płacić.
- Nie o tem mówię.
- Rejterujesz?
- Jakiż ojciec dziwny.
- Jakiż ty narwany. Toż to pewna zguba. Przepisz choć majątek na moje imię.
- I owszem.
- Trzeba antydatować.

- Co się ojcu podoba.
- Ale w każdym razie...
- Co?
- Zastanów się.
- Raz powiedziałem: obowiązek.
- Znikąd nadziei.
- A pan generał Dwernicki?
- To jeszcze widłami na wodzie.
- Pan generał nas nie opuści.
- Pan Bóg opuszcza, coś dopiero generał?
- Niech ojciec zlituje się i przestanie narzekać.
- Serce ci mięknie?
- Słuchać nie mogę spokojnie.
- Ja ci powiadam: zastanów się. Masz młodą żonę. Pan Bóg ci zsyla dziecko. Głupstwo wasze powstanie. Ani broni, ani ludzi, ani pieniędzy.
- Pół pokoju zasypane rublami u pana Wincentego Tyszkiewicza.
- Dalibóg, szkoda pieniędzy. Zły interes.
- Broni poddostatkiem.
- Moskale więcej mają. Ludzi niema.
- Już jest ośm tysięcy.
- Car przysłał osiemdziesiąt.
- To niech przysyła.
- Zamówić mszę za twoją duszę?
- Jeżeli się ojcu podoba.
- Może Bóg da, że się opamiętasz.

— Może się serce ojca nawróci.

— Moje serce ojcowskie kraje się na myśl o waszych dzieciństwach. Zaprzepaściecie siebie i kraj.

— Wywalczymy wolność i Państwo Polskie.

— Zginiecie.

— To zostawimy dobre imię i testament dla synów.

— Wolę porządny testament u rejenta.

— A ja uczciwe serce.

— Dowidzenia. Namysł się.

— Żonę moją ojcu polecam.

— Córkę moją kocham sercem ojcowskim. Nie chciałem tego małżeństwa. Przeczuwałem, że ci głupstwa w głowie. Wzięłeś obowiązki na siebie, masz być ojcem, nie rozumiesz ani mnie, ani obowiązków obywatelskich.

— Czyny moje zaprzeczają słowom ojca.

— Widzisz?

— Co?

— Tę bliznę.

— Widziałem nieraz.

— Wiesz co?

— Wiem. Pod Raclawicami.

— Tak.

— Tem mniej rozumiem ojca.

— Nas wtedy było więcej. Mieliliśmy własne

państwo. Mieliśmy armię, Kościuszkę, króla i własny sejm.

— Prymasa, Ożarowskiego i Targowicę.

— Tak.

— Cóż stąd?

— Myślisz, że dziś Targowicy nie będzie?

— Niechże ojciec da spokój.

— Boli?

— Zrządzi ojciec, i koniec.

— Obyś nie pomyślał kiedyś, że teść prawdę mówił.

— Ale skąd te przypuszczenia?

— Skąd? Bo znam naszych ludzi. Wiesz, kto jest pani Branecka z Białej Cerkwi?

— Pewno, że wiem.

— Takich się znajdzie więcej.

— Nie sędzę.

— Tacy się znajdują, co przez głupotę, czy przez podłość wrodzoną protestować będą przeciwko Niepodległości.

— Co też ojciec za nonsensy opowiada!

— Zobaczysz.

— Bóg da, że nie zobaczę.

— Jeśli cię Bóg do swej chwały powoła, to nie zobaczysz.

— Żywy, czy umarły, czekam na tryumf Polski.

— A ja na klęskę niechybną.

— Wolę honor i śmierć.

— A ja oczekiwanie na lepsze jutro. To honoru nie plami.

— Jak czasem.

— Masz gorące serce.

— Bogu dzięki.

— Więc idziesz?

— Raz powiedziałem.

— Zaciąłeś się?

— Nie. Postanowiłem po namyśle.

— Tak ci serce mówi?

— Tak.

— I rozsądek?

— I rozsądek.

— Niechże cię Bóg prowadzi.

— Dziękuję ojcu.

— Ale, poczekaj. Cóż z majątkiem?

— Gotów jestem na imię ojca...

— Kiedy widzisz, ja już swój folwarczek sprzedałem...

— Poco?

— Bo był kupiec.

— Co też ojciec zrobił najlepszego?

— Wysłałem pieniądze do Lwowa.

— Kiedy?

— Wczoraj.

— Dlaczego?

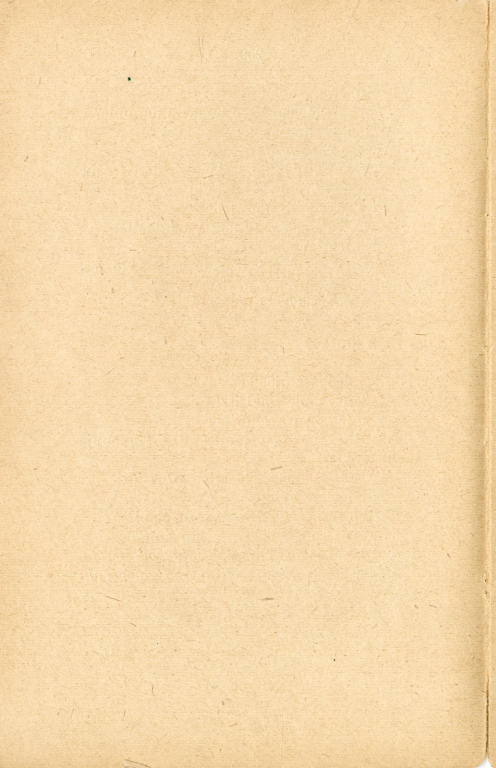
— Mam córki. Będę miał wnuka.

— Nie mógł ojciec spokojnie w domu?

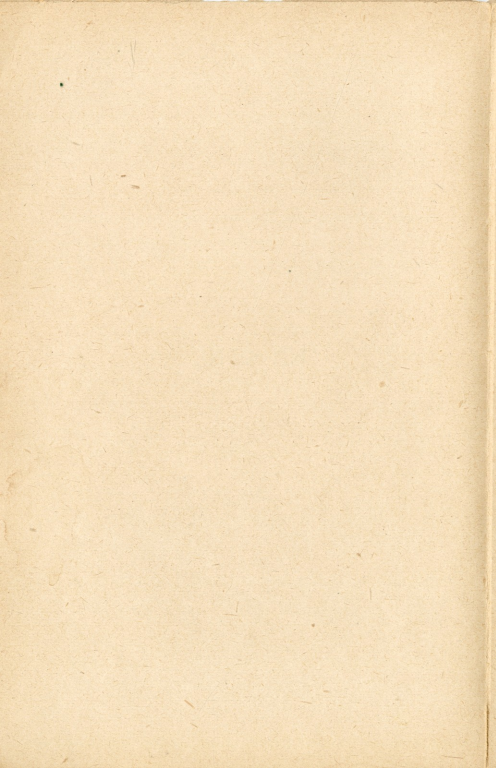
I takby nie przepadło.

- Kto wie.
 - Boi się ojciec, że ze względu na mnie?
 - Nietylko na ciebie.
 - Na kogo jeszcze? Na moją żonę?
 - Widzisz, u mnie w lamusie jest trochę
broni i prochu ze dwie beczulki...
 - Co też ojciec opowiada?
 - Do kroćset, toś ty lepszy ode mnie?
 - Nie rozumiem.
 - To ty nie wiesz, błaznie jeden, kto jest
komisarzem w twoim powiecie?
 - Orlikowski?
 - Nie.
 - A kto?
 - Ja.
 - A niechżeż ojca!
 - Cicho! Żonę zbudzisz!
 - Co też ojcu w głowie!
 - Baczość! Znaj mores, to cię mianuje
wachmistrzem.
 - Niechżeż ojca kule biją! Więc idziemy?
 - Choćbyśmy zginąć mieli.
 - Widzi ojciec, co jest przed nami?
 - Polska Jagiellońska — lub śmierć.
- Śmierć Wacława Monkiewicza pod Barem,
we dwadzieścia cztery godziny po chwyceniu
za broń.*

R. I. P.



NA KOŇ!



XXXIX.

W domu Jełowickich w Hubniku rojno było i gwarno. Zgromadziła się szlachta okoliczna, co najprzedniejszego w powiecie. Bnińscy i Tyszkiewiczze, Jaroszyńscy i Żółkiewscy, Podhorscy, Dobkowie, Meleniewscy. Był sędziwy jenerał Benedykt Kołyszko, starzec osiemdziesięcioletni, towarzysz broni i przyjaciel Kościuszki. Był zięć jego Lipkowski z bratem, był Baltazar Krassowski i Mikołaj Glinka. Przyjechał niespodzianie Władysław Krasicki, przywożąc majora Orlikowskiego, człowieka o żołnierskiej postawie i twardem, męskim spojrzeniu. Dwór Jełowickich, obszerny, urządzone wygodnie, sławny z gościnności szeroko, ledwie pomieścić mógł zebranych sąsiadów. Sprawy były ważne — to też, prócz kilku zaufanych służących, synowie gospodarza i młodszy krewni czuwali nad gośćmi. Stoły były zastawione obficie — ale nie z tym przepychem, z którego dom Jełowickich był znany. Nie było sreber — nic dziwnego, bo wszystkie srebra

były już w skarbcu powstańczym. Dziwnie też wyglądały wobec rżniętych puharów, misternej weneckiej roboty, proste łyżki drewniane, grabki z białego drzewa o dwóch ostrych zębach. Jedzenie pięknie podane na porcelanie koreckiej z herbem i z mitrą kniaziowską — ale niewyszukane zgoła. Minęły te czasy, kiedy polowania w Hubniku były synonimem uczt, istic książęcych, o których opowiadano sobie niebywale historye. Kraj w ogniu — powiedział siwy gospodarz. — Wybaczycie państwo, proszę was na zrazy z kaszą i barszcz ze słoniną — nie stać na więcej — gdyż dziś grosz każdy nie do nas należy.

Patrzył na niego major Orlikowski — i myślał — tenże to jest Wacław Jelowicki, człowiek dumny, wyniosły, gardzący groszem i rzucający nim bez rachunku? Tenże jest, dobry sąsiad i opiekun młodzieży, dobrodusznie patrzący na wszystkich — on, który ledwie najbliższych poznawał, dla obcych mający zimne spojrzenie i obojętność ukłonu? Tenże jest, który najznacniejszych obywateli umiał zbyć zimnem słowem i nie wpuścić do domu, gdzie i najbiedniejszy mógł czuć się u siebie, byle wyskał u sędziwego szlachcica szacunek. Tenże jest, który wołał, jak w Petersburskim departamencie heroldyi powiedział, być dobrym pol-

skim szlachcicem, niżeli... księżciem, gdy go chciano moskiewskim tytułem ozdobić?

Ale nie było czasu na rozważanie rzeczy minionych. Co przedsięwziąć? Co czynić? Dać hasło, wzniecić wszędzie powstanie, skorzystać z zawieruchy, wszczętej świeżo w Piątkówce — czy też milczeć i czekać jeszcze, aż przyjdzie rozkaz stanowczy? Przybył świeżo oficer sztabu głównego od generała Dwernickiego, przywołując wieści raczej złe, niżli dobre. Korpus stał na granicy galicyjskiej. Mógł się przebić przez wojska Rydygiera i Rotha — ale mógł też utknąć w tych stronach. Pan porucznik Zapolski, wysłaniec generała, długo z adjutantem Sadowskim, zamknawszy się w pokoju, konferował tajemnie. Wyszli wreszcie obaj, spokojni, ale niezbyt pełni wesela, oświadczając, że pora chwycić za broń, by odciągnąć część siły przynajmniej, dzielących korpus Dwernickiego od powstania Ziem Ruskich. Pan Wacław Jelowicki miał jakby chmurę na czole, generał Kolyzko wspominał dawne czasy. Prosić go zaczęto, by raczył objąć dowództwo. Generał się wymawiał, wskazując wiek swój podeszły, brak sił i energii.

— Wszyscy my zato młodzi — przekładał Eustachy Jelowicki. — Wszystkie nasze energie są na usługi pana generała. Powstanie Ziem Ru-

skich ogłasza generała dowódcą. Major Orlikowski szef sztabu.

Kołyшко dziękował, prosił, by go uwolniono od tej odpowiedzialności, i wreszcie, widząc, że to nie pomaga, stanowczo sam się wymówił. Nie postanowiono nic zgola, jak tylko, że wszelkie obrachunki zawiodły i że trzeba lada dzień na czyn decydujący się zdobyć. W jaki sposób, kiedy zebrać powstańców, dokąd ich zaprowadzić, jaki plan przyjąć — wszystko to było jeszcze pytaniem. Czekać na wiadomości — co się stanie z Dwernickim — co rozkaże — oto były głosy, które przeważały. Zwłaszcza, że się skądś wzięły wieści, że Dwernicki przez pierścień wojsk rosyjskich się przebił i że szedł na południe. Powiadano, że pod Kamieniec zaszły pierwsze patrole. Nikt w to nie wierzył — Bóg wiedział zresztą. Panowie oficerowie, Sadowski i Zapolski przedzierali się długo, błędząc po lasach. Wszystko to były wieści z przed dwóch tygodni. Coś wielkiego się waży, — mówili wszyscy. Coś wielkiego już wisi w powietrzu...

Z tem wrażeniem przesądzonych już, aczkolwiek niedokonanych wydarzeń, żegnali się, ściskali sobie dłonie. Przyszła narada w Krasnosiółce, u Lipkowskich. Przyjeżdżać nocą, ostrożnie? Czy też nie kryć się zgola? Brać pistolety? Czy nie brać?

Zadawano sobie wzajemnie pytania, słuchano sprzecznych odpowiedzi, godzono się na potrzebę cierpliwości, czynów oględnych, pozorów wszelkich spokojnego żywota, czasów jak-najzwyczajniejszych... A jednak we wszystkich sercach drżała już ostra i żywa świadomość, że gdy zejda się znowu, błysnie już im w ręku
ORĘŻ POWSTAŃCZY!

XL.

Rżały konie na dziedzińcu w Hubniku, przelewała się fala ludzka, błyszczała broń. Przed gankiem, opięte zgrzebnem płótnem, stały szwedzkie armaty. Za drzewami, daleko, wschodziło słońce. Na gazonach, wokół, błyszczała zimna rosa wiosenna. Konie grzebały ziemię, dzwoniły wędzidlami. Sławne, chyże czerkiesy Jelowickich. Konie kare przeważnie, z czerkieskiem taurem wypalanem na boku. Chłopaki rosłe, w burkach brązowych, spiętych rzemiennymi pasami. Juki przy siodłach, myśliwska broń na ramieniu, ładownice przez pierś... Na schodach ganku straż leśna. Gwar, zamieszanie. Nagle, na jakiś rozkaz widocznie, granie w rogi myśliwskie. Podnoszą się wszystkie głowy, z drzwi pałacowych wychodzi szybkim krokiem pan Edward Jelowicki, rękę wznosi ku górze i głosem jędrnym, stalowym—woła — NA KOŃ!

XLI.

To nie służba folwarczna i nie zagrodowa szlachta z okolic jedzie w ślad za marszałkiem. Jest ich stu czterdziestu chłopów, z bronią w ręku, na koniach. To już nie gromada, zwołana na wieść o rabunkach, czy mordach — ale wojsko powstańcze. Jedzie pan marszałek Edward Jełowicki na karym ogierze, rząd ma srebrem błyszczący, karabin czarny wejcowany na plecach i karabełę u boku. Za nim, szóstkami, idzie oddział waleczny. Ochota wściekła, miny gęste, chłop w chłop, urodzeni żołnierze. Idą przez wieś, baby w opłotkach ciekawie wyglądają ku wojsku. Widać wszędzie jakiś podziw milczący, zdumienie. Żołnierze — w jakichś dziwnych mundurach — i pan marszałek prowadzi. Biją dzwony cerkiewne — cóż to znaczyć może? Pogrzeb? Tak wcześniej? Byłby to chyba zły znak. Niejeden dłoń do czoła przykładają i patrzy, co znaczy to zbiegowisko przed cerkwią? Marszałek brew marszczy, patrzy bacznie przed siebie, coś do

panicza Jaroszyńskiego mówi, wysła go z ekonomem naprzód...

Wrócił panicz Jaroszyński po chwili, uśmiecha się i coś do pana marszałka mówi. Ten nie zwalnia kroku, i wciąż jedzie, spokojny. Przed cerkwią stoją chłopci i siwy pop hubnicki, ojciec Makary, w liliowej czapie aksamitej. Nizko panu marszałkowi się kłania. Jełowicki, jak prawdziwy wojskowy, podnosi dwa palce do czapki, salutuje.

— Jaśnie wielmożny panie marszałku — powiada o. Makary po polsku, — zebrali się my tutaj gromadą powiedzieć Wam i prosić pokornie — bo to my swoi ludzie — żeby pan marszałek byli łaskawy i nam po sąsiedzku powiedzieli, co to wszystko się znaczy. Widzimy my, że coś złego na świecie, i żołdactwa po kraju dużo się kręci, i panowie niespokojni wokół. My wszyscy panu marszałkowi i tatuśowi pana marszałka, i panu Aleksandrowi, i naszemu paniczowi powiedzieć chcieli, żeby się oni nie bali nam całą prawdę, tak, prosto z dobrego serca, ot, tak, po Bożemu... Jakby jaka krzywda, broń Panie Boże, to my wszyscy gotowi was bronić! My dobrych panów szanowali zawsze, a was i waszego baćka to jak rodzonych. Toż wy, panie marszałku jaśnie wielmożny się nie bójcie. My wam krzywdy nie chcemy, a jeszcze za was stać będziemy.

Wy tylko nas, po sąsiedzku, ot, i zechciejcie powiedzieć, czego wy się zebrali, i rusznice wzięli, i samych katolików wybrali, a mało naszych — czy my to gorsi, czy co? Ot, to tak, panie marszałku.

— Batiuszka, i wy hromada — dźwięcznym głosem odparł Jelowicki. — Dziękuję Wam, żeście wyszli, i tak szczerem sercem za serce nas ujęli. Krzywdy żadnej nowej dziś niema, jest nasza dawna, stara krzywda, dawne rany i dawna niewola. Dosyć już tego. My idziemy bić się z Moskalami, wypędzić ich precz z naszego kraju, chcemy być wolni. I wy macie być wolni razem z nami. Koniec pańszczyzny. Niema już dziś chłopów pańszczyźnianych, niema żadnych obowiązków. Ja, pan wasz, ogłaszam wam wolność. Będziecie mieli wasze chaty i grunta wasze na własność. My teraz idziemy bić się z Moskalami. Bóg da, wrócimy zwycięzcy. Wtedy i was wszystkich, wolnych, powołamy do wojska, byście razem z nami bronili waszej i naszej ziemi, waszej i naszej wolności. My tutaj, na tej ziemi zrodzeni. Nasza ta ziemia, i póki jeden Moskal jest tutaj, póty niema wolności. Niech żyje wolność, i nasza wolna Polska! Wolna Ukraina, wolne Podole!

— — — — —

Długo jeszcze szły za wojskiem powstań-
czem chłopskie gromady. Pop stał na wzgórku
i błogosławił zastępom. Gdzieniegdzie chłopak
wiejski dorywał się konia i gnał w ślad za
nimi, przyłączał się do powstańców, wchodził
do szeregu. Biły dzwony cerkiewne, radość szła
wielką falą. Koniec pańszczyzny. Pan marsza-
lek dał wolność. Car nie chce wolności. Car
w dyby zakuwa, rekruta bierze. Wolność.

I na wojsko powstańcze patrzyło z wyżyny
słońce.

XLII.

Jeździec z białą amarantową kokardą osadził konia przed Jełowickim, oddając ukłon wojskowy:

— Melduję panu marszałkowi: już jest w Krasnosiółce przeszło siedmuset ludzi. Cała szlachta hajsyńska. Osiemdziesięciu z powiatu balckiego, hrabia Karol Potocki i pan Teofil Obniski. Powiat olhopolski — panowie Sobańscy. Jest i Emir Rzewuski ze swymi. Powiat jampolski siedemdziesiąt koni. Pan generał Kolyzko przybył wczoraj w nocy. Wielka rewia przed dworem. Szałas słomiane, namioty w całym parku. Jest już pan Aleksander Jełowicki, przybył z Oczeretnej od pana naczelnika powstania Ziem Ruskich.

— Bacność! — skomenderował Jełowicki. — Dwudziestu ludzi przy artylerji. Formuj się w czwórki. Porucznik Iwanowski przy armatach. Reszta za mną, marsz!

Oddział ruszył z kopyta, wzbijając tumany

kurzu, tętentem kopyt końskich, szczękiem strzemion i broni napelniając powietrze.

Rwał wąż wojska przez step ku blizkim wzgórzom. Wierzby rosochate, strzegące wielkiej drogi pocztowej, migaly im w oczach. Kurhany przedwieczne, pełne dawnej slawy i pamięci lat dawnych, drżały żywym echem przeszłości. Gdzieś daleko, inne wielkie mogiły stepowe wychylały swoje czoła z za wzgórz, ku polskiemu wojskom powstańczym.

Tam, w dolinie, przed nimi, opodał dworu, na wielkiej łące zielonej, stały zbrojne szeregi, równo, czworobokami, niczem regularne wojsko liniowe. Nad głowami migotały im chorągiewki białe amarantowe, czerniał las smukłych lanc. Kilkunastu konnych sprawiało przegląd polowy. Na przedzie jechał człowiek zgarbiony, na rosłym, siwym koniu.

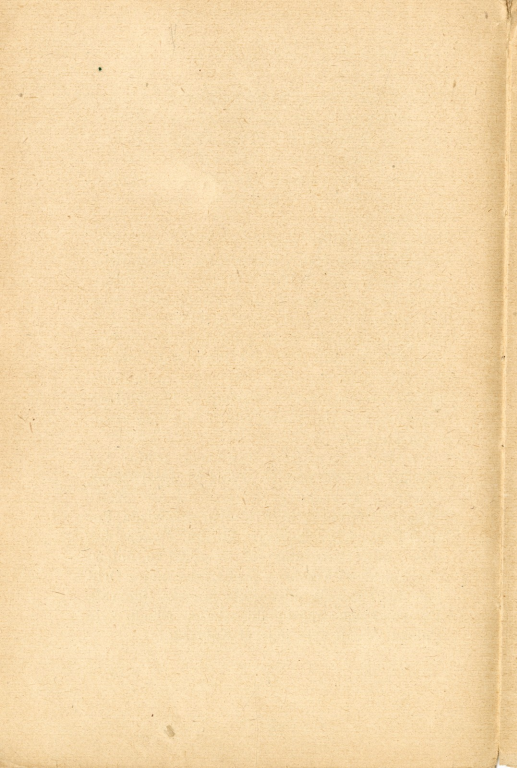
Nagle wstrzymał konia, od frontu swojej kawaleryi odwrócił. Za nim inni pół zwrotu na prawo...

I widać było, że wszyscy patrzą ku wzgórzom, skąd, falą takich samych chorągiewek okryty, szedł ku nim oddział Jełowickich.

XLIII.

— Obowiązuje regulamin kawalerji narodowej. Ja, dowódca szwadronu, postanowieniem Rady naczelników, biorę szarżę rotmistrza. Panie Żmijewski! Jesteś kapitanem. Mianuję porucznikiem Zenona Rusieckiego. Dwóch podporuczników: Bartłomiej Ligocki i Jan-Amor Tarnowski. Chorąży Piotr Meleniewski. Złóżycie panowie radę oficerską i mianujecie dziesięciu podoficerów. Szwadron liczy, prócz szarż, stu kawalerzystów. Niech żyje nasz szwadron pierwszy!

— Drugi szwadron, dowódzca Izydor Sobański. Trzeci, pod Henrykiem Lipkowskim. Czwarty, Aleksander Sobański. Piąty, Emir Wacław Rzewuski. Inni rotmistrze: Zwizda, Pobiedziński, Korzeniowski, Korsak. Jeszcze będzie kilku mianowanych. Dowództwo należy się generałowi Kołyszce. Szef sztabu major Orlikowski. Panowie oficerowie korpusu generała Dwernickiego należą do sztabu. Niech żyje Polska! Niech żyje generał Kołyszko!



DASZÓW



XLIV.

MISERERE MEI, DOMINE

skończył się sen...

Przeszumiały przyptywy groźne i odpływy,
łańcuchem burz łyskliwych splotiły się morza,
fal, bijących w opokę pomięły się grzywy
— serce moje wybiegło jąć ster...

na bezdroża

— serce moje wybiegło, objąć sterowanie
— miserere mei, Domine —
skończył się sen.

Spokojność teraz wielka i gwiazdy migocą
objęte, niczem ciemnej mogiły sklepieniem,
posepnością milczenia, wiekuistą nocą.

Przecześnie serce to moje biegło w błękit Boży —
skoro wszyscy my, społem, okręt chwiejny że-
[niem
li tylko powolnością, li tylko znużeniem...

Przecześnie gwiazd lśniąca krypta na mój dach
[się wali,
i o próg mego domu jak trumna uderza?

skoro wiem, że się za mną cień mój własny pali,
i że prosto ku morzom rozstąpionym zmierza,
na me oczy łaskawe położywszy ręce...

Księżyc grozi mi nowiu niewidzialną twarzą,
i pod stopą mi dzwoni
kowane żelazo!

MISERERE MEI, DOMINE —

skończył się sen.

XLV.

Wiał wicher zimny, ginęło za chmurami słońce. Na trawie, pod nogami, wyla się strumykami czerwona krew. Czołgali się ranni. Walcząc, zasłaniając się szablą i bijąc wroga z wypadu, pan Wacław Jełowicki rzucał spojrzenie z ukosa, pod nogi. Odsłonił się zupełnie, o włos nie zginął od sztychu w serce, ale nie ugodził zakrwawionem obuwiem równie krwawej, umarłej twarzy siwego powstańca, który obok niego walczył przed chwilą. Starzec dostał cios w skroń, aż do mózgu. I leżało tuż obok Jełowickiego to ciało, jeszcze dreszczem konających żywe. Sączyła się krew. Jeden wąs starego szlachcica był siwy, drugi czerwony od krwi.

Coraz puściej się robiło koło Jełowickiego, coraz mniej napastników szukało śmierci z jego starczej ręki. Dalej, pod laskiem, szwadron konnych kozaków dorzynał powstańczego oddziału. Wacław Jełowicki szablę na chwilę opuścił i czekał. Było jeszcze kilkunastu po-

wstańców, pieszo, zmagających się i rzucających przeciw blakającym się po pobojowisku żołnierzom. Jeszcze chwil parę... Pan Wacław Jełowicki spojrział gdzieś daleko przed siebie. Wśród chmur, ciemnych i ciężkich, jaśniał rąbek błękitu.

— Bądź wola Twoja, płynęły mu powoli przez myśl umęczoną, słowa modlitwy. Bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi. Niechże się stanie na ziemi to, co dopuściły wyroki Twoje. Ale jakżem jest szczęśliwy, o Panie, jak bezmiernie szczęśliwy, że mi odejść pozwalasz. Że ginę śmiercią kresowego rycerza, pod chorągwią Rzplitej. Że odchodzę z tej ziemi, gdzie mi wola Twoja ostać wzbronila, z ziemi tej, wolą Twoją zepchniętej w gruzy i w otchłań nieszczęścia. Niechże się wola Twoja dzieje, o Panie. Tem żywiej czuję radość i łaskę tej śmierci, którą mi zsylać raczysz, tej śmierci, która zrywa się ku mnie, tam na spisach kozactwa. I odpuść nam nasze winy, jako i my byśmy radzi odpuścić — jeno nie możemy, nie możemy, o Panie. Niechże się stanie Twój sąd, wola Twoja na ziemi i w niebie... I zbaw nas ode złego, jako mnie dziś Twoja łaska wybawiła od ciężaru żywota... Jakżem jest bezmiernie, o Panie, szczęśliwy, odchodząc z tej ziemi, gdzieby mi gorycz klęski sądzoną była i rozpamiętywanie bez końca, iżeśmy zgi-

nać nie mogli w służbie naszej wołającej nas
próżno ojczyzny...

Oparł się na szabli, uczuł, jak się w miękką
ziemię pograża jej ostrze, czerwone od krwi.
Gdzieś tu, na stepie czeka nas wspólny grób.
Gdzieś na polach Daszowa, sławnych po wieki
wieków ofiarną krwią...

I poczuł pan Wacław Jełowicki, że razem
z nim i z tem pokoleniem jego wali się w cie-
mną otchłań mogiły, już na zawsze tym razem,
Przenajjaśniejsza Rzeczpospolita — od mórz
do mórz... Że już nigdy chwila ta nie wróci...
Że kiedyś odrodzi się jeszcze i zabłyśnie chwa-
łą Polska Piastowa — ale że już nie wróci mi-
niona świetność Jagiellonów — i że ją razem
z nimi zmiata ta szarża kozackiej czerni — i ten
zgiełk bitwy — i ta spisa, rozdzierająca mu
gardło — Jezusie — Maryo...

XLVI.

Szaro było i posepnie na stepach, podniosła się ciężka mgła. Wypełniła jary głębokie, zasnuła pola zorane. Gdzieniegdzie, jakby z fal pajęczyny, wychylały się korony samotnych drzew. Księżyc szary i smutny błdził po niebie, ocierając się o kontury pogubionych chmur. Miejskami stało jeszcze ciepło zoranej ziemi, echo słonecznego dnia. Dalej, zapach świeżej wilgoci wdzierał się w te rozścieliska ciepłych oparów, wbijał się klinem powiewów, płynących skądś z jarów przepaścistych, z nad szemrzających w głębokościach strumieni, z gęstwiny krzewów, ledwie pierwszą wiosną zielonych i ledwie ośmielonych do życia tętnem soków krążących.

Koń zwiesił głowę i szedł ociężale, resztkami sił. Buchało od niego parą, potem i przemęczeniem. Znikła sierść biała, i tylko przeziarała ciemna, czarna skóra rasowego araba. Głuchy tętent kopyt ginał we mgle. Droga była twarda, ujeżdżona, równa. Szeroki, podolski trakt.

Szaro tak było wokoło, księżyc i mgła. Nie było gwiazd, tylko ten księżyc błdził za chmurami, przebijał się znowu i ginął gdzieś w szarości i w mgłach.

Pod krzyżem, na drogach rozstajnych, koń stanął i zaczął szukać trawy przy drodze. Jeździec osunął się z siodła na ziemię, rozpiął popręgi, wyjął wędzidło i mundsztuk. Koń się cofnął, chrapnął głucho, rzucił głową w tył — i znów szukać jął trawy. Jeździec cugle na siodło zarzucił i opadł ciężko na ziemię. Zawadzała mu szabla — rapcie odpiął, szablę wziął w obie ręce i oparł się na niej, pochyliwszy głowę i wzniosłszy dłonie, na rękojeści splecione, do góry.

Ileż razy pędził tak, samotny, po bezkresnych piaszczystych równinach? Ileż razy gnał konia co sił, gdzieś, w nieznane puste okolice, gnał bez pamięci, aż wiatr mu gwizdał w uszach swe jęgliwe, monotonne melodye, a piasek ziemi wydarty zasypywał oczy i usta? Ileż razy biegł tak, z wichrami w zawody, skrzydła czując u ramion i słysząc trzepot płaszcza za sobą? Biegł, aż gdzieś nikło słońce za morzem, błękitniały piaski wokoło i wielka cisza wieczorna ogarniała go zimnym oddechem przestrzeni. Wysoko, w chmurach, płynął księżyc łyskliwy. Wzbijał się śmiało, gwałtownie, pełnią lotu swego grożąc chmurom i gwiazdom. Cicho tak

było wszędzie i głos żaden z wysokości nie wołał. Przepadało wszystko bez śladu, i nikt nie wiedział, nikt wiedzieć nie mógł, gdzie pędząca za nim chmara jeźdźców przepadła, gdzie podziały się ręce konie stepowe, białe płaszcze i bronie, złotem i srebrem błyszczące. Korzyła się przed nim śmierć. Rzekłbyś, bała się spojrzeć mu w oczy. Błądziła wokół, krążyła przed nim i za nim, ale gdzieś odchodziła i przepadała bez echa. Stepowa śmierć. Jakżeż inna i jakżeż dziwnie radosna. Śmierć, w karabinie długim, czy w jataganie błyszczącym ukryta, czająca się przed białym płaszczem Araba. Ta sama, która przed wiekami zaglądała aż tu, na te stepy Podola, niesiona na turbanych niezliczonych zastępów, zapatrzona w zielony sztandar i półksiężyc srebrny Proroka...

Inna była ta śmierć tam, daleko, gdy błyskawicą zemsty migotała w czarnej żrenicy Araba. Inna była, gdy pędziła za nim, na stu koniach falangi jeźdźców wpółdzikich, aż sama ziemia uciekała z pod nóg, sama ziemia gdzieś biegła na oślep, we mgłę.

Teraz, w tej szarości i pustce, czarne ramiona krzyża zawisły nad nim, posępne, między ziemią tą ciemną, a gasnącym księżycem. Cóż stąd, że rozścielała się przed nim świeża trawa wiosenna? Cóż stąd, że wonie młodych liści zielonych, upojne i lepkie, przypelzały aż tu?

Cóż stąd, że migotały mu w oczach złote smugi kwiecia klonów, strąconego na ziemię, tam, w znajomym parku Daszowskim, w klonowej alei...

Krzyk rozpacz, krzyk trwogi wbił mu się w samo serce. Trwoga walecznych. Popłoch bohaterów. Bezsilna, nadludzką jakąś mocą nagłona ucieczka tych, którzy przecież poszli na śmierć »choćby zginąć mieli« dla samego honoru. Czyż może być większa otchłań przekleństwa? Czyż może być większa przepaść rozpacz, od tej głuchej, szaleńczej ucieczki, jakby sama ręka szatana ziarna krwawe szaleju, żrący piasek obłędu cisnęła im w oczy?

Kłęska, kłęska wokół. Szyderstwo. Potępienie. I ci ginący, by zginąć jak Wacław Jelowicki. I ci, walczący, by choć wroga osłabić, bez nadziei, ni błysku złudzenia. I ci wreszcie, którzy pojęli, że wszystko stracone, że jak miecze, jak lance i włócznie grożą im leśne gałęzie, że zamykają się przed nimi gęstwiny i roztwierają suche, zda się dotąd — otchłanie trzęsawisk. Ci, którzy zobaczyli to zdumienie w oczach nieprzyjaciela, tę bojaźń wreszcie moskiewskiego żołdactwa... Co znaczy ta fala przerażenia? Czyżby się zerwali przeciw Lachom szatani? Czyżby upiory same chwytaly ich za ręce, ciągnęły cugle ich koni, zawracały na miejscu, pędziły gdzieś, byle wstecz, i sma-

gały konie piszczelami swych rąk? Czyżby się czepiały siodeł, czapraków, zadów końskich, i wgryzały im w żywe mięso, jęcząc, wyjąc i szepecąc coś cichym szeptem cmentarzy?...

Pusto tak było i szaro na stepie. Księżyc zawędrował daleko, coraz bledszy w mgle i w siennej szarości. Krzyż czerniał groźny, posępny, a pod krzyżem, ręce załamawszy na szabli, siedział Emir Rzewuski.

XLVII.

Sen, przerywany i gorzki, sen, ulatujący z powiek, jakby siła obca i wroga kazała mu otworzyć oczy. To znów błędna bezsenność. Oczy zamknięte, bo i pocóż wzrokiem szukać nieszczęścia? Wie przecież, że gdzieś leży na stepach, a wkoło niego, wieńcem białobłękitnym duchy siedzą, milczące, opuściwszy rąk swoich cienie i schyliwszy widmowe swe głowy. Zapadał w sen. I czuł nagle, że jakaś moc niepojęta blade duchy rozpędza po stepach, że gdzieś biegnie, gdzieś śpieszy... Sen rozwiewał się w mgłę, i chyliła się nad nim Samotność.

Wstawał, sam do widma podobny, resztką sił konia dosiadał, i jechał gdzieś dalej. Koń szedł, posłuszny, uległy, jakby czując, że rządzi nim Człowiek Umarły.

Przepyszna, złota broda, pociemniała od kurzu, lez i krwi. Siwe włosy na skroniach skądś wzięły się nagle. Emir, pijąc wodę w strumieniu, nie widział swego odbicia — nie dojrzałby chyba — nie widział i nie wiedział nic

zgoła. Ale miał tę świadomość starości, złamania, śmierci niechybnej, jakiejś ostatniej, bolesnej wędrówki. Zamykał oczy. Koń szedł ciągle, resztką sił, wymęczony, chwiejny i drżący. Emir miał wciąż wrażenie, że ktoś go trzyma za rękę. Że go ktoś prowadzi. Cicha, posępna śmierć.

Jechał stepami, poprzez puste przestrzenie, głuche uroczyska. Widział przed sobą ścieżki udeptane, samotne, zygzakiem zstępujące w doliny. Widział puste urwiska. Widział zielone gaje, białe chaty chłopskie po zboczach, dymy w niebo bijące. Wszystko to było jak sen. Znowu szła noc.

Szaro było, posępnie, gdzieś w parowach czaiły się mgły. Księżyc był jasny, i drżały gwiazdy, nikłe bardzo, ginące w niebie jasnym i szaro-błękitnym. Uciec, za wszelką cenę uciec od tego światła. Dzień słoneczny, jasny. Jaskółki tak nisko przelatują nad wodą. Z drugiej strony rzeki nizki, mulisty brzeg. Prom gdzieś na falach, para koni chłopskich, sylwetki ludzkie... Gotowi go dojrzeć. Gotowi przyjść do niego, męczyć rozmową. A przecież on już z ludźmi mówić nie może. Przecież on nie jest już z tego świata. Przecież z nim idzie śmierć...

Dźwiga się, rozgląda. Tam, wyżej, jakaś rozpadlina. Z trudem, z wysiłkiem, wspina się po kamieniach, grzęźnie w zwałach mokrej

gliny, byle wyżej, byle prędzej. Szczelina wązka. Przesuwa się bokiem. Traci równowagę, chwyta się skał, rozbija ręce do krwi. Ból oprzytomnia go na chwilę. Całym wysiłkiem przedziera się przez tę szczelinę. Zimna fala powietrza ogarnia go chłodnym dreszczem. Jest w grocie. Dobywa krzesiwa, niepewną ręką próbuje krzemienia. Snop jasnych iskier błyszczy tęczą w ciemnościach. Idzie w głąb groty, długą szyją skalną. Woda się sączy ze stropu. Coraz więcej wody — sięga mu po kolana. Idzie dalej. Grunt wyższy — wody coraz mniej. Niema zupełnie. Korytarz zagina się gwałtownie. Nizki jest, wązki. Emir czuje, że brakuje mu tchu. Ale idzie dalej, ciągle, resztką sił, krzesząc iskry błyszczące. Nagle krzesiwo mu wypada z ręki. Schyla się, znaleźć nie może. Krzemień ma ciągle w ręku. Dobywa szabli, tępą stronę uderza krzemieniem. Znowu iskry się sypią. I błędzą tak w tej szczelinie podziemnej, on, Emir Rzewuski, śmierć, wierna służa i pani, i ta szabla jego, iskry w ciemność sypiąca...

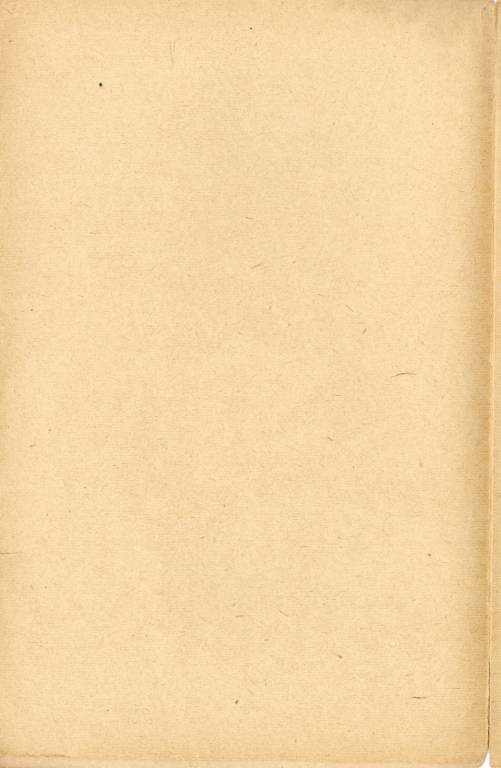
Ale widzi już Emir, że drogi dalej niema, i że grota się kończy w tem miejscu. Oparłszy się ciężko na szabli, klęka, głowę o skałę opiera. Mój Boże, myśli, samotny grób. Piaski pustyni. Blaski rzuniętych dyamentów. Oczy kobiet wpatrzone w niego, jak w tęczę. Złotem

tkane namioty — i te ciemne kościoły, gdzieś, we Włoszech, w Hiszpanii...

Takie jakieś ciężkie, duszące powietrze. Emir o szablę swoją znów krzemieniem uderza. Jeszcze jeden snopek iskier jarzących, jeszcze jeden. I pocóż? Głowa mu zwisa, ciężka taka i senna. Im niżej opada, tem cięższe powietrze, tem bardziej duszno, niecznośnie. Pręży się, zrywa, ale niema już sił...

• I cieszył się car ruski, że gdzieś Emir Rzewuski...

WIĘZIENIE



XLVIII.

Siedział ksiądz kanonik Łomnicki już piąty miesiąc w więzieniu gubernialnem w Kamieńcu. Indagacyom, groźbom, przekleństwom nie było końca. Próżno Bogiem się świadczył, że o niczem nie wiedział, że kazanie z natchnienia jedynie wygłosił. Posądzony był o konszachty z powstaniem i o pierwsze kroki akcyi czynnej podolskiej, wszczętej w dniu św. Mikołaja w ormiańskiej katedrze.

Pokorny i zrezygnowany, ksiądz Łomnicki znosił cierpliwie swój krzyż. Chwilami budziła się w nim krew rycerska, niemoc bezczynności dławila za gardło. Tam, za murami, tyle wolności, tyle jasnej i żywej nadziei. Walka w Królestwie, walka pewno i tu, ku wołyńskiej granicy. Ksiądz Łomnicki klamać nie umiał. Indagowany, szedł za głosem serca, nie rozsądku. Wypieranie się uczuć swoich uważał za bluźnierstwo, chociaż, trzymając się faktów od-

osobnionych, mógłby swój los jako tako polepszyć, przecząc zasadniczo wszystkiemu.

Godziny długich rozpamiętywań przywoływały dawno minione dni. Wracwały echa dzieciństwa, wspomnienia nawpół zatarte, nierealne prawie. Pamiętał stary, poczerniały obrazek, przedstawiający Pana Jezusa Brahiłowskiego. Przed obrazkiem tym zwykł się modlić ojciec jego, stolnik latyczowski. Pamięta schyłone ramiona ojcowskie przed ołtarzykiem domowym. Gdzieś się ten obrazek podział, po śmierci ojca. Szukał go z matką i braćmi i znaleźć nie mógł, a wiedzieli wszyscy, jakie są jego dzieje. Wiedzieli, że przed tym obrazkiem ksiądz Marek mszę odprawiał polową, gdzieś w lasach na Litwie, na Polesiu. Pan stolnik Łomnicki radby jednego z synów przeznaczył na księdza. Mawiał, że ów Pan Jezus Brahiłowski przyniósłby temu poświęconemu Bogu synowi błogosławieństwo, i księdza Marka dar proroczy w puściźnie. Długie noce bezsenne spędzał w celi więziennej ksiądz kanonik Łomnicki, i głuchy żal ścisnął mu serce, że ustrzedz nie potrafił ojcowskiego obrazka. Była na nim krew konfederacka — ojcowska może?

I ten los dziwny, to kazanie prorocze... Czuł ksiądz Łomnicki w sobie dreszcze jakoweś, idące od serca, gdy myślał o tem mimowolnem kazaniu. I więzienie... Cóżby on dał, żeby

być w lasach, w obozowiskach powstańczych.
Czyż jest jakaś nić między księdzem Markiem
a nim, i czy nić ta nie pękła, dziś, kiedy oręż
polski już lśni...

XLIX.

Zgrzytnął zamek, błysnęło krzesiwo.

— Kto? — zagadnął ksiądz.

Była noc. Myśl o śmierci przeszła, obojętna prawie, niosąca tylko gorycz i żal.

— Cyt, książę kanoniku. To ja.

— Co za ja?

— Aleksander, stróż.

— Czego chcesz?

— Ja katolik.

— Wiem. Czego chcesz po nocy?

— Tutaj baba jakaś słaba.

— W więzieniu?

— A tak.

— Katoliczka?

— Tak powiedziała.

— Zaco siedzi?

— Zato, co buntowszczykom list wiozła.

— Baba prosta, powiadasz?

— A czort ją wi.

— Czegóż ty chcesz? Mam ją dysponować na śmierć? Pozwolenie naczelnika masz?

— Albo to ja głupi?

— Sam pójdziesz do kozy.

— Ksiądz kanonik nie powiedzą.

— To pewno, że ja nie powiem. Chodźmy.
Dlaczegoż ty to robisz?

— Ja katolik.

— Słowa do mnie zagadać nie chciałeś. Pytałem się ciebie po ludzku.

— Tak, tylko ksiądz kanonik pytał za bunt. A ja przysięgał carowi.

— Polak jesteś i katolik.

— Toż ja w katolickim kościele przysięgał. Niech-no ksiądz kanonik idą za mną, cicho. Ja po ciemku zaprowadzę. To pójdziem?

— Prowadź.

Pusto było na korytarzu. Ksiądz Łomnicki dwa miesiące przeszło nie przestąpił progu swej celi. Szedł, słaniając się trochę, za stróżem, ciągnącym go za połę sutanny.

Minęli jakieś schody. Echo szło sklepieniami korytarzy więziennych. Zdawało się, że słychać jakieś kroki szeleszczące za nimi. Przez okno błysnęła przestrzeń daleka i jasne gwiazdy.

Drzwi od celi były otwarte i kopcząca łójówka rzuciła smugę czerwonego światła.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — przemówił ksiądz.

— Na wieki wieków, proszę łaski księdza

dobrodzieja — ozwał się na tapczanie głos rżący i oschły. Atak ostrego, jęczącego kaszlu rozległ się w nocnej ciszy więzienia.

— Prosisz o sakrament spowiedzi? — zapytał ksiądz.

— Jeżeli łaska ojca dobrodzieja.

— Bóg z tobą. Wyjdź i zamknij drzwi, — zwrócił się do stróża.

Ksiądz Łomnicki usiadł na zydelku przy chorej. Świeczkę podniósł z podłogi i na brzeżku tapczana przylepił.

Trochę słomy, pokruszonej i zmiętej, leżało na deskach. Okryta jakimiś lachmanami, skurczona i drżąca, chora kobieta wpatrywała się w księdza błyszczącemi od gorączki oczyma.

— Bóg da trochę siły. Oj, boli jeszcze, tak boli. Kijami bili, proszę księdza dobrodzieja.

— Zaco cię bili? Kto?

— Moskale. Któżby inny?

— Długo opowiadać. To ja od początku.

— Słucham.

— Proszę księdza, ja córka leśniczego z pod Chmielnika. Służył u pana Sulatyckiego. Dobry był ojciec. Matka dawno umarła. Brat z paniem Józiem Dwernickim poszedł do Galicyi, zabity pod Zaleszczykami. Ja wtedy miałam szesnaście lat...

— To było w roku 1809.

— Dwadzieścia i jeden rok... Jeździli my

wtedy z ojcem do Zawala, gdzie panicz Józio Dwernicki zbierał wojsko. Wyszedł on wtedy do nas, łaskawy bardzo, ojcu rękę podał, a mnie pocałował... Wychodziła i młoda pani, z jego starszym synkiem. Poszli przez Zbrucz, i brat wtedy zginął. Ojciec umarł, ja chciałam pójść na »obowiązek« — a zdarzył się wachmistrz Bielawkin, chciał się żenić. Choć prawosławny, jakoś tak poszło. Grzech wzięłam na duszę, wyszłam za męża. On teraz koło gubernatora w kancelaryi, za sekretarza. I dzieci troje...

Jakoś Bóg dał żyć. Niedawno psuć się wszystko zaczęło. Mąż ruski, prawosławny. Spokojny człowiek, nie pije. Kazali jemu teraz za panami polskimi śledzić. Służba, to służba. Powiada, buntowszczyki śmiałe, tysiący ze dwadzieścia.

— Dwadzieścia tysięcy, powiadasz?

— Może i więcej.

— Biją się?

— Jeszcze nie.

— A w Warszawie?

— Niby ksiądz nie wie?

— Jestem piąty miesiąc w więzieniu!

— W Warszawie nasi.

— Mów, na miłość Boską! Masz siłę?

— Mam, mam. Pan generał Dwernicki po-
bił moskali na nic pod Stoczkiem!

— Co ty mówisz!

— Pan generał Chłopicki pod Grochowem!

— Chwałaż Ci, Panie Boże!

— Pan generał Dwernicki idzie do nas, z ogromnem wojskiem. Panowie tutaj czekają i czekają. Panią generałową...

— Jaką?

— Panią generałową Dwernicką może już zabrali Moskale. Była w Zawalu.

— A tak. Słucham.

— Mąż do mnie przychodzi raz i mówi, że kazali jemu z kozakami jechać do Zawala panią generałową w areszt brać.

— No, i poszli?

— Ja nie wiem.

— Jakto nie wiesz?

— Bo ja nie wytrzymałam i pobiegłam do pana marszałka Jełowickiego.

— Powiedziałaś?

— A tak.

— Bóg ci to nagrodi.

— Tak mnie sumienie odezwało się, proszę ojca dobrodzieja. I to, że jeszcze pani generałowa Dwernicka. Mówię sobie — za prawosławnego ja wyszła. Dzieci w schyzmie chowała. No, to pan marszałek Jełowicki...

— Gdzie jest?

— Był w Kamieńcu. Powiada: dobra Polka pani jesteś? Niech Bóg pozwoli pokazać, że

Polka i katoliczka. Weźmiesz pani ten list, — powiada, — do pana Sobańskiego, co siedzi w Hubniku u mojego ojca? Dam konie pocztowe. Masz pani paszport, czy jaki dokument, że mąż w kancelaryi gubernatorskiej?

— Jest w domu, powiadam. No, i pojechałam. Dzieci pożegnałam i pojechałam. Jadę i myślę sobie, że ja Polka i katoliczka. Brat był polski ułan. Pan generał Dwernicki tutaj idzie. Koniec z Moskalami. Całe życie pamiętałam pana generała — co to jemu był panicz Józio — i taki wesoly, taki łaskawy wyszedł wtedy do nas z ojcem, i pocałował mnie...

— Cóż w Hubniku?

— Kiedy ja nie dojechałam do Hubnika. Zatrzymali Moskale i list znaleźli. A list był z jakąś pieczęcią. Kto dał? pyta się oficer żandarmski. Nie powiem. Jak się zwiesz? Nie powiem. No, to i bili. Do kości bili. Pan Bóg zlił tował się. Nie powiedziałam, ani że pan marszałek list dał, ani jak się nazywam. Bo ja dokumentu, co chciał pan marszałek, że to ja sekretarza Bielawkina, nie wzięłam. Dzieci szkoda, proszę księdza dobrodzieja. Zawsze to dzieci.

— Bóg da, że je odzyskasz.

— Oj, nie, proszę ojca. Gangrena. A ja tak myślałam — może się uda. Może kiedy do sa-

meo pana jenerała kto list każe zawieźć.
A ksiądz dobrodziej zna jego?

— Dwernickiego?

— Tak.

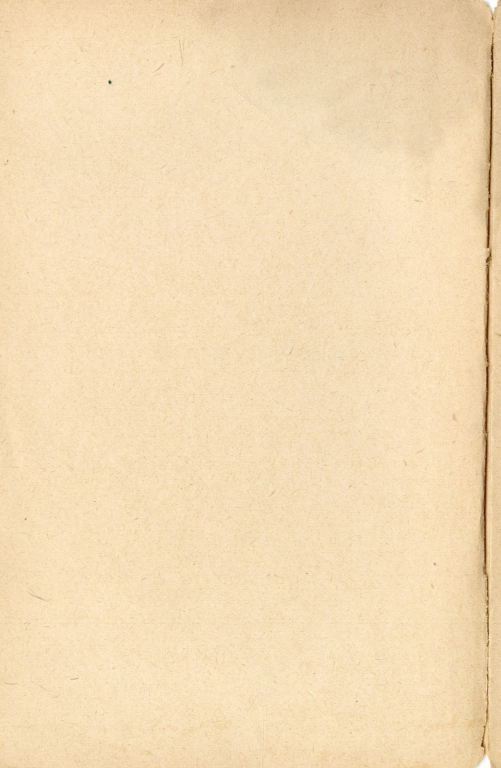
— To mój krewny. Jestem ksiądz Łomnicki.

— To ksiądz kanonik... co kazał na carski
prażnik?

— Tak...

— Toby ksiądz kanonik łaskę mnie obie-
cał... jak pana jenerała zobaczy... przypomnieć
brata, i mnie... i to, co ja opowiadała księdzu...

CISZA LEŚNA



L.

Szli partyami, w pojedynkę, samotrzeć. Wychylali się z lasów, przebiegali błonia, ostrogami ściskając boki końskie. Przelatywali jak wicher, na koniach, krwawą pianą okrytych, pod oczyma kozackich patroli. Znikali w gęstwinach leśnych — biegła za nimi karabinowa salwa. To znów zabłąkana skądś kula, nie wiadomo skąd, waliła na ziemię czatującą na »buntowników« wedetę...

Nocami, przy ogniskach, opowiadano sobie o sławnych czynach w Królestwie, na Wołyniu. Opowiadano o Litwie, o powszechnem powstaniu w tych stronach, o Brochockim i Wołodkowiczu, o księdzu Łodze, Giełgudzie i Chłapowskim. Opowiadano o Złotej Chorągwi, śpiewano pieśni żołnierskie...

Cicho tak było w tych lasach, słowiki odzywały się w gąszczach. Nawoływały się ptaki nocne. Czasem zapóźniony podróżny zatrzymywał konie i nasłuchiwał: z gęstwy słychać było inne jeszcze nawoływania, inne pieśni.

Głosy młodzieńcze, głosy męskie i odgłosy leśne spletały się w jeden chorał, o żołnierzu-tulaczu, o wojence dalekiej, o rozmarynie zielonym i o ulańskich rabatach, nad Wisłą...

»Zobaczmy się jutro może...«

LI.

Ostatnie ciche wieczory, ostatnie echa nadziei... Andrzej Sadowski śpieszył na północ. Pograżony w gorzkich rozmyślaniach, osaczony zwątpieniem, dorwał się wreszcie znowu powstańczej gromadki, idącej ku Białosorocze, w Radomyskie bory, gdzie gromadził żołnierza pan marszałek Galecki. Wszyscy ci towarzysze doli i niedoli nie byli jeszcze w ogniu. Zachowali świeżość i wiarę, zachowali ogień zapалу i nadzieję zwycięstwa...

Kraj był cichy i pusty. Lasy ogromne, piaski, rzadkie pola uprawne. Prowadził ich pan Paweł Saryusz Zaleski z Pustowarni. Szli bezdrożem, lasami, wśród smukłych sosnowych pni. Czasami zaszywali się w młode zarośla, w bujne chaszczce i leśne gęstwiny. Zbaczali często ku błotom i moczarom, zapadali w olszynki. Kilku powstańców wychodziło znajomymi sobie ścieżkami. Wracali, prowadząc nowozaciecznych, oddziałki świeżo sformowane, licznego ochotnika.

LII.

Życie to było jeszcze jak sen. Nowe twarze, nowa energia, nowe zasoby sił. Ręce spracowane, od pluga, chwytające szabli. Wierne oczy żołnierskie, mimo całej świeżości żołnierskiego rzemiosła. Przychodzili, prostując się przed panem rotmistrzem Zaleskim, meldowali posłuszeństwo, przysięgali na krzyż, kładąc dwa palce na rękojeści szabli. Byli to ludzie z legendy. Snuła się ona za nimi, ogarniała je — testamento całe, działała jak wino, jak sen. Wierzyli oni, że pan generał Chłopicki maszeruje na Smoleńsk, grożąc Petersburgowi. Że młody Bonaparte — niewiadomo jaki — gdzieś, we Francji dalekiej, także same zwołuje po lasach powstanie i sięga po koronę cesarską. Że na nich w Polsce liczy. Była w tem wszystkiem i nic niedawnej prawdy. Wszyscy prawie, idący ze wschodu, od Kijowa, z Zadnieprza, z Czernichowszczyzny i Połtawskich stepów — wierzyli jeszcze w dobrą gwiazdę, Dwernickiemu świecąca. Wierzyli, że na nich czeka — gdzieś, niedaleko już, o kilka dni drogi. Wie-

rzyli, że idzie zwycięski — bo któż mu się oprzeć zdoła? Jaki generał moskiewski ma takich ludzi? Przecież wszyscy ci jego wierni żołnierze — krew z krwi, kość z kości — tacy sami powstańcy, jak oni, radzi śmierci spojrzeć w oblicze, i niepomni własnego żywota...

Andrzej Sadowski słuchał tych zwierzeń, zamyślony, milczący. Prosił Zaleskiego na wszystko, by o jego szarzy oficerskiej w korpusie Dwernickiego nie mówił. Gryzł nocami palce do krwi...

Cicho tak było i spokojnie w tych lasach. Gasły obozowe ogniska. Opodał, siedząc po trzech, po czterech, gwarzyli powstańcy. Mówili o tem wszystkim, co on przeżył naprawdę, co on widział własnymi oczyma, za co krew przelał swoją. Mówili o jenerale, który przecież Bóg wie gdzie się teraz obraca. Interbowany w Austrii, czy też niepewnemi drogami gdzieś do Królestwa śpieszy? Wszystko to być może. A ci wszyscy nie wiedzą nic jeszcze i wierzą, i wierzą, że im przewodzić będzie pan generał Dwernicki...

Przychodził do Sadowskiego pan Paweł Zaleski, siwego wąsa gładził i kładł mu rękę nieznacznie na dłoni. Siedzieli tak długimi godzinami, słuchając opowieści żołnierzy, patrząc w węgle gasnące.

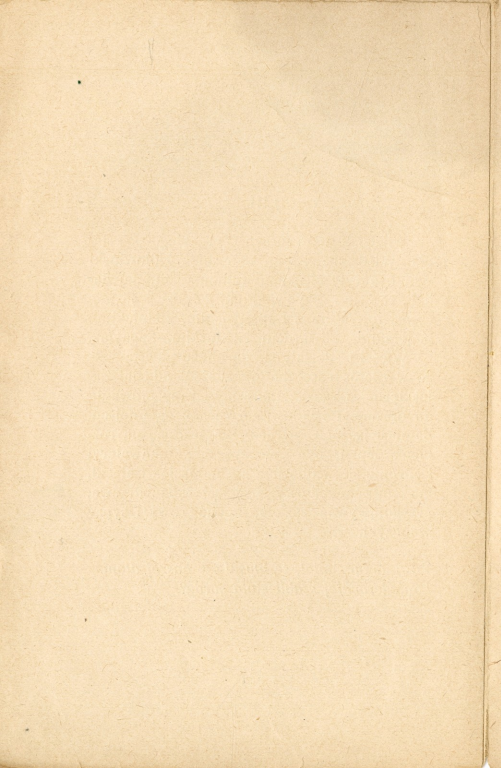
Żołnierze spać się pokładli, ognisko zgasło oddawna, świt się rumienił, budziły się ptaki leśne, a oni często siedzieli jeszcze, w milczeniu, pogrążeni w dumaniach i w tem samem gryzącem cierpieniu.

LIII.

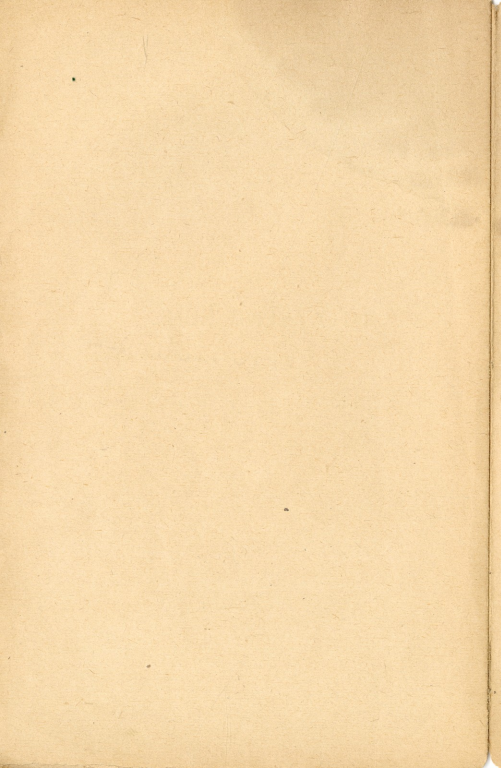
Wiedzieli już o losach Owruckiego powstania. Wiedzieli, że pan marszałek Hołowiński zginął, okryty ciężkimi ranami. Inni powiadali, że żyje i że powleczono go gdzieś na męczeństwo, razem z Rapsztyńskim, Zielnickimi, Zagórskim, Edwardem Niwińskim, Sagayłą...

Wieści te dostały się do obozu powstańczego w Białosoroce zanim nadszedł oddział Zaleskiego. Gwar, zamieszanie, przygotowania do obrony. Postanowiono czekać na miejscu. Zamiast iść pod Owruć i narażać się na rozbicie, lepiej było stoczyć bitwę kawaleryi i chronić się w obozie. Pan marszałek Gałęcki, naczelnik powiatowy, rozkazał rąbać drzewa, przygotowywać zasieki, kopać rowy i sypać szanczyki.

— — — — —
*Kto marzyć śmiał, że błysnie w naszej dłoni
konfederackiej szabli złota garda?*
— — — — —



I TO TYLKO SEN...



LIV.

— Kto pan jest?

— Oficer polski.

Dziewczyna podniosła głowę i spojrzała nań błędnym wzrokiem.

— Powstaniec?

— Oficer wojsk regularnych.

— Czyżby to była prawda... Nie, panie oficerze, nie to, że pan ma tę szarżę, nie, gdzieżbym ja śmiała — ale, że są wojska regularne w pobliżu? Skąd, jakim cudem? Panie oficerze, niech pan mi powie na miłość boską!

— Niema żadnych wojsk, proszę pani. Powstańcze oddziały. Ja tylko miałem zaszczyt być w strzelcach konnych, pod jenerałem Dwernickim.

Panna przetarła oczy i patrzyła na Sadowskiego trochę błędnym jeszcze, ale śmiałym i jakby proszącym wzrokiem.

— Panie oficerze... Wiem, że pan jest człowiekiem honoru. Wiem, dość, że pan jest oficerem. Ja sama nie wiem, co się dzieje ze mną.

Ale niechże pan mi powie. Skąd tutaj? Czy dawno? Niech pan mówi śmiało. Pan mię nie zna. Ja służę powstańcom, jak mogę. Wożę listy, konno, od Bożego Narodzenia. Jestem Aniela Pieńkowska. Niech pan się zmiłuje, mówi. Ja się błąkam po lesie. Zabiłam człowieka. Nie wiem, co, jak, dlaczego. Niech pan mię nie pyta. Kozak był. Wypaliłam z pistoletu. Padł. Uciekłam w gęstwinię.

— Ale niechże pani mi zaufa w zupełności. Jestem adjutantem generała Dwernickiego. Porucznik Ostroróg Sadowski. Wysłany przez generała. Radbym pani dopomódz.

— Prawda, że generał broń złożył?

— Prawda.

— Dlaczego?

— Musiał.

— Jakto musiał, panie, na rany Chrystusa, jakto być może?

— Jeżeli Dwernicki złożył, to musiał. To był Dwernicki. Widocznie gorzejby było, gdyby nie złożył. Ja jestem żołnierzem, proszę pani.

— Był pan z nim?

— Nie. Generał wyprawił mię z Beresteczka po bitwie pod Boremlem.

— To pan brał udział w tej bitwie?

— Brałem.

— I cóż?

— Kula mię ominęła.
— Bitwa przecież była zwycięska?
— Tak. Ale wtedyśmy jeszcze wszyscy wierzyli.

Panna Pieńkowska tego patrzyła przed siebie. Ogarniało ją znowu to wielkie przemęczenie, to znużenie bez granic, które zwała ją z nóg tu, na moczarzyska.

— — — — —

Gdzieś, w oddaleniu, słychać było jeszcze strzelaninę upartą. Pęd świetnej szarży migołał jeszcze Sadowskiemu w oczach. Huczał ryk działowych gardzieli, na które wpadli, niebaczni, upojeni czarem zwycięstwa...

Koń jego padł. On sam z życiem uszedł. Dlaczego? Bóg raczy wiedzieć, dlaczego. Przecieżby wołał śmierć... Takie już wyroki boskie. Jest przecież emisaryuszem jeneralskim. Dawnoby padł, gdyby nie ta dziwna gwiazda, wśród gradu kul wiodąca nieznanemi drogami...

MISERERE MEI, DOMINE...

— — — — —

LV.

Gdzieżeś jest dzisiaj, szumiący lesie sosnowy... Gdzieżeście moczarzyska i sennie stawy poleskie... I ty, dolo powstańcza...

Zamknęły się na zawsze kochane, ciemne oczy dziewczęce. Złote włosy opadły na martwe skronie, zgasły, zszarzały, zlały się z gorzką ciemnością mogiły...

Tyle w tych oczach było trwogi i łez. Tyle ufności i wiary, tyle cichej i słonecznej nadziei...

Znalazł ją, leżącą bez sił, na posłaniu igliwia i mchu. Drobna dłoń ścisnęła jeszcze pistolet, którym zabiła kozaka. Wola rwała się do życia, szukając próżno sił.

Pamięta, jak ją niósł przez ów las gęsty, sosnowy, wzięwszy, jak dziecko małe na ręce. Pamięta, jak jej zwisały bezsilnie ramiona, i jasna główka, o pierś jego oparta, ciążyła snem.

Rzadko kiedy, na krótką chwilę, otwierała oczy. Uśmiechała się do niego leciutko i zapa-

dała znów w sen. A on szedł ciągle, mimo, że mu mdlały ramiona i że go zmagало znużenie i głód...

Mrok wstawał z dolin, szedł ku zachodowi. Ciemność zwisała z leśnych gałęzi, opadała w przestrzeń, łączyła się z tym mrokiem pełzającym po ziemi. Budziły się ptaki nocne. Trzepotanie wielkich skrzydeł rozlegało się głucho pod sklepieniem gałęzi. Gdzieś, pośród łóz, wilcy zarzynali konia. Zerwał się przeraźliwy, przeciągły głos na moczarach, wbił się w mroki ciemności, zatargał ciszą leśną. Powstańczy koń, zabłąkany gdzieś w lasach...

— Wilki, panie poruczniku, wilki...

Przytuliła się do niego, objęła obydwoma rękami za szyję.

— Nie bój się, dziecko.

Stał parę minut, nasłuchując. Uspokoilo się wszystko. Sowy pisywały gdzieś wysoko nad nimi. Daleko, słychać było szczekanie psów.

Poszedł instynktownie dalej, niosąc swój bezsilny ciężar na rękę. Las zdawał się kończyć. Większa polana, trochę zarośli. Mleczna droga błyszczała wysoko, iskrzyły się jasne gwiazdy.

— Panno Anielko.

— Wilki?

— Niema wilków. Plot jakiś i furtka.

— Kiedy nie widzę.

— Proszę wyciągnąć rączkę. Tu. Nie poznaje pani?

— Zdaje się ogród ekonoma.

— Czyjego?

— Cioci starościny.

— Chwałaż Bogu. A gdzie dwór?

— Dalej, na prawo. Będzie druga furtka.

Cicho tak było wszędzie. Gdzieś na wsi czekały psy. Na folwarku odzywała się kołatka stróża nocnego. Spokój nocy letniej.

Bitwa ostatnia, atak zwycięski, szarża kawaleryi — i ten ogień działowy, pod który się dostali niebacznie — wszystko to się zdało Sadowskiemu rzeczą dawną, zapomnianą prawie... A było to wczoraj jeszcze...

Białe ściany dworu majaczyły z za drzew, w mroku nocy, wyiskrzonych gwiazdami. Opały ich psy.

— Cicho Bukiet... Cicho Białka... Swoja pannotka. Cicho.

LVI.

Podchodzą do okien. Panna Pieńkowska jakby trochę życia nabrała. Sama puka w szyby.

— Kto taki? — odzywa się głos niewieści z wewnątrz.

— Ciociu...

— Matko Najświętsza...

Uchylone drzwi. Świeca dygocącym płomieniem jarząca. Przeciąg. Zapach wiejskiego dworu.

— Anielka... Na miłość Boską... Ranna?

— Chora i bezsilna, pani starościno. Znalazłem pannę Anielkę w lesie, bez przytomności. Ścigali ją kozacy. Udało się uciec. A że my w rozsypce...

— Kłeska?

— Jeszcze jedna...

— Jakto jeszcze jedna?

— Daszów, Chlebanówka, Owrucz...

Anielka leżała na kanapce z zamkniętymi oczyma.

— Co? Chlebanówka? — podniosła się z wysiłkiem na rękę.

— Tam Dwernicki broń złożył... W kwie-
tniu jeszcze...

— Dwernicki — zerwał się jęk z ust cho-
rej. — Dwernicki...

— A wiesz-że pan napewno? — przerwała
starościna.

— Jestem adjutantem generała.

Powiedział swoje nazwisko, kilka szczegó-
łów, które tyle razy powtarzał.

Starościna stała ze świecą w rękę, nie czu-
jąc, że воск się topi i spływa jej po palcach.
Anielka, blada, leżała bez ruchu. Z oczu jej
sączyły się ciche łzy...

— Żebyż choć to dziecko zdrowe było, pa-
nie oficerze. Niechże pan się rozgości. Jak
u siebie.

— Czyż bezpiecznie, pani starościno? Dom
przetrząsać będą, będą przekrości.

— Co ma być, to będzie. Pani Stępkowska,
wdowa po księciu Jabłonowskim, w więzieniu.
Cóż to ja gorsza?

— Ale poco, pani starościno. Gościnę przy-
jmę gdzieś w lamusie, czy na strychu.

— Moja służba nie zdradzi. Uratował mi

pan dziecko, a jabym się panu gościny bała
użyczyć?

Zanieśli Anielkę do jej pokoju, położyli na
łóżku. Przed obrazem Matki Ostrobramskiej
paliła się błękitna lampka oliwna...

LVII.

Cicho tak było w tym dworze, nawpół w ziemię zapadłym, odwiecznym... I starościna, i Andrzej Sadowski, i wszyscy domownicy czuli, że śmierć błądzi po sadzie i do dworu zagłada. Czuli to, i łudzili się jeszcze nadzieją.

Parę dni przeszło. Anielka już nie poznawała nikogo. Stary lekarz, wezwany z Rado-myśla, chodził, jak struty. Gorączka, majaczenie. Ciągły przestrah ucieczki. Ciągła świadomość zadanej ręką własną śmierci.

— Panie poruczniku, niech pan mnie nie opuszcza. Panie poruczniku, kozacy. Wilki przed nimi, za nimi. Gonia! Prędzej, na litość Boską...

Któregoś dnia, po południu, otworzyła oczy.

— Ciociu?

— Co, dzieciątko?

— Co w Królestwie?

— Dobrze.

— Są dobre wieści?

— Są.

— Niech tylko panna Anielka będzie zdrowsza, powiedział Sadowski, zaraz w drogę wyruszę. Lasami, manowcami, do Galicyi. A stamtąd do Królestwa.

Uśmiechnęła się do niego.

— Ja już nie doczekam naszej Polski.

— Co też ty bredzisz, Anielko.

— Wstydzilaby się pani.

— Kiedy tak...

— Kiedy nie tak. Proszę być dobrej myśli. Wszystko musi być dobrze. Po chorobie przyjdzie zdrowie. Po chwilowych niepowodzeniach, tutaj, na Rusi, przyjdzie wielkie zwycięstwo, tam, daleko, w Królestwie...

— Ja już nie doczekam, panie Andrzeju.

— Doczeka się pani. Grzech tak mówić. Bóg da, wszystko dobrze będzie. A wtedy ja wrócę, prosić panią starościny o rękę panny Anielki...

— Ciociu?

— Co dziecko?

— Czyż i to tylko sen...

Starościna podeszła do okna, tłumiąc lzy. Jasne takie było, popołudniowe słońce, i tyle kwiatów w ogrodzie.

— Ciociu?

— Jestem, małeńka moja.

— Proszę dać panu Andrzejowi mój krzy-

żyk złoty. I pierścionek mojej mamy. To na pamiątkę...

Okna były otwarte, i tak pachniały na rabatkach lewkonie...

LVIII.

Palily się świece woskowe, krzyż srebrny błyszczał w głowach trumienki. Białý welon, i kwiaty białe wokoło. Otwarte okna. Wszędzie kwiaty letnie. Noc cicha, ciemna. Jak wtedy, w lecie.

Blyszczą jaskrawe gwiazdy. Ale inne już dni. Księżyc, ostry i ledwie migocący z za drzew...

Krzyżyk jej złoty, noszący cyfrę 1812, miał już na piersi. I pierścioneł na palcu. Na pamiątkę. Że kiedyś była sierota, której życie-by oddał — i któraby mu swoje dać rada — gdyby Bóg chciał.

Modlił się długimi godzinami u stóp jej trumny. On, żołnierz polski, imieniem wojska polskiego żegnał ją, godną stanąć w szeregu...

Miał gdzieś jeszcze skrawek wstążeczki od swego krzyża zasługi. Zaszyty w szkaplerzu dziada podkomorzego...

Szkaplerz rozpruł, dobył orderowej wstą-

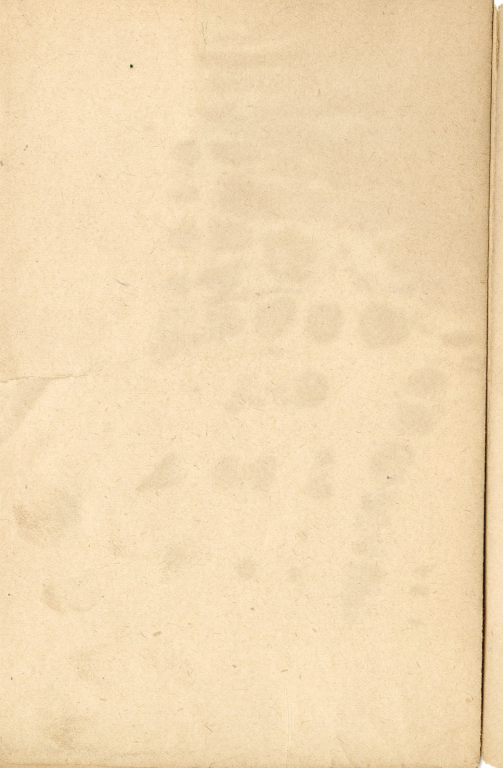
żeczki — i wsunął ostrożnie pod załamane jej,
zimne na zawsze już, ręce...

— — — — —

Bila gdzieś na staroświeckim zegarze nad-
ranna, późna godzina...

—————

AVE MARIA



LIX.

Wszystko to było niczem, wszystko to było prochem i cierpieniem, kroplą krwi jedną, ginącą w blaskach słońca... Wszystko to było snem...

Rzekłbyś — klęska za klęską. Rozbijanie powolne najszałeńszych nadziei. Wydzieranie przez wroga — zdobytej już zda się ojczyzny z naszych zwycięskich rąk. Rozpacz i trwoga, i pustka, i żal. Porywanie się tych, którzy toną, by pójść przeciw fali... Świadome szukanie śmierci.

A jednak ta śmierć opiekunka dłoń pomocną wyciąga. Ratuje na skraju zaguby. Ginących wspiera...

Przez cierpienie i śmierć, przez jej wieczną, nieskończoną posępność, przez prawdę jej, żyje DUMA POWSTAŃCZA.

Listopadowej nocy rozkaz i pobudka.
Radość, grzmiąca dziś URBI ET ORBI.

I ta wiara, ta wiara, jak życie samo — że
przyjdą poić konie w Horyniu janczary Jego
Sultańskiej Mości, wiernego sprzymierzeńca
Najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej.

Paryż-Berno-Kraków 1916—1917.

KONIEC PIERWSZEJ CZĘŚCI TRYLOGII.



SPIS RZECZY.

	Str.
Modlitwa	1
Józef Dwernicki	19
Listopad	27
Nastał nam dzień krwi i chwały...	59
Warszawa	93
Krzyż kawalerski	101
Za Bug!	115
Wisła	127
Grzmia pod Stoczkiem armaty	151
Na Wołyń	169
Kwiecień	177
Chociażby najsmutniejszy los...	195
Sztandar Proroka	209
Nad Styrem	217
Emisaryusz	227
Dwa pokolenia	251
Na koń!	261
Daszów	277
Wieżenie	293
Cisza leśna	305
I to tylko sen...	315
Ave Maria	331

300

[Faint, illegible text, likely bleed-through from the reverse side of the page. The text appears to be organized in columns or paragraphs, but the characters are too faded to transcribe accurately.]

Wydawnictwa Gebethnera i Wolffa w Warszawie.

	MR.
Adamowicz. Nieśmiertelne głupstwo	4 —
Bandrowski-Kaden J. Spotkanie	4 —
Bartkiewicz Z. Pierwszy grzech	4 50
— Słabe serca	6 —
Choynowski P. Pokusa. Nowele	5 —
Gliński K. Mąż krwawy	5 —
Gruszecki A. Litwackie mrowie	5 —
— Pod czerwonym wirchem	6 —
— Wróżby wojenne p. radcy	4 —
Hajota. Wyżebrana godzina	5 —
Jagniatkowski Wł. Walka z kobietą	6 —
Jeleńska E. Bociany	3 —
Ligocki E. Laguna Morta. Wyd. 2-gie	10 —
— Sambra i Moza. Wyd. 2-gie w druku	— —
— Thalassa	6 —
Olechowski G. Rycerz	4 50
Perzyński Wł. Dzieje Józefa	5 —
— Świat po wojnie	1 80
— Wielka Warszawa	4 —
— Wróg wojny	5 —
— Złoty interes	6 —
Prus B. Dzieci	6 —
— Dziwni ludzie	5 —
— Emancypantki, 4 t.	18 —
— Faraon, 3 t.	18 —
— Grzechy dzieciństwa	1 50
— Lalka, 3 t.	18 —
— Omyłka	2 —
— Placówka	— —
Przybyszewski St. Adam Drzazga	6 50
— Wyzwolenie	6 50
— Zmierzch	6 50
Reymont Wł. St. Fermenty 2 t.	8 —
— Na krawędzi	5 —
— Rok 1794. I. Ostatni sejm Rzplitej	— —
— II. Nil desperandum	10 —
— III. Insurekcya	10 —
— Z ziemi Chełmskiej	2 25
Rodziewicz M. Barbara Tryznianka	5 50
— Błękitni	4 —
— Na fali. Powieść	4 —
— Z głuszy. Powieść	5 50
Sienkiewicz H. Legiony	6 —
Weyssenhoff J. Sprawa Dołęgi	7 —
— Unia. Powieść litewska	7 —
Żeromski St. Opowiadania	4 50
— Promień	3 —
Żmijewska E. Książę pan	5 —